OBRAZY LITEWSKIE.

SERYA TRZECIA.

Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

Kochanowski.

OBRAZY LITEWSKIE

przez

Ignacego Chodźkę.

SERYA TRZECIA.

PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

Wydanie nowe poprawne.



WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1876.

Дозволено Цензурою. — 25-го Мая 1876 года.
Вильна.

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
(Замковый переулокъ, N. 149).

PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

Przedmowa Wydawcy.

Między Biłgorajem a Tarnogrodem, w lichéj karczemce, nieśmiertelnéj pamięci Ks. *Biskup Warmiński* znalazł skarb nieoszacowany: *Pamiętniki Grumdrypa* (*), człowieka nieumierającego nigdy, a który i teraz zapewne włóczy się gdzieś po świecie. Ja

„W mieście, ktorego nazwiska nie powiem,
„Nic to albowiem do rzeczy nie przyda (**).“

(*) Historya na dwie księgi podzielona Krasickiego.

(**) Monachomachia.

w opuszczonym i opustoszałym klasztorze, niegdyś księży Bernardynów, znalazłem to *opus oprawne w skórę* (*), któremu nadawszy niejaki porządek, stosowny do treści tytuł, i przyswoiwszy je do mojéj ubożuchnéj galeryi obrazów, puszczam na widok publiczny. Wartość zaś dziełka tego do *Historyi na dwie księgi podzielonéj*, będzie zapewne, jak *Kwestarz* do *Biskupa*.

(*) Przedmowa do Baki—Borowskiego.

WSTĘP AUTORA.

Dnia wczorajszego zawołał mnie zrana pan wojewoda do swojéj kancellaryi, i wchodzącego zapytał:

— A czy traktowałeś waść, ojcze święty! (takie jest przysłowie pana wojewody) szkoły?

Zdziwiłem się mocno na taką kwestyę, i odpowiedziałem: — Aż do *Poezymy inclusive*, JW. panie!

— A dla czegoż waść nie słuchałeś i *Retoryki?*

— Przewidywałem, JW. panie, że się nasłucham *retoryki* na służbie u wielkich panów.

— Oho! znać dworaka. No, ale choć waść nie retor, potrafisz jednak pisać *currente calamo* pod dyktacyą.

— A wszakże-by to i dobry *infimista* potrafił — odpowiedziałem, i pokręciłem wąsa.

Pan wojewoda poznał, że wcale nieobyczajne zadawał mi kwestye.

— Nie gniewaj się, ojcze święty! — rzekł on — ksiądz kapelan, który jak wiesz, spełnia u mnie razem i sekretarską funkcyę, zachorował dzisiaj; musisz więc jego zastąpić, chociaż to do ciebie, jako

do marszałka mojego dworu, wcale nie należy; ale, ojcze święty, pomiarkujemy się o fatygę, a tymczasem siadaj i pisz list, który ci dyktować będę. Masz tu wszystko gotowe: papier, pióra, etc.

Usiadłem zatém przy stoliku, i przyłożywszy się reguralnie — jestem gotów — rzekłem.

Pan wojewoda zapalił fajkę u komina, przeszedł kilka razy po pokoju i zaczął:

„Wielmożny Mości.... a Dobrodzieju! — z figielkiem.“

— Jest — z figielkiem.

— Jak-to? co to waść napisałeś? — zapytał wojewoda, spójrzawszy przez moje ramie na papier.

— To, co JWpan dyktowałeś.

— Porzuć waść, ojcze święty, te ze mną facecye. Na co masz głupca udawać, kiedy nim nie jesteś?

— A zkądże JWpan tak prędko poznał mój rozum, kiedy tylko co wątpił, czy ja traktowałem *infimę?*

— No, no, dość tego. Weź drugą ćwiartkę papieru i pisz znowu.

— To więc JWpan chcesz, abym *Dobrodzieju!* napisał *per abbreviationem?*

— A tak, tak właśnie. Widzisz, żeś się dorozumiał, co znaczy z figielkiem

— Tak, dorozumiałem się wprawdzie, ale zawsze należało panu, któryś zapewne i retorykę przeszedł i na Akademią frekwentował, dyktować woléj *per abbreviationem*, jak to często zdarzało mi się słyszeć w szkołach, gdzie żadne figielki nie uchodziły, i gdzie ciężki z nich bywał w sobotę rachunek.

Uśmiechnął się wojewoda, puścił kilka gęstych kłębów dymu, i po niejakim namyśle:

— Wiesz co? — rzekł — Czy nie lepiejby, dawnym obyczajem, zacząć od „*Mnie wielce Mości Panie Bracie!*“

— I mnie się zdaje, że lepiéj.

— Ale bo widzisz, ojcze święty, ta staroświecka fałszywa *parentela* wychodzi już z mody; i prawdę mówiąc, szlachcic nie bardzo lubi pobratanie się z sobą pana, kiedy mu go wzajemnie bratem nazwać nie godzi się; bodaj więc lepsze, *Wielmożny Mości Dobrodzieju*, każdemu jednostajnie przypadające. Addytament *Jasności* przyczepia się dziś do urzędów, które i brat szlachcic nieraz posięga; a tak wszyscy kontenci. Pisz więc, ojcze święty, jakem wprzod dyktował... tylko że... czekaj! Idzie mi o rzecz. Ten pan podstoli *potens* w swoim powiecie, a niebardzo mnie życzliwy.... jak się urazi za figielek, i weźmie to za *postpozycyą*, gotów mi wzajemnego figielka wypłatać, i nasze imprezy sejmikowe, do których plany i insynuacye aż z Warszawy odebrałem, pomięsza, a właśnie go tym listem zapraszam dla porozumienia się.... Pisz więc *Dobrodzieju!* wyraźnie

Zadyktował potém cały list wojewoda dość gładko i grzecznie, pod końcem jednak znowu namyślać się zaczął, i biorąc pióro do podpisu — Jak rozumiesz? ojcze święty! — zapytał — *uniżonym* czy *najniższym* sługą?

— A jakbyś JWpan napisał, gdyby nie sejmiki?

— Naturalnie, że tylko *uniżonym*, a możeby się i bez tego obeszło.

— No, to ja radzę JWpanu pisać teraz uniżonym: bo podstoli pozna, że tylko przed sejmikami pan wojewoda jest jego *najniższym* sługą, a potém i *uniżonym* nie będzie.

— Mądrze mówisz, ojcze święty! Stary sejmikowy Judasz nie da sobie zamydlić oczu... a zatém *non tam libenter quam reverenter*.... — I wymawiając powoli tę jakoby *protestacyę*, podpisał się wojewoda *uniżonym* sługą.

— No, teraz, ojcze święty, wpisz ten list choćby tylko treścią, *ad continuationem* mego dyaryuszu, to jest, do téj księgi, pod datą dzisiejszą; a potém go zapieczętujesz, zapiszesz kopertę i wyszlesz umyślnym.

To rzekłszy, wyszedł wojewoda, a ja otworzyłem wskazaną mi wielką, do połowy już zapisaną księgę. Charakter w niéj był rozmaitéj ręki: i samego wojewody, i księdza kapelana, i różnych innych; rzecz też rozmaita była. Wpisywano tam razem publiczne i prywatne interesa i *cyrkumstancye*, codzienne prawie *eventa* dworu naszego, rozporządzenia ekonomiczne komisarzom, instrukcye plenipotentom do spraw w subseliach i w trybunale; a obok tego i w większéj części, opisanie publik i sejmików, przez pana wojewodę traktowanych, podróży odbytych, listów i odpowiedzi, niektórych ważniejszych *per extensum*, a niektórych w treści. Takoż rozmaite nowiny i zdarzenia krajowe, oracye i głosy, tak *in publico* przez samego pana wojewodę, jako też i przez innych sławnych oratorów miewane, a nawet rozmaite historye, sentencye, wesołe dykteryjki i wiersze przez przybyszów i bywalców światowych opowiadane, a które wojewodzie się podobały; nakoniec niektóre ciekawe prognostyki, oraz sekreta i *arkana* doktorskie, na różne defekta tak ludzkie jako i końskie, które ja sobie najpiérwéj skopjować postanowiłem, słowem, bardzo to ciekawa i pożyteczna księga.

Na piérwszéj karcie, nasz kochany mądry ks. Maciéj kapelan wymalował, choć to atramentem, ale pięknie, w doskonałym *konterfekcie*, herb pana wojewody, jakoby nad bramą *adornowany*, a pod nim takie napisał wiersze:

Otwarta brama, z świętéj Niebios rady,
Dla Tadeusza cnot ślicznéj parady;
Za którą i sam postępując w tropy,
Wolny odprawi wjazd do Nieba z Europy.

Podobno za ten koncept ks. Maciéj dostał srébrną tabakierkę od wojewody.

Lecz odkładając na wolniejszy czas czytanie onéj i kopjowanie, wziąłem się teraz do wpisania tam, podług rozkazu JW. pryncypała, mojego listu do pana podstolego.

Na stronicy, gdzie mi przypadło pisać, było już nieco napisanego z góry, a na marginesie, zanotowana jakąś nieznajomą ręką sentencya łacińska, wiadoma każdemu dworsko traktującemu: „*Dum subera suberant*, *subera suberare memento.*“ (*) — A toć — pomyślałem — wyraźną daje mi Pan Bóg przestrogę. Wojewoda tylko co powiedział, że o fatygę sekretarską ze mną pomiarkuje się; otoż zręczność i *momentum suberare subera;* dodawszy do tego wątpliwość pańską, czylim ja traktował szkoły.... *summa facit* — atłasowy żupan. Wziąłem więc demestykę papieru i napisałem:

„W *rekompensę* funkcyi sekretarskiéj, oraz uznając

(*) Drzyj łyka, kiedy się drą.

„przykładną aplikacyę w szkołach marszałka dworu „mojego, JP. Michała Ławrynowicza, assygnuję mu „ze sklepu kupca Abrahama w Połocku, atłasu pa„liowego w *echcie* na żupan łokci dziewięć. Datt „178....“

Właśnie gdym ukończył pisać i list pieczętowałem, nadszedł wojewoda.

— A co? ojcze święty! gotowo? — zapytał.

— Jeszcze tu potrzeba jednego podpisu JWpana.— I podałem assygnacyą.

Przeczytał, pokręcił głową, ale rozśmiał się, z czego wraz sobie dobrze tuszyłem.

— Niechże i tak będzie — rzekł. Zręcznie się domawiasz. Ale na cóż tak wiele atłasu? czy nie możnaby *per abbreviationem?* naprzykład łokci pięć?

— Nie można, JWpanie, bo byłby żupan z fałszem; a ja prawdą chcę żyć na świecie.

— Trudno odmówić, na wszystko masz gotową racyę. — I podpisał.

Powróciłem zatém do mojéj oficyny w wyśmienitym humorze, a zapaliwszy także fajkę i popijając piwko, dumałem sobie to *to*, to *owo;* więc przyszło mi na myśl, że to wyśmienita książka pana wojewody, i gdybym to ja taką pisać zaczął? Uważałem rzecz tę *pro et contra.*

— Na co mi ta praca liszna przyda się? Gdybym to jeszcze był żonaty.... to dla pamiątki dzieciom...

— A kto wié? może i ożenię się? Panna Rachela, respektowa wojewodzinéj, nie źle na mnie pogląda...

— Tfu do licha!— myśliłem znowu — oto byłaby praca liszna.... Teraz głowa wolna.... Czy szatan kusi? No, ale zresztą, pędzę życie światowe, dworskie; nie z jednego pieca chleb jadłem, i nie z jednego jeszcze zdarzy się jeść. Cóż to złego byłoby, mieć sobie na starość kiedyś w ciepłéj chacie nad czém rozpamiętywać?... Głowy sobie łamać nie będę, bom nie teolog, ani jezuita; a Zoila nie boję się, bo nie na *publicum*, ale *sibi soli* pisać będę. A zatém—

Adsis inceptis Benigna Virgo meis! (*)

(*) Przybądź początkom moim w pomoc, Miłościwa Panno!

— Mości panowie!— rzekłem, odstępując w tył kilka kroków— protestuję się i biorę na świadectwo obecnego tu wielmożnego pisarza, żem nikogo z ichmościów nie obraził; więc jeżeli poniosę jaki *grawamen*, zaraz *manifestuję* niesłuszny attak, i od tego mementu *nego activitatem* ichmościom na sejmiku.

Porwał pan Podwiński za kark Zapończyka.— Idź spać, opoju!— rzekł, popychając go do alkierza.— Panie szambelanicu! obudzę podkomorzego; jeżeli nie dasz pokoju tym burdom.— A do mnie:— panie marszałku! zrobiłeś swoje, wiec nie masz tu po co dłużéj czekać.

Wyszedłem zatém; dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz.— Panie Michale! rzekł on — wybawiłem cię z kłopotu: bo czy cię diabli nadali przychodzić z taką propozycyą, gdym ja ku pojednaniu i ku wygranéj naszéj (rozumie się wojewodzińskiéj) rzeczy nachylał? dla tego jedynie i byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie, i za wojewodę.

— Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanicem gdy przez noc szum z głowy im wynijdzie. Waść zaś perswaduj podczaszemu.

— Trudno to będzie — odpowiedziałem.

— No, to jak sobie chce zresztą. Nieźle to czasem, kiedy młodzika zuchwałego trochę przyuczą. Ale powiedz wojewodzie, że pracuję szczérze w jego zamiarach.

— Bodaj tyle pies płakał! — pomyślałem, i uścisnąwszy się kordyalnie, rozeszliśmy się.

Pan Stanisław, uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mnie z płaczem prawie.— Panie bracie! panie Michale! — rzekł potém — pójdę teraz do Dominikanów na nieszpory, i zaraz spać; bo przede dniem trzeba nam być na koniach; i ty, panie bracie, sta-

raj się wywczasować się, bo cię jutro *summo mane* obudzę.— Ale mnie nie było czasu myśleć o odpoczynku: bo wnet pan wojewoda przysłał po mnie, i kazał assystować sobie do pana Rudominy, który go na wieczorną hulankę zaprosił.

WIECZORYNKA.

IV.

Idąc my gromadnie i huczno przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo i ja rozdzieliłem dwudziestu cztérech naszéj kapelii na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich, i pan podkomorzy Sielicki miał swoich muzykantów, i z dziesiątek żydków z cymbałami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą; ale też znali i to, że w kieszenie napakują koronczyków sowito.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około swoich przechodzili, wypadała z domów, krzyczała: „*Wiwat pan wojewoda Połocki! wiwat!*" Chwytała przytém na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie opponował się téj subjekcyi wojewoda, owszém wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partyą przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszu puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili zapończyki, jakiś urwisz;

a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie Wojewoda!
Co to za moda?
Na to nie zgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała chałastra: — *Szlachtę pożerasz! Szlachtę pożerasz!* — Pan wojewoda nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy co z tego będzie? Zaczerpnął miedzianym kubkiem miodu z cebra, i ukłoniwszy w około—ojcowie święci!—rzekł—piję za zdrowie przezacnych braci szlachty traktu zapońskiego. Wiwat!

— *Wiwat!*—wrzasnęła szlachta—*wiwat* wojewoda połocki! *wiwat!*—I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzucała w górę, nie przestając wykrzykiwać:— *Wiwat!*

Jak to u nas nigdy w sercach zawziętości nie ma! Ale domyśliliśmy się, że wiersze te składał pan Reut: bo to ptaszek *Scholarum Piarum,* do niego z całego województwa jak do doktora po recepta, udają się po oracye i kadencye, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przybywszy zatém szczęśliwie wszystkie szkopuły, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześcią waltorniami, w licznéj *komitywie* przyjaciół, spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieczerzę nie z *marcypanów,* ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosołu kilka waz, a pieczonéj źwierzyny *quantitas,* że aż stół się uginał. P. Rudomina jest myśliwym; przed sejmikami poluje on ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szyn-

ki dzikowe, łapy niedźwiedzie, zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptastwa, na szerokich cynowych blatach góry poukładane; prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów i do rosołu. Odbywszy więc kolejkę staréj wódeczki, zaczęliśmy repetować wyśmienicie, zapijając tłuste kęsa wybornym trojniakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce spróżnionych mis i półmisków, stawały nowe, również sowite; te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu, i coraz to więcéj przybywało kompanii. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła nakoniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą odmianą, nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina, i zaczęły się wiwaty.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* nie odbiega od kielicha, i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanéj winem i zręcznie z nich nalewałem wojewodzie; ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz więc, *volens nolens* szczéry ciągnie trunek; a jeżeli już tak się spije, że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w pogotowiu kilka serwet i misę zimnéj wody, okładamy zatém całą głowę umoczonemi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum*, że takim sposobem trzy razy od pory do pory upić się i wytrzeźwić się można; a zapisuję to dla pamięci własnéj i *propter utilitatem publicam.*

Więc tedy po wieczerzy piliśmy u pana Rudominy *lautissime;* za każdym wiwatem do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewki przyśpiewywały chorem i wesoło:

Wypił, wypił nie zostawił—
Hu! ha! nie zostawił!

Bodaj go Bóg błogosławił—
Hu! ha! błogosławił! etc.

a potém huknęły *kurdesza* i *czumadrychę*. Wytrzymać już nie można było! *Czumadrycha*, to skoczna nóta: więc poły za pas zawinąwszy, wyrywali nasi bracia dziewki od waltorniów, i daléj w *obertasy*.

Ja tego uczynić nie mogłem z racyi prezencyi wojewody, ależ jednakowo choć na miejscu podskakiwałem: bo i w głowie szumiało, i powiadam, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda *ukonsolowany* nader, całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotówek posypało się, trudnoby zliczyć. Garściami dziewki zbierały pieniądze; ależ bo i warte tego! Niech ich tam.... Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko: i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzyki, hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przelęknione dziewki wrzasnęły okrutnie; my także krzyknęliśmy: *Jezus! Marya!* i osłupieli jak wryci.... Wnet ktoś zawołał:— Łapać *excessantów!*— a zatém hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło, i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po ślizkiéj ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwasił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli: Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiąż!— nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu obadwa polowali. Zamięszanie i zgiełk niewypowiedziany— istna wieża babilońska.

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to nic nie

pomogło; posmalili tylko drzewa, i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili. Ogródek dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc że pijanice jakowiś, strzeliwszy do okien naszych, jak w ul, w tenże moment przeskoczyli ostrokoł, i już byli daleko gdyśmy ich szukali; znaleźliśmy tylko pod płotem rożek z tabaką, i to cały *sukces* wyprawy.

Zmokli po próżnéj bieganinie, zebraliśmy się przecież do izby. P. Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę; przepraszał go pokornie, choć najmniéj nie winien; raniutko nazajurz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo; a nakoniec, po wzajemnych najserdeczniejszych *expostulacyach*, wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziéj nasz!
A my, jego sludzy,
Pijmy, jak i drudzy.
To to pan, to to pan, to dobrodziéj nasz! (*).

I rozpaliwszy pochodnie, poszliśmy do własnéj kwatery.

POJEDYNEK.

V.

Nazajutrz przed wschodem słońca, wszedł do mnie pan Stanisław.— Panie bracie! panie Michale!— rzekł on, budząc mnie rozespanego — wstawaj! konie gotowe.

(*) Dawna piosenka hulacka.— *n. w.*

— Ależ mnie prędko powrócić trzeba: bo jak się obudzi wojewoda, pewny jestem, że zaraz zawoła; tém bardziéj, że dziś *reassumpcya* sejmiku.

— Nu to, bratku, za kwadrans będziemy na miejscu. Wiem przez moich szpiegów, że Jeśpan szambelanic bez zawodu stanie na placu z kilku swemi *adherentami*, nie będziemy więc długo czekać. Sama zaś sprawa.... nie pociągnie.... nadzieja w Bogu i w *Harasimie.*

Przypasałem więc i ja moję *Elżutkę*— szablę *Augustówkę*, którą mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty brasławskiego, zięcia pana wojewody, i ruszyliśmy konno kłusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o staję odprowadził. Pan Stanisław dobył *Harasima* i wbił go w ziemię, a z kieszeni dobył mały paczek i położył na kamieniu.

— A to co? panie Stanisławie!— zapytałem.

— To, panie bracie, chleb razowy i pajęczyna: doświadczone szlacheckie *vulnerarium*. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki, ten raz przynajmniéj obiera chatę z pajęczyny, i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu: bo w przypadku niespodzianym — (tu poprowadził palcem przez nos i gębę)— zaraz w kieszeni *remedium*, które i krew zatrzymuje, i w krótkim czasie tak leczy, że tylko kreska zostaje.— Waść młody, panie bracie, więc słuchaj mnie starszego i bez pajęczyny nie jedź nigdy na sejmiki. A teraz, nim nadjadą, zmówny tymczasem pod krzyżem poranne modlitewki.

Uklękliśmy więc przed figurą Pana Jezusa, i zaczęliśmy się modlić.— *Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!*— wymawiał ze skruchą bijąc się w piersi pan Stanisław — *ale niechże mnie strzelczykiem nie nazywa.* Amen.

Powstał potém i przechadzał się, pokręcając wąsa i poglądając po drodze od Uszacza.

Wtenczas piérwszy raz przypatrzyłem się dobrze

figurze pana Swiebody.— Miłyż Boże! pomyśliłem— nie znał człowieka szambelanic, i zaczął z nim sprawę, pewnie fatalną dla siebie.— Pan Swieboda urody nie wysokiéj i przychromywa trochę na prawą nogę: bo na którymś sejmiku w pięte go podstrzelono. Na twarzy jego, diabeł (jak to mówią) grał w tryszaka: poszrotowana ospą i pokiereszowana kilka szramami od pałasza. Kiedy jeszcze, podjąwszy Harasima, nastroił marsa, uciekała odeń szlachta, jak od bazyliszka. Kłębów pan Stanisław zupełnie niéma, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czém się trzymać, i musi je aż na pas zakładać, a pas znowu na ciemne haftki po żupanie zawieszać! ależ za to plecy! jak ława! a ręka, jak łopata! kiedy to ściśnie z całego affektu!... W pojedynku bije się z podjazdką i przysiadkiem, do czego noga troszkę podkrzywiona posługuje mu wyśmienicie. O swoich krésach na łbie i na twarzy rozpowiadać nie lubi; krótko zbywa, mówiąc:— *Plażyłem ja, plażyli i mnie.*

Niezadługo ujrzeliśmy sześciu konnych, sadzących do nas, nie gościńcem, ale przez pola i łąki, a przeskakujących rowy i płoty.

Źle, panie bracie!— rzekł pan Stanisław— już podobno nie trzeźwi: lecą na manowce, jakby ich, Panie odpuść, szatan prowadził, i może wszyscy razem na mnie napadną. W takim razie ja oprę się o krzyż, i krzyżem ich przeżegnam; a ty panie bracie, pilnuj tyłu.

Nie tak wszakże się stało. O kroków kilkanaście zsiedli z koni wszyscy, a sam jeden tylko szambelanic dobył szabli i bez pamięci leciał na pana Stanisława. Ten wyrwał z ziemi *Harasima,* podjechał z przysiadkiem; a kiedy to podjął się razem i dźwignął potężnie!... furknęła w powietrzu i odleciała precz szabla szambelanica, a sam z impetu padł jak długi na ziemię.

— A co? panie bracie!— rzekł pan Stanisław— *ustawaj! na pleczach kryża rabić nie budu.*

— Pogodzim się, panie podczaszy!— rzekł powstając szambelanic.— Zgoda! zgoda! — krzyknęli jego sekundanci — masz satysfakcyę, panie podczaszy!— Zgoda! panie Stanisławie! — rzekłem i ja.— No, to niechaj sobie i zgoda — powtórzył pan Stanisław, chowając *Harasima* do pochew. *A druhi raz,* panie bracie, *nie zaczepiaj strelczyka, bo Waszeci nastrelaje.*

Znowu krzyknęliśmy: — Zgoda! — Uścisnęli się adwersarze, i wszyscy w najlepszéj komitywie, dziękując Bogu, że obeszło się bez szwanku, wróciliśmy do miasteczka.

SESSYA SEJMIKOWA.

VI.

Pan wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdym stanął przed nim i opowiedział racyę mojéj nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winszował *wiktoryi.*

Trafiliśmy na same *consilium bellicum.* Był już pan podwojewodzi *Korsak,* pan *Rudomina,* pan *Szyryn,* pan *Podwiński* i kilku innych wojewodzińskich. Po wczorajszym zwłaszcza *excessie,* gdy podobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicyę na cmentarzu około kościoła, i postawić szyldwachy przy drzwiach.

Już nawet rzekł do mnie wojewoda: — Ojcze święty! biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta.... kapelia na przedzie.

— A któż będzie sejmikować? — odezwał się pan Podwiński — bo, mości wojewodo, ani pan podko-

morzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JWPan zagaił sejmik i obrał posłów, to nie będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim: a rumor nieżyczliwy, który już i tak się szérzy pomiędzy szlachtą, że JWPan chcesz *opressive* działać, zweryfikuje się *plenissime*, i już potém nie naprawić tego.

— Więc cóż robić? ojcze święty!

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zacnego senatora i przewodnika województwa przystoi, a razem nie zaniedbać i ostróżności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniéj z ich *insynuacyi*, bo obywatele zacni i uczciwi do takiéj akcyi wcale niezdolni, i krzywdę im czyni, kto taką *suppozycyą* na nich chowa; a w ogólności, u naszéj poczciwéj szlachty i u panów chrześcijańskich więcéj wrzasku niż złości...

— Cóż w konkluzyi? ojcze święty!

— W konkluzyi, idź pan śmiało do kościoła, i zasiądź swoje senatorskie *stallum;* przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pana pisarza, a zatém rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda: — Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych, i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządzicie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojcze święty, powracaj tu do mojéj assystencyi.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik, i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy ztamtąd z należytą *adoracyą Sanctissimum* do klasztornéj kaplicy; potém *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum,* szliśmy

wybierać gwardyę dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

— Panie bracie! Panie Michale!— rzekł do mnie pan Stanisław — po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją *manudukcyą* pięddziesięciu *Porczyńskich*, cała okolica; chłopy jak dęby; zajmę z niemi *prezbiterium;* ręczam, że dotrzymają *Zapończykom*, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potknie.

Dictum — factum. Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu, i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich *gracialistów*. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym sowito zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworków, wołali:— Swiebodczuki! a dokąd? Swiebodczuki!— Porczyńscy poglądali z pode łba, jak niedźwiedzie, i ciągnęli spokojnie; ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płatnął który!...

Zasadziwszy więc ich, podług instrukcyi pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem nawściąż drzwi kościoła, a zamknąłem fórtkę od zakrystyi i schowałem klucz za nadrę, aby na wszelki przypadek mieć wolną drogę do *rejterady*. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatém ruszyliśmy do kościoła.

Pan wojewoda *magnificenter* wystąpił, i dalipan po pańsku. Kuntusz granatowy z sajety jak atłas, ze sznurami i kutasami złotemi; żupan materyalny, spięty karbunkułem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie; pas bogaty w karpią łuskę, a złoto ciekło z frenzlów; nakoniec wstęga błękitna Orła Białego, a gwiazda na

piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknéj figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwa koło łba nie chodzi: bo i fryzury i łby golone wychodzą już z mody; oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak oblany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze, podsunie się gracko do jakiéj kobiétki, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy; ja tuż za niemi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty, którym, jako i Swiebodczukom, po bigosie i palonym krupniczku (*) z łysin się kurzyło. Uspakajałem jak mogłem ich hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając prawie każdego *de nomine et cognomine*, i sustentując ich hojnie, zjednałem sobie między niemi wielką *konsyderacyę*.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę; a nakoniec, gdyśmy wchodzić mieli, Junosza, znajomy nam zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

— Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przezwali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuścim, i zamkniem drzwi przed nosem.

Jakoż zatrzasnął drzwi kościelne i drągiem zewnątrz zawalił.

W kościele do większéj jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie Zapończyki, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc klucz od zakrystyi wojewodzie.

(*) Krupniczek — wódka palona z miodem i różnemi korzennemi zaprawami. — *N. w.*

— Ojcze święty! masz rozum— rzekł on.— Chciałem mu przypomnieć *infimę*, alem właśnie postrzegł, że byłem w paliowym atłasowym żupanie. Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą Swiebodzińską gromadką. Zapończyki *obstupuerunt*, ujrzawszy nas jak z nieba spadłych.— Zdrada! zdrada!— krzyczał pijany Junosza— Twardowskiemu diabeł sekunduje!

— A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem przystępując doń impetycznie — w domu Bożym o diable tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do Dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa. Oni ciebie wyklną, a my upieczem na stosie, jak raka. A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka. Precz z domu Bożego! precz!— I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy; ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę; a tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi, i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sieliccy, Norniccy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przede drzwiami stała rozgniewana nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i obecnych nie było.

Otoż to zaczął się hałas i kweres, kiedy się kościół już napełnił. Boże zlituj się! Myśliłem, że nie trafim już do końca.

Nie czekając *reassumpcyi* sejmiku, podkomorscy krzyczeli:— Prosimy na posłów pana *Sielickiego* i pana *Reuta!* Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut!*— Nasi wrzeszczeli: — Wiwat pan *Sulistrowski* i pan *Brzostowski!* Posłowie województwa Połockiego!

— A gdzież on? ten pan Sulistrowski? — zapytywali jedni.

— W antypodach! — z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtém pan Stanisław ukazał się znagła na kratkach i wrzasnął okrutnie:— Prosimy naprzód spalić heretyka *Junoszę!* kto w Boga wierzy, *pal!* bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiem.

Więc wszyscy Porczyńscy krzyknęli: — Palić heretyka! palić!

Spójrzałem w oczy panu Stanisławowi.— *Stemus simul!*— rzekł on do mnie — popieraj moję propozycyę, panie bracie!

I znowu zaczął perorować:— Kto z kim przestaje, takim się sam staje: więc i my mości panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziem herezyi. Do niczego zatém nie przystępuję, nim ta materya skonkludowaną nie będzie. To materya *status,* gdzie idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask:— Spalić Junoszę!

Zrozumiałem ja o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem:— Nie pozwalam! Junosza nie tylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tęgiego trojniaku, i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie żarty! Ale po sprawiedliwości, trzeba aby był wprzód *jure victus;* a zatém spławić go należy. Ja znam cały *proceder* téj operacyi, bo już cztéry baby pławiłem; proszę zatém o *exhibicyę* osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

— Jeżeli potonie, to i wyciągać nie trzeba, bo heretyk; a jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

— Niéma zgody! — krzyczał Swieboda i Swiebodzińscy.— Na co te ceremonie z heretykami? *Pal!* kto w Boga wierzy, *pal!*

— Pławić!— krzyczałem ja i dawałem znak moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół za-

trząsł się.— Pławić czarownika Junoszę! po świętéj sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzali na nas z podziwieniem.— Ojcowie święci!— rzekł wojewoda — czyście poszaleli?

— Nie bój się pan— szepnął mu pan Stanisław— nie spalim, tylko wykurzym tego burdę i opoja. A krzyczał głośno:— Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o *extradycyę* Junoszy.... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem:— Zapraszam panów braci na pławienie!

Junosza cóś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum* pławienie czarownika! na życiu mojém tego nie widziałem. Wiécie co? mości panowie! dajmy Junoszę na próbę.

Widząc on zatém, że gotowi dla saméj ciekawości wydać go na *stracenie*, chyłkiem po za filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swóje: ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wrzaskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla *reassumpcyi* sejmiku; a że Jezuici nie wyśpieszyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a *elokwencya* pana wojewody *ex abrupto* niezawołana, przeto powtórzywszy znowu:— Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodzieje!— dodał tylko — pokornie suplikuję wysłuchać *reassumpcyi* naszego poselskiego sejmiku, zapisanéj przez godnego urzędnika ziemskiego wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na

które rozumiém, iż zajdzie zgoda całego prześwietnego województwa.

— Co za *laudum?* jakie *laudum?*— odezwali się Sieliccy.— Na żadne niéma zgody.

— Otoż wysłuchajcie naprzód jakie *laudum*— rzekł powstając pan pisarz — bo teraz krzyczycie nie wiedząc o co.

Promotor ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda; a rozumiejąc go być swoim, tak jak my rozumieliśmy go być naszym, skinął ręką na swoich, to i cicho.

Odczytał zatém spokojnie pan pisarz swoję *reassumpcyę* i *laudum,* w którém wyrażał: aby każdy, ktoby *in tractu* obrad w kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

— Jakto?— wrzasnęli Zapończyki — a na cóż u licha szabla, gdy jéj wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczywkę do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to my wtenczas szable odpaszem. Pan Podwiński *skorumpowany!* niéma zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele... gdy nagle odgłos trąbki pocztarskiéj rozległ się przed kościołem.... Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na drzwi, w których wnet ukazał się pan Aloizy *Sulistrowski,* pisarz wielki Litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on *de radice* oszmiańczuk; ma tam swoje dobra *Szemetowszczyznę, Wiszniew, Czurlonie,* do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych *intencyi,* aby z Oszmiańskiego posłami byli pan *Kociełł* i pan *Bieńkuński,* więc pan pisarz wielki litewski, mający w Połockiém województwie jakiś folwark, postanowił ztąd posłować i napisał wcześnie o tém do wojewody.

Wielki *rumor* się zrobił na jego widok. Zostawiono mu széroką lukę aż do kratek, wśród któréj postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie że przybywa prosto z Warszawy.

Nie wysoka to kreatura pan *Sulistrowski,* ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan *Podwiński.* Niéma on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez *oracyów*, bez *argumentów* i *traktamentów*, to wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem *konferencyach* ukartuje, że ani się postrzegą jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a *stalla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan Sulistrowski wiedział, a szlachtom ani się śniło! Powracają więc potém spuściwszy nosy na kwintę do domów, i przeklinają Sulistrowskiego, że ten intrygant i *farmazon* skończył *insperate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odprawił. Przyszedłszy do stołu pan Sulistrowski, uścisnął poufale pana wojewodę, przywitał się grzecznie ze wszystkimi, i wyjął z zanadry list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie mówiąc: „*Od Króla Jego Mości.*“

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go — Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł — ponieważ pismo Miłościwego pana bardziéj się tycze całego naszego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy, i z owego krzykliwego zgiełku nastało milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatém głośno pan wojewoda *ut sequitur,* bom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od *koronata!*

„Wielmożny uprzejmie nam miły!

„Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszły, prawem oznaczony. Prześwietne wojewó-

dztwo Połockie posiada zapewne w gronie swojém mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszéj królewskiéj; lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Aloizy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obrąnymi byli. Oświadcz Uprzejmość Wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu Połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę naszę królewską. Dobrego przytém zdrowia Uprzejmości Waszéj od Boga życzymy.“

Po odczytaniu, znowu było milczenie, aż ktoś z ławek odezwał się: — Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! — A tém jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana; uważam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszéj szlacheckiéj, obierania urzędników po naszéj woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwietnego województwa i każdego z braci szlachty, *ausus sum* funkcyą poselską na przyszły da Bóg sejm piastować, i o takową dopraszam się; przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich *affektach*, (tu kłaniał się na wszystkie strony), nie odstępuję *ambijencyi*, i godnego ze wszech miar JW. pisarza litewskiego, acz przez majestat *promowowanego*, na wota proszę.

Pan *Sulistrowski* stał spokojnie, nic nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsika; a szlachta krzyczała: — Prosimy pana *Sielickiego!*

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: — Oto *Reverendissimus Reut* z kazaniem! — Bo też zjawił się na ambonie pan Reut. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan Reut tak perorował:

— Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcic! a szlachcic na ogrodzie, równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo; a co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanic senatorowicz,

a ja łowczyc z Amtorowicz, (tak się nazywa folwareczek pana *Reuta*), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi.*

Brawo!— krzyknęła szlachta— brawo! Wiwat pan *Reut! wiwat* pan łowczyc poseł nasz! *wiwat!*

— Prosimy pana wojewodę o wota, Kandydaci wiadomi— odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególniéj przeciw panu Sulistrowskiemu:— Na co nam oszmiańczuka, kiedy mamy własnych?

Poznał on na co się zanosi; szepnął więc na ucho panu wojewodzie, a ten się odezwał:— Ojcowie święci! spóźniona pora, sejmik jest *reassumowanym;* odwołuję więc sessyę na jutro.

— Nie ma zgody! — krzyknęli *ex opposito* — nie ma zgody! *Pluralitas* widoczna— dodał pan *Sielicki;* więc albo niech panowie współambijenci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sessya odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc:— Panie wojewodo dawaj *kałkuły.* Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut!*

Rady już żadnéj nie było. Znowu rzekł pan wojewoda:— Ojcowie święci! odwoławszy sessyę, nie mam tu nic do czynienia.— I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest, przez zakrystyę.

Pan *Sielicki* oświadczył zatém, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojcze święty!...— Bliziuteńką już zwadę przerwał pan *Sulistrowski;* zbliżył się on do pana *Sielickiego* i rzekł po swojemu, to jest, zcicha i skromnie:

— Racz, Mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sessyi do jutra; dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przeze mnie samego te-

raz przesyła panu dowod swéj łaski pańskiéj i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego?— zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłómaczenia rzeczy ważnéj, wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a nie pożałujesz pan tego.

Sielicki zaczął miękczeć i konferować ze swojemi. Szlachta niewiedząca o niczém, wrzeszczała jednak... Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła: — *Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!*— I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz?— zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachtą. Z pięciu czy więcéj znalazło się Mateuszów, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, i że tém samém uważanym jest *promotorem* swojéj gromady, chciał dotrzymać takowéj *preponderancyi;* zwoływał więc, gromadził, popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś z nich podjąwszy czapkę w górę, zawołał:— Na obiad! Mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycya.— Na pieczenie, na pieczenie!—huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni: i *Mateusze* wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci!— rzekł wojewoda— piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników na obiadek pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakiéj *molestacyi* i podkomorzy; więc wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła i wnet cały Uszacz zajadał pieczenie.

OBIAD U PANA WOJEWODY.

VII.

Tłum się u nas zebrało gości. Ponieważ przyszedł i pan *Sielicki* podkomorzy, naczelnik naszych oppozytorów, więc za nim przyszli i panowie *Norniccy*, *Przesieccy*, i pan *Reut*, i kilku niższego choru braci szlachty z ich partyj. Wszystkich najuprzejmiéj witał wojewoda, a każdy pytał się ciekawie o nowiny z Warszawy, szczególniéj jakie to *fawory* królewskie ma osiągnąć podkomorzy?

Dogadzając więc téj ciekawości okoliczników, pan Stanisław szepnął pod sekretem na ucho któremuś, że podobno król Jegomość wysyła pana podkomorzego posłem do Turek, a cały trakt zapoński wyznacza mu na assystencyą i *sumpt* własny ma *spendować*.

— Czy to aż za morze? mości dobrodzieju zapyłał cicho szlachcic.

— Naturalnie, panie bracie, że suchą nogą tam nie dojdziesz.

— Da pani podkomorzyna nigdy na to nie pozwoli— rzekł szlachcic, widać domowy *famulus* pana *Sielickiego*. I pokręciwszy głową, wymknął się cichaczem za drzwi, z nowinką do braci.

Tymczasem uważałem, że pan *Sulistrowski* unikał podkomorzego, a z panem wojewodą w alkierzu długą miał *konferencyę*. Dobry sługa powinien zgadywać myśl pańską, więc i ja, aby nie zważano na to, kazałem roznosić wódeczkę.

Gdy wyszli z alkierza, szepnął mi wojewoda:—Ojcze święty! trąby do sieni, a Piekarski niech będzie gotów na dziedzińcu, gdy usłyszy trąby— *Apel!*

Nie zważając niby na polecenie, stuknąłem moją laską marszałkowską przed wojewodą, i rzekłem z tęgą miną:— Waza na stole!— Zasiadano więc do obiadu, a ja się wymknąłem tymczasem za drzwi i zaordynowałem wszystko podług dyspozycyi pańskiéj.

Obok pana wojewody usiadł z prawéj ręki pan pisarz litewski, a z lewéj, pan podkomorzy *Sielicki*. Pełniąc moją powinność, obchodziłem stół dokoła, pilnując porządku i zbliżając się często do wojewody, a nuż czego nie rozkaże?

Jakoż pod koniec obiadu, rzekł on do mnie:—Ojcze święty! *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*. Ja tylko jeden zrozumiałem co to znaczy. Jest w sklepie wojewody *kapitalne* stare francuzkie wino, które pachnie chlebem razowym; od zapachu więc tego nazwał on je *chlebem powszednim*, choć *a festis* tylko i na dobitkę podawać go każe. Miałem ja wprawdzie między moją prowizyą sejmikową kilkanaście gąsiorków i tego *chleba powszedniego*, ale schowałem je aż w kominie w alkierzu: bo rozumiałem, że sejmikowa sprawa obejdzie się i bez tego *specyału*. Poznałem zatém po zakroju, że cóś ważnego nastąpi, gdy od tego zaczynamy, na czém zazwyczaj kończyliśmy.

Wybrawszy więc kielich średniéj miary, (bo największy połknąłby dwa razem gąsiorki), podniosłem go na tacy wojewodzie, a hajduki nieśli za mną

chleb powszedni. Powstał pan wojewoda, i ująwszy nalany zpełna — Zdrowie! — rzekł — JW. Sielickiego. Przestał, a potém dobitnie zawołał: — Kasztelana województwa połockiego! — Spójrzał zdziwiony pan *Sielicki*, obrócili się wszyscy ku wojewodzie; ten stał nie spełniając jeszcze kielicha; a wtém powstał pan Sulistrowski, i rzekł, dostając z zanadry znowu wielki list, jeszcze z większą białą pieczęcią: — *Król Jegomość*, pragnąc dać tobie, mości podkomorzy, dowód swéj łaski pańskiéj, i nagrodzić *merita* twoje, powołuje cię do boku swego i *konferuje* wakujące krzesło senatorskie kasztelanii tego prześwietnego województwa. Przywiléj Najjaśniejszego pana składam więc w ręce twoje, mości wojewodo połocki, abyś, jako *princeps nobilitatis* w województwie, oddał dziś swemu od dziś dnia koledze, JW. kasztelanowi połockiemu.

Jakoż pan wojewoda przyjąwszy papier ten od pana Sulistrowskiego, odpieczętował, wyjął przywiléj, i jedną ręką oddając go panu *Sielickiemu*, drugą podniósł w górę kielich i krzyknął:

— Wiwat kasztelan połocki! wiwat! Apel!... i wypił.

Zabrzmiały trąby i kotły, a razem Piekarski dał salwę na dziedzińcu.

Pan Sielicki jak osłupiały stał, trzymając przywiléj w ręku, a łzy mu po twarzy grochem się sypnęły....

Kielich przyjął od wojewody pan *Sulistrowski* i też same powtórzył zdrowie: więc znowu trąby i salwa; szło tak daléj i daléj, gdy pan Sielicki ocierając z łez twarz i wąsy, rzekł do mnie: — panie marszałku! proszę o kielich. — Podałem nalany.

Jeszcze gęściéj łzy mu się potoczyły, gdy chciał mówić oracyę na podziękowanie za tę niespodzianą godność. Proszę uniżenie! nie płakałby tak rzewnie, gdyby mu fortunę odebrano! Co to znaczy

wdzięczność w poczciwém sercu! bo lubo był zawsze naszym przeciwnikiem, jednak *quod jure, juste*, powiedzieć trzeba, że pan Sielicki zacny człek i godny obywatel.

Ledwo więc wymówić mógł on, i nie dosłyszałem jego *kongratulacyi;* skończył głośniéj i zrozumiałéj, bo wnosząc zdrowie JW. Sulistrowskiego, godnego dygnitarza, a przyszłego posła województwa połockiego. — *Wiwat!* — krzyknęliśmy wszyscy hucznо. Od trąb i salwy aż okna drżały. Pan *Sulistrowski* podług zwyczaju swego nie mówił wiele, tylko się uprzejmie kłaniał, uśmiechał i wąsiki pokręcał.

Podałem więcéj kielichów, każdy chwytał je, i szły gęste wiwaty, poplątane razem i dla nowego kasztelana, i dla przyszłego posła. Jeden pan Reut, siedzący pod końcem stołu, nie powstał i nie łączył się do naszéj ochoty, a siedząc nad kulszą indyka, pokręcał tylko głową; ale gdy ktoś z tłumu wykrzyknął: — Zdrowie pana *Brzostowskiego*, drugiego posła naszego! Pan *Reut* nie dotrzymał i zapytał: — Cóż to? mości panowie! czy już po sejmikach, że obwoływacie posłów?

Nie słyszano w tłumie téj *tanquam* protestacyi jego, ale pan Stanisław siedzący naprzeciw, spójrzał nań z pode łba, i zcicha ale dobitnie rzekł: — *Chapaj Reut miasa!* — Coby z tych *allokucyi* między nimi wynikło? możeby przyszło znowu do *Harasima*, bo i pan *Reut* nie daje sobie grać po nosie; ale kłaniając się uprzejmie wszystkim, pan *Sulistrowski* nie spuszczał z oka nikogo; postrzegł on już pierwéj, że pan *Reut* nie przyjął podawanego przeze mnie kielicha, i poznał widać po mnie co się święci. Nieznacznie więc przechodząc tłum, zbliżył się do pana *Podwińskiego*, szepnął mu cóś na ucho; ten znowu zbliżył się do pana *Reuta*, szeptał mu długo i poprowadził go za

sobą do alkierza, do którego wszedł wprzód pan *Sulistrowski*.

Pan Stanisław mrugnął na mnie, ja na niego, i gdym się doń zbliżył, rzekł do mnie zcicha: — Oj! panie bracie! na ciężką *konfessatę* wzięty nasz *reverendissimus* kaznodzieja i poeta!

— Dotrzyma—odpowiedziałem.—Oho! to łeb *Scholarum Piarum!*

— A mnie się zdaje, panie bracie, że teraz właśnie jedzą kaszę, do któréj pan *Sulistrowski* p... wrzucił. Pamiętasz koniec Reutowskiego kazania?...

Nikt tych obrótów i manewrów prócz nas nie *zaobserwował*: więc zdziwienie było powszechne, gdy po krótkiéj chwili ukazali się z alkierza pod ręce wziąwszy się ci *tandem* przeciwnicy; a pan *Sulistrowski* z uśmiechem na twarzy, i pokręcając zawsze wąsiki, prawdę mówiąc, jakby drwinki sobie stroił z naszych sejmikowych zawziętości.

— Mości kasztelanicu! — rzekł do pana *Brzostowskiego* — podziękuj pan zacnemu swemu współambijentowi, który się zrzeka i odstępuje swoich zamiarów.

— O, to czarownik! — rzekłem do pana Stanisława. — Czy *inkluzę* ma jaką przy sobie?

— O! ma, ma, panie bracie! ma inkluzę i nosi ją tu — odpowiedział stukając palcem do łba.

Jakoż ściskali się z jawnym affektem pan *Brzostowski* z panem koniuszycem; a pan wojewoda patrząc na to, rzekł:

— Ojcowie święci! gdy tak przez szczęśliwą *influencyę* pana pisarza litewskiego wszystko nam się składa zgodnie, najstosowniejszy zatém będzie kielich — *Kochajmy się!* — Apel! — zawołał wychylając duszkiem.

Brzmiały trąby i kanonada; ale wtém zagłuszył wszystko okrzyk nagły i niespodziany na dzie-

dzińcu i pod oknami; kilkaset razem szlachty wrzasnęło okrutnie: — Wiwat pan *Sielicki poseł turecki!* Wiwat!

Zdziwieni wszyscy, oprócz mnie i pana Stanisława, pytali co to się ma znaczyć? Szlachta cisnęła się do okien i do sieni, i nie przestawała krzyczeć podrzucając czapki w górę: — *Wiwat poseł turecki!* Pojedziem wszyscy za nim do Turek, choćby i za kraj świata!

Podstąpiłem do wojewody, i wytłómaczyłem mu cicho figiel pana Stanisława; zmarszczył się nieco, ale wnet, nie dając czasu do rozwagi — Pójdźmy — rzekł — ojcowie święci, na ganek, ogłosim zbałamuconym braciom szlachtom nowe dostojeństwo pana kasztelana połockiego, i z niemi razem powtórzymy: *kochajmy się!* — Więc wszyscy hurmem za panem wojewodą wychodzimy na ganek.

Dziedziniec dworku tego, w którym mieszkaliśmy, był dość obszerny. Na środku Piekarski stał w szyku frontem ku nam; flinty błyszczały rzędem jak dudy od organów. Podszedłem do niego.

— Prezentuj broń! — krzyknął on ujrzawszy na ganku wojewodę, i machnął pałaszem na dwa tępy — udało się; potém — Do nogi broń! — to nie bardzo kupno poszło. — A teraz nabijać? ale zagniewany Piekarski że nieraźno spuścili broń do nogi, dodał zcicha:

— No, poczekajcie tylko!... Więc zaczęli poczekiwać. Piekarski znowu: — A nabijajcież! niech was piorun trzaśnie! — więc nabili. — Gotowo? Gotowo! — To znowu — na ramie broń! — i stoją czekając hasła.

Tymczasem pan wojewoda do którego i ja wróciłem, na ganku pererował, i ogłaszał przed szlachtą kasztelaństwo pana *Sielickiego* obok z nim stojącego. Więc na skinienie pańskie wykocić wnet kazałem między tłum kilka beczek miodu i toczyć do cebrów. Nie trzeba się było troszczyć czém pić

będą, bo wszystkie z całego *Uszacza* półgarncówki, kwarty i kwaterki żydowskie były w kieszeniach u braci szlachty; a niektórzy nawet z domu cynowe kubki na sejmiki przywieźli. Zaczęli się więc hojnie raczyć naszym miodkiem.

Pan wojewoda kończąc oracyę, w któréj prawdę mówiąc, najczęściéj było słychać *„ojcowie święci"* a któréj słuchała szlachta z otwartemi gębami — Wypijmyż — rzekł — zdrowie nowego senatora JW. kasztelana połockiego! Apel!... — Piekarski komenderuje! *Tou! tuj!* kurki *traf traf!* a szlachta posłyszawszy to, odbiegła od frontu i uczyniła próżne miejsce między żołnierzami a gankiem — *Cel! pal!*.. jak orzech zgryzli. — *Wiwat!* — krzyknęła szlachta — kasztelan połocki, a razem i poseł turecki! taki pojedziem z nim do Tureczyzny. — Znowu Apel! i znowu *rrum!* Gracko! Dawszy czas do nabicia, rozochocony wojewoda zakomenderował raz trzeci *Apel!*... Jeden strzał zaciągnął... cóś mi świstnęło koło ucha... cóś brzęknęło obok... a wojewoda posłonił się aż na mnie... Wnet się odwrócił i rzekł do kompanii: — Proszę się bawić... — a do mnie: — Ojcze święty! za mną. Wszedł raptownie aż do drugiego pokoju i rozdarł żupan... krew polała się potokiem.... aż mi się w oczach zaćmiło i nogi mi odjęło, tak się przeląkłem.

— Ojcze święty! ratuj! widzisz, zabić mnie chciano! — Ja drżałem jak osina i krzyknąłem bez przytomności: — Gwałtu! ratujcie! — Cicho! — przerwał mi wojewoda — czy sfiksowałeś? Wołaj natychmiast Pawła felczera, a sam jedź co najprędzéj do Połocka po księdza Grubera, doktora zgromadzenia księży Jezuitów.

Wyleciałem jak szalony, szczęściem znalazłem felczera w kuchni, posłałem go, a sam w kilka minut już byłem na wozie, rozkazawszy rozstawić konie na pół drogi.

Wyjechałem trzema tęgiemi końmi; ale że tu właśnie było *periculum in mora*, więc parłem jak opętany. Pod Połockiem o milę, koń padł; odciąłem postronki i daléj... przyleciałem. Ksiądz doktor, zabrawszy natychmiast swoję podróżną apteczkę, siadł ze mną na brykę, którą mi już ojcowie Jezuici dali; w pół drogi znaleźliśmy gotowe czekające na nas konie, i tak dostawiłem jeszcze przed północą doktora tego sławnego do Uszacza.

Bo też sławny to doktor na cały świat: *alchimik, astrolog, fizykus;* a gdyby nie był Jezuitą i bardzo pobożnym kapłanem, toby go pewnie za czarownika miano. On zrobił (i teraz można widzieć u nich w refektarzu) głowę staruszka gadającą. Powiadają, że z tyłu za murem siedzi Jezuita, i odpowiada na wszelkie pytania, które staruszkowi zadają; ale i staruszek gębą i oczami rusza, tak, że przysiągłbyś że on sam gada.

Cały Połock zawsze pełny chorych, a szczególniéj podstarzałych dewotek, które razem i peregrynacyą do ś. Bobolego, i kuracyę u księdza *doktora* odbywają.

Gdyśmy przybyli, znaleźliśmy już pięć grankulek na stole, które felczer wyjął z ramienia wojewody; siedm odbiło się od gwiazdy orderowéj, na szczęście lanéj ze srébra, siedm dołków na niéj zostawując. Gdyby nie ta gwiazda na piersiach, grankulki byłyby w sercu, a panu wojewodzie *amen.*

Wojewoda cierpiał bardzo: krew z ran się dobywała, choć pan Stanisław zalepił je chlebem razowym i pajęczyną. Ksiądz doktor odrzucił to wszystko, a jak zalał jakimś olejkiem, wnet i ból ulżył, i krew się zatamowała zupełnie, a zatém i wesołość na twarz ranionemu wróciła. Jednak zabronił *pater* wojewodzie sejmikować. Zrozumieliśmy, że pod *allegorją* zabraniał wiwatów: bo chory chciał zaraz jeden spełnić za zdrowie doktora, gdy mu on zaręczał, że za parę tygodni zdrowiuteńki będzie; choć pan Stanisław dowodził mi, że gdyby ten niemiec nie odrzucił

jego pojęczyny, byłby wojewoda zdrów za parę dni, i mógłby przytém śmiało ciągnąć *chleb powszedni.*

Winowajcę wnet odkrył *Piekarski:* bo jako tęgi oficer, dostrzegł on, który z gemejnów zaciągnął w strzale. Schwycił go więc na gorącym uczynku i zrewidował ładownicę: a ponieważ dał był każdemu dla *wszystkiego* po jednym ładunku z grubym wilczym szrotem, a u niego nie znalazł tego ładunku, więc czysta *konkluzja*, że on był winowajcą; do czego i przyznał się bez męki, dodając, że grankulki przyniósł już z domu. Ale go rozum odstąpił; bo gdyby osobny sobie zrobił ładunek, trudno byłoby dójść prawdy.

Zatém wszyscy się uspakajali, że to nie szlachcic żaden, ale własny poddany wojewodziński takowego excessu się dopuścił; a tak żadnych już suspicyj na sejmikową zawziętość nie było; owszem, wczorajsze nawet po waltorniach strzały, na żołnierzy składano.

Sejmiki nazajutrz zakończyły się cichuteńko. Pan Sulistrowski pewny już swojego, raniuteńko pożegnał wojewodę i wszystkich panów urzędników, obchodząc ich od kwatery do kwatery, a gdyśmy się zebrali do kościoła pod laską nowego już senatora pana kasztelana Sielickiego, który jako *locum tenens* wojewody, zagaiwszy sessyę, zapytał trzykrotnie o zgodę na panów *Sulistrowskiego* i *Brzostowskiego*, jako posłów województwa połockiego na sejm, szlachta krzyknęła za każdym razem: — Zgoda — i na końcu: — *Wiwat!*

Ichmość *electi* wziąwszy się pod ręce, przechodzili po kościele, kłaniając się pięknie na wszystkie strony. W tém odezwała się znowu trąbka pocztowa przed kościołem. Pan *Sulistrowski* uścisnął kolegę w babińcu, poprosił go aby przywiózł z sobą do Warszawy instrukcye województwa, pokręcił wąsików, uśmiechnął się wesoło, ukłonił się jeszcze raz wszystkim grzecznie, siadł do kocza, i tyle my jego widzieli.

Ale co dziwno było wszystkim, że z nim siadł i pan *Reut*, niedawno tak zawzięty przeciwnik. Teraz dowiadujemy się, że pan pisarz litewski zawiózł go

do dóbr swoich w Oszmiańskie, i tam ożenił z panną Czechowiczówną, krewną swoją, bogatą i piękną jedynaczką, sam nawet spendując koszt na huczne w Szemetowszczyznie wesele. Dajże Boże, aby pan łowczyc, nie zostawszy posłem, podług własnego kazania, nie stracił p. *in connubio* i nie został tym co zostanie.

PO SEJMIKACH.

VIII.

Otoż to takie odbyliśmy sejmiki. Siedzimy teraz w domu. Pan wojewoda zdrów; nosi w kiesce zamiast sporyszów grankulki, które mu z ramienia wydobyto; a gwiazdę srébrną, która go ocaliła, odesłał do Wilna na wotum do *Ostréj Bramy.*

W codziennym zwyczajnym trybie naszego życia, niéma co do zapisywania w tym moim raptularzu, który jakoś polubiłem sobie. Już mnie cóś do niego ciągnie; i co wieczór prawie, gdy powrócę z pokojów wojewody do mojéj oficynki, a zapalę sobie luleczkę, to i wyjmuję z kuferka mój sekstern, kładę go na stole, zaglądam, przewracam karty, liczę wiele zapisanych, a wiele jeszcze białych? ot tak sobie... to nie przeszkadza ani *Litanii*, ani wieczornym modlitwom; a zakończywszy paciorki, *seksternik* szust do kuferka, i dobranoc.

Ksiądz Maciéj, nasz kapelan, który wié o mojéj robocie, widząc że się biorę do przepisywania to tego, to owego, z dyaryuszu wojewodzińskiego, zaleca mnie, abym zeń przekopjował naprzód dwa jego własne kazania, które z pół książki zajmują, a potém *maxymy* i *sentencye* łacińskie, które podobno sam on na

polski dyalekt wierszami przewertował, i do księgi wojewodzińskiéj w obu dyalektach wpisał.

Sentencye te i *akumina* jezuickiéj bodaj jeszcze po większéj części fabryki, często gęsto posłyszysz w poważnych dyskursach naszych starych, wysoko golonych *sensatów:* bo u młodych, łysina i łacina wyszły dziś z mody. Wszelakoż zdaje mi się, że *cytacya ad rem* jakiego mądrego zdania, a zwłaszcza po łacinie, nie szkodzi; dowodzi owszem, że się darmo w szkole kaszy nie jadło; a w dyspucie, to jak klin żelazny, który zgryźć trudno, a który wbija się i łamie dowody przeciwnika. Nieraz mi się słyszeć zdarzyło, jak jednym takim argumentem skonwinkowano wszystkich i zakończono żwawą dysputę. W życiu więc dworskiém, gdzie często językiem szermować przychodzi, nie zawadzi mieć na pogotowiu w pamięci ładunek takich klinów: a więc to i przepisać warto. Co do kazań, mam nadzieję, że ksiądz Maciéj zmodyfikuje się przy lampeczce trojniaku.

SENTENCYE
z książki pana wojewody.

1.

Dum recte vivis, non curas verba malorum.
Gdy życie twoje cnotliwe, nie dbaj na mowy złośliwe.

2.

Omnia si perdas, famam servare memento!
Jeśli postradasz wszystkiego, broń sławy honoru twego!

3

Fac bene dum vivis, post mortem vivere si vis.
Czyń dobrze za życia twego, dojdziesz spoczynku wiecznego.

4.

Est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur.
Niemiła jest taka praca, za którą nie bywa płaca.

Co to, to wielka prawda: ja sam bardzo nie lubię, kiedy mnie za jaką dworską usługę, pięknym pańskim ukłonem, a nie pasem słuckim płacą. Przy zręczności nie zaniedbam użyć téj mądréj sentencyi.

5.

Crescit amor nummi, quantum ipsa pecunia crescit.
Komu pieniędzy przybywa, więcéj starania miéwa.

Zdaje mi się, że tu ksiądz Maciéj chybił kadencyi.

6.

Nobilitas morum, plus valet quam genitorum.
Kto ma piękne obyczaje, taki się szlachcicem staje.

7.

Inutilis quaestio solvitur silentio.
Kto bredzi, niéma odpowiedzi.

Już to przysłowie dawno znajome, i póki świat światem, nie wyjdzie pono z mody.

8.

Non agnoscitur bonum, nisi omissum.
Kiedy czego pozbędziemy, wtenczas tego żałujemy.

9.

Cum fortuna perit, nullus amicus erit.
Gdy złe przypadki, to przyjaciel rzadki.

10.

Verba ligant homines, caetera animalia funes.
Ludzi słowa dewinkują, zwierzę powrozy krępują.

Często pan wojewoda konwinkując upartych przy kielichu, powtarza sentencyę podobną do téj w *sonancyi*, ale innego moralnego sensu:—*Vinum bibunt homines*, *caetera animalia fontes*. Tak dobrze jak i ksiądz Maciéj mogę ja to wytłómaczyć, naprzykład:—Wino napój dla człowieka, a dla nieczłowieka, rzeka — *supponitur*, że kto nie człowiek, to *animal est*.

11

Audi carnificem, spernens audire parentes.

Kto nie słucha rodziców, ten słucha katowskich biczów.

I tu ks. Maciéj nie trafił na kadencyę, choć maksyma bardzo pożyteczna i prawdziwa, bo ze czwartém przykazaniem zgodna.

12.

Nondum sunt visi, qui caruere, nisi.

Nikt bez ale, panie Michale!

Jakby do mnie napisał; ale nie mam pretensyi do ks. Macieja, bo on tu dawne przysłowie podsztukował; a tymczasem, sam to sobie za obrok duchowny powtarzać mogę:—Oj! tak, tak, *nikt bez ale, panie Michale.*

13.

Non omnes sancti, qui calcant limina templi.

Nie wszyscy święci bywają, co kościoły nawiedzają.

Figurycznie toż samo znaczy.—Wszyscy my ludzie, i ks. pleban człowiek.

14.

Hospes non invitatus recedit saepe ingratus.

Gość na bankiet nieproszony, nie bardzo bywa uczczony.

15.

Exeat ex aula, qui cupit esse pius.

O pobożność przy pokorze, trudno bywa w każdym dworze.

To fałsz. Mówią wprawdzie, że teraz na wielkim świecie niedowiarki i farmazony coraz się mnożą, a za to nawiedzanych i czarowników ubywa; ale ja nie widziałem jeszcze nigdzie takiego zgorszenia, i daj Boże nie obaczyć. Tu u nas ks. kapelan codzień mszę w kaplicy ogrodowéj miewa; pani wojewodzina z córkami i wszystkiemi rezydentkami respektowemi jéj słucha; pan wojewoda chyba bardzo zajęty, to ją w dniu powszednim opuści, lecz w niedzielę nigdy. Niechżeby który z nas dworskich spóźnił się lub nie przyszedł! piękném by oracyi posłuchał od wojewody, nie licząc jeszcze ks. Macieja, który *strictissime* pilnuje, aby wszyscy we dworze rano i w wieczór mówili pacierze, i leniwych ku służbie Bożéj gorąco napomina. W każdym dworze pańskim, tenże sam *praepter propter* znajduję porządek. Zdarza się wprawdzie czasami u jakiego młodego panicza widzieć i posłyszeć jakie bałamuctwo; ale zwykle gdy młode piwko uchodzi się, to i ojcowskie obyczaje wracają do ścian ojcowskich.

16.

Cum bono, bonus eris; cum perversis, perverteris.
Z jakim kto przystaje, takim się sam staje.

17.

Qui confidit in Domino, nunquam confusus est.
Bóg takiego nie opuści, który się na Niego spuści.

Proszę uniżenie! a kiedy jaki zbolały chudeusz, spuściwszy się na Pana Boga, woła, że go Bóg opuścił, to nieraz mu odpowiadają:—*A na coś się na Niego spuścił?* — Jakże tu pogodzić te *contraria?* pono najlepiéj wierszem nieboszczyka kasztelana Tryzny.

Ufaj! Bóg ci dopomoże;
Ale pracuj sam, nieboże!

18.

Felix quem faciunt aliena pericula cautum.
Rozumnym się nazwij wtedy, gdy się uczysz z cudzéj biedy.

19.

Gaudia principium nostri saepe sunt doloris.
Często nasze radości, są przyczyną żałości.

20.

Quod cito fit, cito perit.
Co się prędko wznieci, nie długo się świeci.

21.

Dormit nocte parum possessor divitiarum.
Nie zasypia w nocy śmiele, kto ma pieniędzy wiele.

22.

Virtus promotore carens, non surgit in altum.
Cnota, praca i pokora, upada bez promotora.

23.

Ex duobus malis, unum minus eligendum sit
Ze dwojga złego, imaj się mniejszego.

Pan Stanisław powiadał mnie, że wybierając sobie żonę z dwóch siostr rodzonych, poszedł za tém przysłowiem: wybrał mniejszą, i wyszedł jak Zabłocki na mydle, bo teraz inne przysłowie stosować musi do swéj żoneczki: — *Mała jak palec, a zła jak padalec.*— Ale on sobie dworuje, bo ja, bywając często jako przyjaciel w jego domu, znam dobrze panią podczaszynę; maleńka to, prawda, figurka, zacna jednak dama i pięknych ma synków.

24.

Ex meritis vitae, dependent ite venite.
Jako na tym świecie żyjesz, tak i na tamtym użyjesz.

25.

Cantabit vacuus coram latrone viator.
Będzie śpiewał próżny, przed zbójcą podróżny.

26.

Mors nescit legem, tollit cum paupere regem.
Smierć nie zna prawa żadnego: bierze z panem ubogiego.

27.

Ex libro doctus quolibet esse potest.
Mędrzec to nie tęgi, co ma rozum z księgi.

W szkołach jeszcze nasłuchałem się téj *sentencyi;* tylko tam mówiono: — *Ex libro doctus, ex capite stultus.* — Bodaj to i na mnie przypadnie, gdy tą cudzą łaciną sztukować się będę.

28.

Quae feceris parentibus, eadem a liberis expecta.
Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

29.

Vilius argentum auro, virtutibus aurum.
Podlejsze srebro od złota, nad złoto zaś droższa cnota.

A toby złotemi literami wypisać trzeba na bramach bogaczów naszych.

30.

Feriunt summos fulmina montes.
W najwyższe góry bije piorun z chmury.

I o témby im pamiętać nie wadziło.

31.

Dum veneris Romam, romano vivite more.
Kiedy siądziesz między wrony, tak też krakaj jak i ony.

Jakby to Rzymianie wronami byli. *Komparacya* wcale nie piękna; i należało ks. Maciejowi połamać sobie głowy, a zamiast podkładania tego starego przysłowia, ułożyć sprawiedliwy sens téj sentencyi.

32.

Si fuit hic asinus, non ibi fiet equus.

Choćby kto świat obszedł kołem, nie będzie z sowy sokołem.

33.

Otia quisquis amat, vae! vae! postea clamat.

Komu praca jest kłopotem, oj! oj! będzie wołać potém.

34.

Frangenti fidem, fides frangat eidem.

Kto sam wiarę łamie, temu wiara skłamie.

35.

In vili veste, nemo tractat honeste.

Jak cię widzą, tak cię piszą.

36.

In vestimentis non est sapientia mentis.

Niewiele mądrości mają, którzy się w strojach kochają.

Otoż znowu dwa przeciwne zdania, które pogodzić można szlacheckiém naszém przysłowiem:—*Choć ubogo, ale chędogo.*

37.

Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum.

To mi podarek prawdziwy, kiedy dający nie krzywy.

38.

Honores mutant mores, sed raro in meliores.

Z honoru większego, rzadko co lepszego.

39.

Contra vim mortis, non est medicamentum in hortis.

Przeciw srogiéj Libitynie, niéma rady w medycynie.

40.

Cur multum peccas, si multum vivere curas?

Nie używaj nadto świata, gdy chcesz żyć Matuzalowe lata.

41.

Lingua est indicium animi.

Poznać zaraz z mowy, jakiéj kto jest głowy.

42.

Scripturarum autor, scribenti sis fautor.

Kiedy sam pracujesz stylem, nie bądź dla drugich Zoilem.

43.

Verbis, ut nummis utendum est.

Ostróżnie i wedle miary, szafuj słowa i talary.

A to mądrze uciął ks. Maciéj; lepiéj niżeli w łacińskim, niéma co powiedzieć; *acuminose!* Bo i prawda: czy kto nadto talarami sypie, czy bez miary językiem szermuje, zawsze na końcu poznają, że pusta głowa i pusta będzie kieszeń.

44.

Ex magaa coena, stomacho fit maxima poena.

Za smaczne w wieczór frykasy, w nocy z brzuchem obertasy.

45.

Jejunus stomachus raro vulgaria temnit.

Gdy dobrze brzuch przepości, nie wybiera z chleba ości.

46

Post mensam stabis, vel passus mille meabis.

Po obiedzie nie przylegaj, alo tysiąc kroków biegaj.

47.

Post tres saepe dies vilescit piscis et hospes.

Ryba i gość dnia trzeciego niewiele mają smacznego.

48.

Longa solent sperni, gaudent brevitate moderni.
Długa mowa, próżne słowa, a na krótką chęć gotowa.

49.

Absint offensae, cum sit celebratio mensae
Kiedy siedzisz przy biesiadzie, nie myślże o żadnéj zwadzie.

50.

Sine labore, non erit panis in ore.
Kto nie chce pracy znieść, ten nie ma czego jeść.

Mając taki zapas sentencyów, nietylko w dyskursach *sensatem*, ale nawet w potrzebie i *oratorem* zostać można. Przepiszę jeszcze dalsze niektóre *pro memoria* z księgi pana wojewody....

Tu kilkanaście kart wydartych w manuskrypcie, a na piérwszéj z pozostałych następuje:

UCIECZKA.

IX.

.......Pan wojewoda tak fulminował, że Bóg wié coby się ze mną stało; możeby w zapamiętałości zapomniał nawet, żem ja szlachcic równy jemu i *bene natus!* gdyby Opatrzność nie nadesłała rychłego sukursu. Przybył pan podwojewodzi Połocki Korsak, przyjaciel i admirator wojewody, i przerwał jego zapędy. Jeszcze oni z sobą nie skończyli powitania, gdy

ja, wymknąwszy się z pałacu przez kredens, zabiegłem tylko do swojéj stancyi, chwyciłem z kołka Elżutkę, z kuferka kieskę z kilką talarami i jednym dukatem węgierskim z wizerunkiem Matki Boskiéj; a że z wierzchu leżał i ten mój raptularz, więc i onego porzucić nie chciałem, i nie mogłem: bo gdyby wpadło w ręce wojewody, com powyżéj o nim zapisał sobie (*), lubo to szczéra prawda, nigdyby mi tego nie darował. Wziąwszy więc jedno i drugie za nadrę, i resztę chudoby zostawiwszy na wolę Boską, pobiegłem co żywo do stajni. Tam dopadłszy konia osiodłanego, (bo zawsze jeden gotowy stał na posyłki), i powiedziawszy stajennym, że za pilnym a ważnym pańskim interesem muszę lecieć do miasteczka, (a miasteczko nasze tuż za groblą), ruszyłem z kopyta za bramę. Tam skręciłem na prawo drogą do *Głębokiego* (**); to sześć mil diabelnych; i lubo już zmrok dobry padał, a wkrótce i noc dość ciemna nasunęła się, ale mnie skry sypały się z oczu, a strach pogoni dodawał śmiałości. Koń sieczony kańczukiem leciał po gościńcu ile miał sił, ale do końca nie dotrzymał nieborak! jeszcze było z pół-mili drogi, gdy on padł bez duchu, a ja kulkiem z góry oparłem się aż na ziemi; że nie skręciłem karku, był to cud miłosierdzia Bożego nade mną. Zawędrowałem już tedy piechotą do klasztoru ojców Karmelitów; szarzało się na dzień, gdym do kościoła się dostał; księża śpiewali jutrznię, i ksiądz przeor do powszechnego zbudowania był z niemi.

Gdy się ukończyły pacierze, na szczęście moje ksiądz przeor sam jeden i najpiérwszy wyszedł z choru; na kurytarzu dopadłem go i przytrzymałem za habit.

(*) To właśnie wydarto.

(**) *Głębokie*—miasteczko teraz w powiecie Dziśnieńskim, w gubernii Wileńskiéj.

— Co tu robisz tak rano? panie Michale!—bo mnie zna dobrze, i mamy niejakąś choć daleką kolligacyą.

Wytłumaczyłem mu więc niespodziany powód mojego przybycia, prosząc o radę i schronienie przed piérwszym impetem wojewody.

Wysłuchawszy mnie cierpliwie— To inna *facies rerum*— rzekł, i dał znak ręką, abym szedł za nim. Kurytarze puste jeszcze były; niewidziani więc od nikogo dostaliśmy się do jego mieszkania. Wprowadził mnie zatém przez alkierz do osobnéj komnatki, i rzekł:— Nawarzyłeś piwa, panie Michale, i naraziłeś nasz klasztor na gniew wojewody, który jeżeli się dowié, co łatwo stać się może, żem cię przechował, jako pan przemożny, potrafi nam nieraz dopiec do żywego. Przecież opuścić ciebie, ani miłość chrześcijańska, ani nasza *koneksya* nie dozwala. Musisz więc tu zostać przez dzień cały w zamknięciu; a skoro noc nastąpi, *post silentium* daléj cię wyprawię.

— Masz tu na półkach posiłek potrzebny: szynka, pieczeń, wódeczki i zakąski. Spodziewam się, że z głodu nie umrzesz.

To rzekłszy, wyszedł, zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

Zostawszy sam jeden, poznałem że to prawda: „*Kiedy trwoga, to do Boga!*“ Coś mi tak ni to żałośnie, ni to smutno zrobiło się... Ukląkłem więc, obróciwszy się ku kościołowi, a postrzegłszy jeszcze przez zakratowane okno i krzyż wieżowy, tém gorliwiéj modlić się począłem; skończyłem na *sub tuum praesidium;* wstałem, a rzeźwiéj mi jakoś i weseléj już było.— Wolaż Pana Boga!— pomyślilem, pokręciłem wąsa, (ach! ktoby to zgadł, że ostatni raz go pokręcałem?) i zacząłem rozpatrywać się w zapasach księdza przeora. Łaska Boska! ani w Kanie Galilejskiéj lepiéj nie

było! Rozmaite wódeczki, wina i miodu flasze pełne; a jakie zakąski! pierniki, pieprzniki, tłuczeńce, oraz smaczna wędlinka; niczego nie brakło. Posiliwszy się zatém porządnie, przypomniałem sobie sentencyę:— *Vinum laetificat cor hominum!* Wypróżniłem więc flaszkę téj recepty, i rozciągnąwszy się na ławie, choć z kułakiem pod głowę, zasnąłem jakby na poduszce.

Ledwo pod wieczór mógł mnie dobudzić się przeor: fatyga i flaszka jak w letarg mnie wrzuciły.— Wstawaj, panie Michale!— zawołał on— czas myśleć o podróży. Szukają waszmości, a rozparty biegun wojewody na gościńcu dał poszlakę, żeś wpadł w nocy do miasteczka, i naturalna *suppozycya,* żeś tu za furtą. *Tandem* nie trać serca. Pomyślałem o bezpieczeństwie twéj *peregrynacyi.* Ale dokąd myślisz się udać?

— Sam nie wiem— odpowiedziałem— zdaje mi się, że najbezpieczniéj będzie do najbliższego wojewódzkiego miasta, gdzie mnie, jako szlachcica, ani ująć, ani prześladować nie będzie mógł wojewoda.

— Więc do Mińska — rzekł przeor.

— A chociażby.

To i dobrze; ale cóż tam sobie poczniesz?

Co Bóg da. Na chlebie, zda mi się, nie zbędzie człowiekowi, który pracy się nie lęka, dworów i panów jeszcze chwała Bogu mamy.

— A gdyby kaptur?...

— A to dla czego?

— Dla zbawienia duszy, dla pokuty za grzechy i dla spokojnego kąta na starość.

— Ha! gdybym to był pewnym, że będę przeorem Głębockim: bo tu ichmość podobno kilkaset chat macie!...

— Nie święci garnki lepią. Ale na co te myśli o *mamonie?* Młody wprawdzie jesteś człowiek, aleź w tym wieku większe jeszcze do grzechu pokusy, a

na świecie trudno się ustrzedz.... Ja wstąpiłem do zakonu mając lat trzydzieści, teraz mam, chwała Bogu, pięćdziesiąt... no... i to jakoś... pracując na chwałę Boską i na zbawienie duszy.... Ot tylko namyśl się dobrze, a jak poczujesz w sobie *wokacyę*.... Tymczasem do waszmości!

Wypiliśmy po lampeczce jednéj i drugiéj.— No, wybieraj się teraz — rzekł przeor ocierając usta— a to takim sposobem (otworzył skrzynię w kącie stojącą): weź ztąd stary zakonny habit; za obszerny być może dla ciebie, temu łatwo poradzić: znajdziesz tu razem i pościel, poduszka więc uzupełni cyrkumferencyę twoję, potém zda się ci ona pod głowę, nim ja twoje manatki od wojewody wydobędę i tobie odeszlę. Nic mu nie zawiniłeś, więc grabić cię nie może. Ogol wąsy – przyniosłem ci i brzytwę w kieszeni.

— Jak to? mam ogolić wąsy?

— A naturalnie, żaden przecie zakonnik z wąsami nie chodzi.

— Ależ ja nie mam jeszcze *wokacyi.*

— Nie o to idzie, mój bracie! ale *transfiguracya* twoja potrzebną jest *pro hac sola vice*, abyś bezpiecznie do Mińska dojechał; a w habicie z wąsami gdy kto cię postrzeże... Toć i odrosną potém, niech ich tam kaci wezmą!... Ja innego środka nie mam, a w klasztorze trzymać cię nie mogę.

Nie było co odpowiedzieć. On wyszedł, a ja wziąłem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim to żalem przyszło mi się rozstawać z wąsami; ale bo to były wąsy, które prym trzymały na dworze pana wojewody, a nawet i niedawno na sejmiku; przed rudominowskiemi tylko ustąpić musiały. A jakże ja ich pielęgnowałem! jak układałem i gumowałem! jak niemi wszystkie afekta oblicza wyrazić umiałem! ale cóż robić! *Sic fata tulerunt!* Więc wypiłem duszkiem szklankę wina, i.... ogoliłem wąsy. Aż sam siebie

przeląkłem się, gdym się obaczył w lusterku: goluteńki jak baba! nos mój wyrosł we dwoje, warga długa jak u starego niemca, słowem, straszydło weneckie! Łzy mi w oczach stanęły, i właśnie na fantazyą chciałem pokręcić wąsa.... Reszta przyborów nie zabrało wiele czasu. Habitem we dwoje okręcić się mogłem; ale podłożywszy poduszkę, zacisnąwszy się rzemiennym pasem i zawiesiwszy pod nim koronkę, byłem podobniejszy do wypukłéj beczki, niż do stworzenia Bożego: nakoniec księdzowską czapeczką pokryłem głowę; jeszcze raz spójrzałem się we zwierciadełko, i pewny byłem, że nie tylko drudzy, ale i ja sam niełatwobym siebie poznał. Siedziałem więc już tylko spokojnie na zedlu, ani się poruszyłem, rozważałem moję biedę teraźniejszą: różnicę między kuntuszem i habitem, między pasem litym słuckim a pasem czarnym skórzanym zakonnym, między karabelą a koronką; spójrzałem na moję Elżutkę w kącie stojącą, przepamiętywałem i regestrowałem w myśli moję chudobę szlachecką w kuferku zostawioną, gdy posłyszałem dzwonek *silentium*, i wszedł ksiądz przeor.

— No, ojcze Michale! — rzekł on, oglądając mnie ze świecą z nóg do głowy. — Cóż to waszmości? łzy na oczach? Wstydź się! Powrócisz znowu do tak ukochanego przez ciebie świata, kiedy za nim tak tęsknisz; w Mińsku zrobisz z sobą co zechcesz; nie płacz więc jak dziecko. Oto masz *obedientią in scriptis*, którą okażesz, jeżeliby kto cię zaturbował na drodze; pamiętaj, że się nazywasz ksiądz Bonawentura Bobakowski, kaznodzieja posyłający się z naszego głębockiego klasztoru do klasztoru mińskiego: tak stoi *w obedientii*. A to list ode mnie do naszego tam przeora, który zaszyjesz w szkaplerz, a oddasz mu *in occluso*. Nakoniec oto masz na drogę — rzekł, sunąc mi w rękę kilka talarów bitych.

— Dziękuję pokornie *Reverendissime!* ale mam swój maleńki zapasik.

— Z przybytku głowa nie boli, a zatém przyjm śmiało. Wszakże ja tam twój jakiś wujaszek, a klasztoru tém nie zubożę.— Więc już i przyjąłem.

— A teraz idźmy.— Więc ja z kąta za Elżutkę.... a on mię za rękę.

— A cóż to znowu? czy myślisz przypasać ją do habitu?

— Nie, ale darujesz Jegomość Dobrodziéj, szabelki mojéj nie zostawię; okryję ją w wozie, z matelzakiem, w którym moje świeckie odzienie. Noc ciemna, i furman nawet nie zobaczy.

— Oj! bo ta szabelka odwodzić cię będzie od pobożniejszych myśli, a ja życzyłbym ... Zresztą *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat!* Nie tracę nadziei.... Jedź z Bogiem, a ja jutro odprawię mszę na twoję *intencyę.*

W NIEŚWIŻU.

X.

Miłyż Boże! czym się mógł spodziewać albo pomyśleć przed kilką tygodniami na dworze wojewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum,* a po prostu mówiąc, Bernardyńskim? bo jeszcze niebardzo się przyzwyczaiłém do tego nazwania. Prawdę powiedział wyprawując mię z Głębokiego tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek: — *Homo proponit, Deus disponit* — i prawdziwie była w tém wszystkiém wola Boska, *digitus Dei!* Zapisawszy zaś w Mińsku powyżéj moję ucieczkę i transfiguracyę na karmelitę, opiszę tu jeszcze w moim kochanym raptularzu i pro-

gress ten przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka; a kto wie? może i jéj wkrótce będzie *finis?* bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a zkąd znowu treść w klasztornéj celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajechałem prościuteńko do Karmelitów. Klasztorek to nędzny i drewniany; ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął:— Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiéj rezydencyi taką pipę! Waść i mnie samego zjeść gotów!

Podałem mu *obedientią*, ani czytać jéj nie chciał; więc wsunąłem list. Ujrzawszy on na kopercie: *soli*, spójrzał na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — Ot tobie masz!— rzekł — co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo....

— Nie alteruj się, *Reverendissime!* — przerwałem— proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater*, wyniósł ztamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka.— Posil się wasan po drodze, a ja tymczasem pomyślę.— Jakoż ja i posiliłem się, i siedziałem już z pół-godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi nic nie mówiąc; odczytywał tylko list pokilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem na czémby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru Bernardyńskiego.

— *Salve! Reverendissime! salve!*— rzekł on: a postrzegłszy mnie:— Cóż to? masz nowego przybysza?— i mie-

rząc mnie okiem z nóg do głowy — Postura *tanquam* kufa! ot co jest.— Ale tém lepiéj. Przyszedłem prosić Wielebność Waszę na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie Bożéj na uczciwą pieczeń baranią i na *konsolacyą*, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszę celebrę; a kiedyś mądra pałka— dodał, obracając się do mnie— to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycyę księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj, Reverendissime, ten list, wyrozumiesz może lepiéj odemnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy — Cóż tu niezrozumianego?— rzekł.— Ks. przeor głębocki prosi cię, ojcze, abyś oddawcy tego listu, kolligatowi jego, panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody.... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowém kapłańskiém, że ucieczka i przebranie się Jegomości nie z jego, broń Boże, przyczyny, lub jakiego *excessu*, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czémże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiéj stronie: *verte*.

— Aha! *verte*, nie postrzegłem — i czytał: „Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc, ojcze, *per viam persuasionis.... Una salus servire Deo, caetera fraudes!... intelligis?... Prudenter age!... et fiat voluntas Dei* (*).

(*) Jedyna droga zbawienia w służbie Bożéj, reszta marność! rozumiesz?.... Czyń mądrze!.... i niech się dzieje wola Boża.

— *Est res, et nulla res est!* jest rzecz i nie ma rzeczy! ot co jest!— rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż Jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiém, i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

— Prawda! najprawdziwsza prawda: *bene dixisti*. Ot co jest. Ale i to prawda, że pewniejszéj drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* zostań naszym bratem Bernardynem: bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży Karmelitów. Ot co jest!

— A to za co?— zapytał poruszony przeor.

— A to dla tego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennéj mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, *pokorę*, która, jak wiecie, niebiosa przebija. Ot co jest!

— No, ale, *computatis computandis*, na czémże staje?— i nie czekając odpowiedzi, mówił daléj: — ja dam radę najlepszą. W twoim, księże przeorze, klasztorku może być panu ex-marszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatém *peto mecum*, mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*, nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto dopomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potém do podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale!*

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał się być kontent z pozbycia się, i pożegnał wdzięczniéj niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z Elżutką przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się od razu podobała; uprowidował ją we wszelkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wyśmienitém piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata *kanaparza*: jakoż wszystko poszło daleko lepiéj i smaczniéj, niż przedtém bywało. A zatém po téj pierwszéj probie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim* przełożeństwa, nad zamożną klasztorną *dyspensą* i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziéj przypadało mi do smaku to spokojne, poufałe i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga: bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało, i co najbardziéj, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jéj pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściéj pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.

— Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potém każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanaparzem względem obiadu, który że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż dawniéj, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies* prawie w każdéj celi, *post requiem* albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przecha-

dzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszyk na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłéj i poufałéj komitywie aż do *silentium*, które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojéj celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po kurytarzach, *stricte* pilnując reguły zakonnéj. O tém ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moję, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kontusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty złoty w karpią łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, *et id genus* wszystko, co się w kuferku znalazło, gdy wszedł do mnie ksiądz kustosz.

— A jaką to zakrystyę ubrałeś? panie Michale— zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ks. przeor głębocki.— A w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, żem nie z pod płota wylazł.

— Ot to byłaby piękna kapa na *asperges* — mówił on, gładząc pas mój lity — z żupanów gredyturowych i atłasowych, ornaty; z kontuszów, *antepedia*, a z właściciela — obracając się do mnie — Bernardyn! Ot co jest!

— Nieraz mi to, *Reverendissime*, po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale? — przerwał. — Ofiara ze światowéj marności i z samego siebie na służbę Bożą, nie ma żadnego ale! Cóż w tém złego? Diabeł na świecie tańcuje koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziéj od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze; ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Być pod *obedientią!* prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatém musi także być pod *obedientią*. Ot co jest!

— Widzisz, *Reverendissime*, na kapłana trzeba osóbnéj nauki; gdzież mi już rozpoczynać na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tęgo, a dla ochoty do Teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *miserere* i *dyscyplinę*, mógłbyś od razu zostać *Jubilatem*, zwłaszcza że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój *animusz* nie do tego: więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób professyą na braciszka *sine missa*, zostań z nami Bernardynami, Boga chwal, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkim milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek: z temi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiém, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojném zakonném życiu pewnie będzie ci lepiéj. Pokochałem cię szczérze i dla tego samego nie będę cię długo apostołował: bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrzewał siebie, że nie chcąc z tobą się rozsta-

wać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych *obligacii* na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swéj woli świętéj skierował. Odprawimy dziś solenne na twoję intencyę nieszpory; wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potém zrób co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało.... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upor na upor; ale najgorsze w życiu ludzkiém te *jak chceszl* I tak *dobrze*, i tak *dobrze;* albo i tak *źle*, i tak *źle*.... A Bóg wie tylko co *lepiéj*, a co *gorzéj*. Więc czekałem już niecierpliwie nieszporów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiéj, do któréj szczególniejszą mam modlitewkę;

> **Kto chce Pannie Maryi służyć,**
> **A Jéj osobliwszym miłośnikiem być....**

i tak daléj. Jakoż po téj modlitwie, podniosłem z ziemi zapłakane oczy do obrazu téj Pani świata i niebieskiéj Królowéj, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niéj mówił: — Będę Tobie i Twojemu najświętszemu Synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożéj pełna! przyjm ofiarę moję; oddal ode mnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowéj deski....

Długo jeszcze modliłem się; a gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele i nie postrzegłem jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z choru,

i ja sam jeden się zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migała przed ołtarzem... gdy wtém usłyszałem stąpanie za mną... Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ksiądz kustosz, który siedział w konfessjonale i czekał na mnie.

— Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niém utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląkłem. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę, ukląkł potém obok; zmówiliśmy *Te Deum laudamus*, i wyszliśmy przez zakrystyę na klasztorne kurytarze.

Dopadłem śpiesznym krokiem mojéj celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejakąś pociechą, moje suknie i pasy do kuferka — to, ojcze! — rzekłem, zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział *pater* — zaniesiemy obadwa kuferek ten do zakrystyi: bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum, *factum*. Kuferek został w zakrystyi, a ja, pożegnawszy księdza kustosza, udałem się na spoczynek, i bez żadnych żalów lub *molestacii*, najspokojniéj zasnąłem.

NAZAJUTRZ.

XI.

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *servitor* — Ksiądz kustosz pozdrawia! — rzekł on, i habit położył mi przy łóżku; nic więcéj nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i pooglądałem na habit.... wtém zastukał do celi ks. kustosz idący na mszę: bo zawsze mi ten znak dawał, i ja wnet śpieszyłem za nim słuchać jego mszy, albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy się w zakrystyi, rzekł on do mnie: — A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem, bo przy ofiarowaniu mszy świętéj, znowu duch nowy, i jakby pragnienie habitu, weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mnie przeszedł na tę propozycyę odebrania nazad ofiary.

— Owszem, *reverendissime!* — odpowiedziałem — idźmy do celi, i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i jego Matce Przenajświętszéj; determinacyi mojéj nie zmienię.

Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu... ale to krótko, bo poznałem w téj pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się, i zło to z głowy znikło; a ksiądz kustosz obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnéj i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego, i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatém zeszli się wszyscy xięża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale *obedientia* dzwoni.

— Oto jest — rzekł kustosz — nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystéj *wokacyi*, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus* zatém, bracia mili, i przyjmujmy go *apertis manibus:* bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoję piérwszą *professyę*.

— A potém—odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor — przejść powinien na *probanta* i *serwitora.*

— A czy waści — odpowiedział kustosz — uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim *serwitorze?* Ja sam wiém najlepiéj, że on z pokorném sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złoto-lite pasy, materjalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła: znaczy, że się wyrzekł szczérze marności światowych. *Serwitorów, definitorów* mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych zamało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

— Bracie Michale! — mówił daléj kustosz — zdaję waszeci zupełnie naszę *dyspensę*, sklep i kuchnię; dodaję, jako i dotąd, w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną *benewolentią*, i rzekłem: — Podobno, *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik — i podałem kieskę z kilkunastu talarami — excypuję tylko sobie, *si licet*, dukata *cum effigie* Najświętszéj Panny.

— *Iterum, iterumque gaudeo!* — rzekł, ściskając mię za głowę — z tak pobożnéj twéj intencyi; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnéj nie ulegasz i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tém bardziéj, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jéj *quo ad assem.* Bo i u któregoż bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? a że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek, a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobim z szabelką?— Zapytał jeszcze uśmiechając się.

— Odeszlę ją przy okazyi memu przyjacielowi podczaszemu Swiebodzie; ma on *Harasima*, niechże go ożeni z moją *Elżutką*.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów jadących razem do Nieświża na kapitułę. Nie powstydziłem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed *patrami*, warte było ich gęby. Nie traktowałem ja ich żadnemi pańskiemi frykasami; ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty, kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smacznо ugotowane, tak, że nic do *kontentecy* zupełnéj nie brakowało.

— Kto u ciebie, bracie?—zapytał ojciec prowincyał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i *experiencyi*, smaczniéj jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem śledziami nadzianym—*gratias ago!* — rzekł on, spójrzawszy na mnie i zmierzywszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawa *ex ordine* pojedynczo przed nim dla examinu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. *Kwestja piérwsza:* czy nie mam jakiéj krzywdy lub skargi na kogo w klasztorze? — Nie. — *Kwestja druga:* Czy nie widzę jakiego zgorszenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić?— Nie.— *Kwestja trzecia:* Jaki był mój stan przeszły, i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to opowiedziałem *summatim* i pokrótce całe moje życie, a szczególniéj jak z przygody wojewodzińskiéj

przedzierzgnąłem się *insperate* na karmelitę, i tandem za pomocą Bożą na bernardyna.

Upodobał jakoś nikczemną personę moję ojciec nasz. — Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcyi. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będziesz waszeć i tam w Nieświżu urządzał *sumptem* naszym, a potém obierzesz sobie rezydencyą gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w *Nieświżu*, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spasłemi końmi, a wyładowaną zapasami podróżnemi *omnis generis* i specyałami z klasztoru siostr naszych Bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanemi, oraz puzdrem pełném, od którego klucze pod moją są *kustodyą*.

KAPITUŁA.

XII.

Wielki, bo największy pan w całéj Litwie jest książe Karol Radziwiłł, ordynat Nieświżski, mieszkający w tutejszym zamku z licznym swoim dworem, koło którego żywi się szlachta, robi fortuny z jego dobrodziejstw, których i klasztorom Nieświżskim hojnie on udziela, a szczególniéj naszemu bernardyńskiemu, którego jest syndykiem.

Najpiérwéj więc gdy się zebrała kapituła, ojciec prowincyał i wszyscy gwardyanie udali się do zamku

dla złożenia *homagium* księciu jegomości, i z zaproszeniem na jutrzejsze solenne nabożeństwo.

Przyjął książę łaskawie *patrów*, i oświadczył wzajemnie, że, jako syndyk, a zatém gospodarz w Nieświżskim klasztorze, sam swoich gości wiktować będzie, i sumpt na kapitułę na siebie przyjmuje.

Jakoż wnet wieczorem przypędzono kilka wołów karmnych i wszelakich do spiżarni nawieziono zapasów, toż siano i obroków do spichlerzów; a do sklepu wtoczyliśmy kufę trojniaku, dwa antały wina i piwa beczek kilkanaście; ryb zaś na dni postne, z ogromnych stawów Nieświżskich dostarczyć obiecano.

Nazajutrz, po solennèm nabożeństwie, zebrali się ojcowie do refektarza i zasiedli na kapitułę. Wszedł tam i książę, otoczony liczną assystencyą swojego dworu, ale zdjął z siebie wszystkie swe pańskie dystynktorya, ordery i brylanty, a nawet zamiast bogatego pasa, bernardyńskim paskiem się podpasał.

Przypatrywałem się ciekawie temu sławnemu panu, bo o nim i na dworze pana wojewody, i na dworze pana Burzyńskiego starosty, gdziem wprzód zostawał, wiele się nasłuchałem. Persona to okazała, wieku już podeszłego, łeb golony, wąs zawiesisty, brwi i powieki nad oczami nawisłe, z pod których gdy poprowadzi wzrokiem, to aż dreszcz człeka przechodzi, głos jak tuba; a jednak mimo téj swojéj powierzchowności, jest to najwspanialszy i najlepszego serca pan. Często tylko krotofilny i szumny, ma przysłowie *panie kochanku!* i gdy pytają: który Radziwił? odpowiadają zwyczajnie: książę *panie kochanku*, a to znaczy *ordynat Nieświżski.*

Otoż gdy wszedł książę do refektarza, powstali ojcowie i księcia na piérwsze zaprosili krzesło, a ksiądz prowincyał piękną go *ex abrupto* powitał oracyą, dziękując i za dobrodziejstwa jego dla zakonu świadczone, i za honor, który czyni kapitule swoją *prezencyą*, zapraszając go owszem do prezydencyi w tém *conclave*, (ale *subintelligitur*, że to tylko dla ceremonii

mówił), a nakoniec polecając duszę jego Bogu, jako i świątobliwych przodków jego.

Książę odpowiedział:

— Przyjmuję wdzięcznie, panie kochanku, tę *rekognicyą* waszego affektu ku mnie, i świętym modlitwom waszym się polecam. A na kapitule, jako syndyk tutejszego klasztoru, mam prawo bywać, więc nie ubliżę memu obowiązkowi.

Po téj ceremonii wyszedł książę, a ojcowie *obstupuerunt* na to oświadczenie jego, że na sessyach kapituły bywać postanowił. Łamali sobie głowy, zkąd jemu ta fantazja? wymawiali nawet prowincyałowi, że go zapraszał; zresztą zaprzeczyć temu nie mogąc, pocieszali się nadzieją, że po kilku sessyach przejdzie mu ochota, i uwolni ich od subjekcyi ulegania jego *preponderencyi*.

I prawda.... uwolnił on nas pięknie od wszelkiéj subjekcyi, bo zakończył kapitułę we dni kilka, któraby się może bez niego i kilka tygodni przeciągnęła. A to po swojemu, takim sposobem: gdy przyszło do wybierania gwardyanów i kustoszów do rozmaitych klasztorów, książę, nie czekając na *vota* i *consilia* definitorów i jubilatów, zaczął *ad velle sui* rozporządzać i wyznaczać.

— Waść, panie kochanku!— rzekł naprzód do mego księdza kustosza mińskiego — będziesz tu u mnie w Nieświżu gwardyanem: bo teraźniejszy ksiądz Humiljan już postarzał i ociężał na nic mi nieprzydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku, na obławę, ani razu nie poszedł; a waść kiedy tu przed kilką laty byłeś gwardyanem, to aż do Łachwy ze mną na polowanie jeździłeś i ogromnego niedźwiedzia zabiłeś.

— Ależ wasza księcia mość mylisz się zapewne: bo lubo byłem tu gwardyanem i słuchałem ochotnie w czém mogłem rozkazów księcia, ale na obławie żadnéj nie byłem, a nawet na mojém życiu nie wystrzeliłem bodaj ni razu. Ot co jest!

— Co? panie kochanku! nie wierzysz, że zabiłeś niedźwiedzia? A to całe moje myślistwo przyświadczy! Otoż waść będziesz znowu gwardyanem w *Nieświżu*, waść w *Bucławiu*, waść w *Wilnie kustoszem*, waść do *Citowian*, a waść do *Bienicy*.... i tak daléj, jak z rejestru.

Więc ojcowie zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak liberalnie do woli swojéj stosować każe.

Książę na to powstał ze swojego krzesła, ukłonił się wszystkim niziutko.— *Mea culpa*, panie kochanku, *mea culpa!*— zawołał, i wyszedł pokorniuchno z refektarza, kropiąc się przy drzwiach święconą wodą. Ale jak tylko na kurytarz się dostał, pokazał co umiał. Zabrał wszystkie klucze ode mnie i od kanaparza, pozamykał i postawił warty przy dyspencie, przy świrnach i sklepach, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rądle powywracać, a sam powrócił do zamku, zabrawszy z sobą podsyndyczego.

Trudno opowiedzieć jaki to rozruch sprawiło w klasztorze. Pomięszały się sejmiki kapitulne; o obiedzie ani pomyśleć; słowem, nie było innéj rady, jak co najrychléj przeprosić księcia, aby uniknąć głodnéj śmierci. Prowincyał zatém z dwóma *patrami* udali się na zamek z demonstracyą, ja za nimi niby dla assystencyi, a prawdę mówiąc z ciekawości. Ale gdzie tam? Książę rozdąsany nie dał im mówić, a sam zawołał:

— A tak to waszeć, panie kochanku, czynicie zadosyć swojéj regule i przysiędze na ubóstwo? Tam stoi, że syndyk, panie kochanku, karmić was powinien, klucze od wszystkich składów klasztornych pod jego pasem mają zostawać, pieniądze w jego szkatule; a waszeć o tém wszystkiém ani dudu. Za nic macie ustanowionego przeze mnie podsyndyczego, rządzicie sobie jak infułaty, panie kochanku, a on, mój namiestnik, z czapką pod pachą stać przed waszeciami musi. Ksiądz gwardyan sam szafuje ze skarbnicy kla-

sztornéj, a przecież, panie kochanku, bernardyn ani grosza mieć nie powinien, ani znać nawet sztępla pieniężnego, a waszeć w oblężeniu *tamquam* trzymacie mojego kassyera, gdy przyjdzie termin wypłaty *prowizyi*. Odtąd, panie kochanku, rzeczy do dawnych karbów zakonnych powrócić muszą! Ja sam, panie kochanku, wydawać będę codzień dla waszeciów ze śpiżarni klasztornéj obiad i wieczerzę; do mnie waszeć na *porcye* i *konsolacye* przychodzić macie, a skarbnica zakonna pod moją syndykowską zostanie *kustodyą*. Ojciec gwardyan niech pilnuje choru i dalszych zakonnych *officyów*, a do rządów klasztornych ani nosa, panie kochanku!

— Ależ, mości książę dobrodzieju!— przemówił prowincyał— tymczasem dzień dzisiejszy cały głodni będziemy: ogień na kuchni zalany, jedzenie wyrzucone...

— Tak, tak, panie kochanku! słusznie i sprawiedliwie to się stało. Za pokutę, wszyscy waszeć, od prałata do brata, zjecie obiad u mnie na zamku, i jeszcze jedną *penitencyę* odbyć musicie. A potém, panie kochanku, zasiądziecie tu na *conclave*, a ja sam klasztorem urządzać będę.

Powróciliśmy zatém do klasztoru. Tam *ex consilio* wypadło uledz woli księcia, aby mu co gorszego do głowy nie przyszło. Co do drugiéj obiecanéj *penitencyi*, pewni wszyscy byliśmy, że on nas w kaplicy zamkowéj przez *miserere* przeprowadzi: bo to u niego nie nowina, i sam w wielkie piątki częstokroć się biczuje jak należy. Cały więc konwent stawić się musiał do zamku. Wszakże mieliśmy nadzieję, że po obiedzie, i dajmy to, już po drugiéj *penitencyi*, pozwoli nam książę powrócić do klasztoru.

W ogromnéj, tak nazwanéj hetmańskiéj sali, rozciągnięto stoł od końca do końca, ale bez obrusa. Zamiast półmisków, przystawki klasztorne, na długiéj

desce rzędem ustawione, obnosili bracia *serwitory*. Na środku stołu wznosiły się dwa antały, wina i trojniaku. Książę sam zasiadł między ojcami i hojnie się częstował, a nas, marszałek jego dworu pan Fryczyński, i przypominał nam, tocząc z antałów do dzbanów, a ze dzbanów nalewając do szklanek, że trzeba wspomagać ojców starszych, bo ich książę zapoi. Jakoż odzywał się on często, gdy który z nich pić wzbraniał się: — Znaj waszeć, że ja syndyk! mnie *obedientia*, panie kochanku! — Więc nie wstaliśmy od stołu, aż oba antały się wypróżniły.

— Otoż to druga pokuta, panie kochanku!— wstając od stołu, przemówił książę syndyk bełkocącym już nieco językiem, i zataczając się, wyszedł z sali. A tymczasem wozy i konie nasze wszystkie przeprowadzono do stajen zamkowych, nam obszerne i wygodne na dole w zamku wyznaczono kwatery, a bramę zamknięto, żołnierze zaciągnęli wartę, i póty do klasztoru wrócić nikomu nie dozwolono, aż póki sejmiki kapitulne nie ukończyły się. Poszły wię prędko i naturalnie po woli i dyspozycyi księcia.

Obiady szły, jako i pierwszy, aż na ostatnim, znowu dwa antały stanęły na stole. Znowu *penetentia* i *obedientia*. A nakoniec uraczywszy nas i siebie, rzekł książę powstając:

— Kapituła skończona! *Solwuję sessyę* na lat trzy, i na drugą do *Nieświża* zapraszam, a tymczasem módlcie się waszeć za moję duszę, jakoś mi to przyrzekł, księże prowincyale, panie kochanku!

INSTRUKCYA NA KWESTĘ I ODJAZD Z KLASZTORU.

XIII.

Gdy tak książę syndyk rozporządził się ładem z naszą kapitułą, my z moim byłym kustoszem mińskim zostaliśmy w Nieświżu, on gwardyanem, a ja bratem do wszelkich *officyów* klasztornych pod jego ręką. Wróżyłem więc sobie takie same życie i obowiązki, jako i w Mińsku, gdy w kilka dni po rozjechaniu się kapituły, zawołał mnie ks. gwardyan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, *obedicncyę*, dziś tu od księdza prowincyała przysłaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w Imie Boże! Ot co jest.

— A mnie to na co?

— Na to, abyś i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjem. Ojciec prowincyał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc, żeś dworak i bywalec, żyłeś na świecie i znasz *mores*, obrał cię do téj posługi, jako najzdatniejszego. Widać w tém życzliwość dla klasztoru; a lubo go wca-

le o to nie obligowałem, ani tegom sobie życzył, jednak na jego miejscu toż samobym zrobił. Nareszcie, krótka sprawa— *obedientia!* Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć, ojcze! ależ kiedy kwesta się nie uda i powrócę z niczém?

— To być nie może; żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. A lubo nie to już teraz co dawniéj bywało, kiedy kwestarz ile baranów, tyle we dwoje jeszcze talarów przywoził, kiedy fury za nim i przed nim wlokły pszeniczkę do naszych śpichrzów, wszelakoż i teraz nikt jeszcze kwestarza nie wypędził z domu; jeszcze pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie. Ot co jest! a mówiąc prawdę, i teraz, jak dawniéj, jest jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla Bernardynów. Dla tego ruszaj waszeć, jak mówiłem, i powracaj przed *porcyunkulą,* ale ani mi się pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest!— dodał z uśmiechem.

A to mi *pater pericolosus!*— pomyślałem.

— Ależ *Reverendissime,* ja nie wilk, chwytać baranów nie będę; ile dadzą, tyle nazbieram.

— *Racya!* Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! Wiedz, bracie, że pomyślność kwesty najwięcéj od kwestarza zależy. *Est modus in rebus,* jak to ludzie powiadają. Są ludzie, i takich, chwała Bogu, więcéj, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza, jak bocianów na wiosnę; tacy, obaczywszy cię zdaleka, dawno przeznaczonego barana sami naprzeciw twojéj trzodki wypędzą; tacy przyjmą cię serdecznie, uczęstują suto i zatrzymają na noc, dla poczciwéj i dobrodusznéj gawędki, do któréj tęsknią przez cały rok; takim na podziękowanie szczere *Deo gratias* wystarczy, bo tacy wierzą we wdzięczność i dla tego radzi na nią zasługują.

Są inni, zupełnie tamtym przeciwni, którzy postrzegł-

szy cię w bramie, wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprawić; od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzać się nie należy; modlić się za nich owszem potrzeba, aby ich Bóg natchnął łaską swoją świętą i większą chęcią wspomagania bliźnich. Ot co jest!

Ale są jeszcze inni, a to naczęściéj wielcy panowie, u których, jak wiesz, hojność od humoru zależy; otoż w tém sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarcikiem, wesołą dykteryjką, delikatném przymówieniem się, jakiemu odmówić wstydby im było. Potrzeba, panie bracie, umieć zarzucić, iż tak rzekę, wędę do morza wspaniałości pańskiéj, a na haczyku za przynętę *koncept* uczepić, i wyciągniesz barana, albo i dukata. Waść dworak, potrafisz więc sobie doradzić! ale i w tém miéj uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska; nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtéj trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszéj za habitem. Ot co jest! *Intelligis?* Zresztą *usus te plura docebit.*

Wychodziłem zatém, gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardyan.

— Ale! rzekł on, lubo figura twoja nabywa już *cyrkumferencyi* bernardyńskiéj, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie odrzec się potrzeba. Porzuć waść naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a témbardziéj na kweście. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie widział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszéj *bernardynki.* Cały świat zażywa tabakę, i *bernardynka* sławna na cały świat. Będziesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to *trzeźwi* i *rzeźwi.* Sprobuj waszeć.— Gdym zażył i kichnął— Ot co jest!— wykrzyknął ks. gwardyan— A co? *Vale!* Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre, mówisz waść zawsze: *Panie Dobro-*

dzieju! Mości Dobrodzieju! a u nas niéma ani *Mości,* ani *Panów;* wszyscy zarówno są nasi *Dobrodzieje* tylko, i czysto bez dodatków *Dobrodzieje.* Gdybyś z nowemi *denominacyami* i obyczajami wyjechał na świat, kwestaby ci się pewnie nie powiodła. Kwestarz bez mowy i głowy kwestarskiéj, a co gorsza, z mową światową i modną, wyszedłby jak *Zabłocki na mydle.* Tak bracie, pokornie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze po prostu, po dawnemu, to grunt! Takim obyczajem poprzednicy nasi zasłużyli zakonowi łaskę Boską i miłość ludzką. Trzymajmy się téj drogi, bracie! a kiedy ona chybiać już zacznie, kiedy szczerość, prostota i pokora nie będą już trafiać do serc, zły to będzie znak, bracie, nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich, bo natenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszéj świętéj religii, który teraz po kropli spada między nas gdzieniegdzie, rozszerzy się jak plaga egipska między narodem!.... Daj Boże tego nie dożyć!

— A zkądże te nieszczęśliwe wróżby? *Reverendissime!*

— Oho! bracie! nie taki ja głupi, jak waszeć myślisz. Ot co jest! Przechodziłem ja różne stopnie zakonne; jestem nie chwaląc się *Doktorem S. Teologii,* któréj byłem lat kilka professorem w Wilnie, i razem kaznodzieją tamże, a nakoniec *Lektorem* przez czas niemały. Znam ja i rozważałem zkąd zło idzie; umiem ja, a przynajmniéj rozumiem i francuzczyznę, bodajby jéj u nas nigdy nie było!... w niéj arsenał szatana, i z niéj on bierze truciznę, którą na nas biednych garściami rzuca. Ale w Bogu nadzieja! Ot co jest! Nie czas o tém myśleć. Smutno mi będzie bez ciebie, bracie, bom do ciebie serdecznie przywykł; zimę za to przepędzimy razem i nagramy się wieczorami w warcaby i w maryasza.

Masz starego klasztornego furmana, Marcina, który kilku już kwestarzy odwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany *prewodyry,* i psa wiernego na stróża twojéj przyszłéj trzody, i wozów; ot cała two-

ja drużyna. A więc *Deus te benedicat, ducat et reducat.* Ot co jest!

Poszedłem więc do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz zatém, wysłuchawszy rano mszy świętéj i wziąwszy benedykcyę kochanego mego ks. gwardyana, siadłem na wóz.

Na przodzie Eliasz i Barabasz, dwa piękne rogate barany z dzwoneczkami na szyjach, przy nich pies *Pamfil*, za niemi Marcin na kałamaszce, wielkim a chudym koniem dropiatym, i nakoniec ja na drugiéj, siwą i trochę chromą kobyłą. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował „*Zawitaj ranna jutrzenko!*“ ja mu zawtórowałem, i tak pobożnie śpiewając, przebyliśmy z naszą kalwakatą miasteczko.

LEGENDY STAREGO MARCINA. PAN ROTMISTRZ.

XIV.

—Gdzież pojedziem? Marcinie!— zapytałem, przejechawszy miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź jak znasz lepiéj.

— Już to, mój Jegomość, do blizkich tu dworów niéma po co zajeżdżać: bo panowie z sąsiedztwa co niedziela bywają w kościele i u ks. gwardyana, to on i sam u nich najlepiéj wykwestuje; nam więc potrze-

ba odsadzić się dalèj trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę Jegomościa do mojego starego przyjaciela, P. Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, ztąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo poczciwą ręką i nie żałując daje; a choć powiadają o nim, że umie strzelby zamawiać i źwierzynę na swój cel ściągać, ale to nie prawda, bodaj im takie zdrowie! Zwierzyny u niego huk, cóż to dziwnego? zna pole, i wie kiedy na jakiego źwierza czy na ptastwo najlepszy czas, a uczył się do tego regestru u sławnego pana Wołodkowicza, którego zastrzelili w Mińsku. Potém książę przyjął go do siebie i dał mu porządne podłowiectwo; ożenił się zatém, już ma synów jak dębów i córeczkę jak jagodkę; owdowiał, prawda, ale cóż robić? taka była wola Boska, i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże do wieku każdemu poczciwemu.

— Dobrze, jedźmy, rzekłem, do P. Bielewicza.

Wlekliśmy się więc noga za nogą, mówiąc pocichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać trawki i potrzęsając tabakę z rożka, a oglądając się na mnie niekiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego *posturę*. Stary ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit przekrojony na kapotę, na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na któréj teraz wysoka czapka z czarnego barana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka, a po kapocie spięty szerokim skórzanym pasem, z za którego rożek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on nakoniec długie nasze, a widać uprzykrzone jemu *silentium*.

— Ależ Jegomość milczysz jak pień.

— A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie!

— A to Jegomościu trzeba było zostać kapucynem, bo kapucyni podobno nic nie gadają. Może Jegomościu zdaje się, że gadać z furmanem, to na godność Jegomościną nie przystało; ale ja i prowincyałów woził, a brat za brat ze mną dyszkurowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkurował, tylko że ja piérwszy raz w tych stronach, więc o niczém nie wiem; chyba ty mnie rozpowiadać będziesz; a do tego, jedziem pojedyńczo, więc trudny rozhowor.

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie regularnie; można jak chcąc puszczać ich, i na przód i w tył, a kieruję głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy, bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało zajeżdżaj... z próżnemi rękami nie odjedziesz. Więc ja siądę z Jegomościem, i będzie nam obudwóm weseléj, a przesiadając, pośniadamy sobie. Dobądź tylko dobrodziéj puzderko — rzekł złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko?

— Oho! znać, że Jegomość piérwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne: bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba.

Dostał więc Marcin z pode mnie puzderko, o którém nie wiedziałem, i chleba bułkę. — Czekam z rąk Jegomości — rzekł do mnie: potém, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku znalazła, kroił zakąskę. Eliasz i Barabasz przyszli także po swoję porcyę; w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim, jak towarzysze. Pamfil też zjadł śniadanie, a Marcin, usiadłszy ze mną — *Héj! dropiaty!* — krzyknął, i dropiaty powlekł się naprzód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo nieznajome miasteczko?

— To *Mir* zdaje mi się.

— A tak, *Mir*. A wiesz Jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otoż ja Jegomościu powiem, bo o wszystkiem i wszędzie wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy, mowny, łowny i *gadatiwus*, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy co warte. Otoż o tym dzwonie jest taka *dykteryjka:*

Nasz książę panie kochanku, jeździł dawniéj po cudzych krajach i wojował z poganami; sam to często opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpieczno, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ujść pewnéj zguby. Otoż szlubował wtenczas kościołowi *mirskiemu* taki dzwon, aby, gdy w *Mirze* na rezurekcyę zadzwonią, w *Nieświżu* słychać było; a to cztéry mile, mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do *Nieświża*, kazał zaraz lać dzwon w *Mirze*; wylali jeden, dzwonią na próbę— nie słychać w *Nieświżu*. Panie kochanku dodaje złota i srébra do materyału, każe wylewać drugi większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień— nie słychać! a trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty; leją więc dzwon trzeci....

Tymczasem jednego wieczora, panie kochanku w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi i łgał na czém świat stoi: bo to już jego taki zwyczaj. At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał pan Michał Chodźko, który był pierwéj koniuszym u księcia, kiedy ja byłem masztalerzem, a potém on wyszedł na pana, a ja na furmana, i jest

zawsze faworytem księcia; powiedział więc — Mości książę! dzwon mirski słychać! — Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nic słyszał. Książę tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił — A widzicie waszeć, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie ma być głośnym, podchwycił Chodźko, kiedy książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

Bo Jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łgać różne nowiny, gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Książę nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się powiedział do Chodźki — Wasan sam taki panie kochanku! — ale już dzwona nie przelewał; owszem, ochrzcili go Karolem, zawiesili na dzwonnicy, i książę zawsze powiada — *Słychać Karola w Nieświżu!* — A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi — Co ja winien, panie kochanku, że waść nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko? — a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imie Karol, a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to *słychać Karola w Nieświżu* — i pokręcał głową Marcin.

— A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach księcia?

— Oto, nie wiem! jakże nie wiem? pan Bukowski, szatny księcia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich widział i woził. Szczéro-złote były, mój Jegomość! a wielkie jak chłopczyki od lat sześciu.

— Ej czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? dość, że książę wybierając się na wojnę z poganami do cudzych krajów, wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpierwiéj do Gdańska, a potém gdzieś daléj. A jak nie stało pieniędzy.... A héj! dropiaty! na prawo! a héj!

Wjechaliśmy krętą drożką w ciemne lasy. Mar-

cin przestał mówić o apostołach, bodaj z gniewu, że ich już nie ma, czy namyślając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć zdaleka.

Kogoś spotykamy, rzekł Marcin. Może da Bóg dobry początek.— Dropiaty usłyszał także tentent, a przywykły widać do zakonnéj pokory, zszedł z drogi, ile gęstwina dozwalała, a Pamfil pobiegł na przód i ujadać zaczął.

Pokazał się wnet na przodzie konny jegomość suto i bunczucznie ubrany, w taratatce gęsto taśmami złotemi szamerowanéj, z zawiesistą szlifą na jedném ramieniu, z ładownicą na szerokiéj taśmie złotéj, z pałaszem na pendencie i kołpakiem pikowanym na głowie. Poznałem więc po ubiorze, że żołnierkę traktuje. Za nim jechał lozak po ułańsku z chorągiewką, a za ułanem wóz cztérma tęgiemi końmi, na którym jeszcze jeden *sługus* i przy furmanie kozaczek z bandurą; za wozem nakoniec szły przywiązane dwa konie powodne.

Sam czupurny, ale wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, którego pogładziwszy wdzięcznie, spójrzał na mnie wspaniale, i założył za pendent książeczkę, którą w ręku trzymał.

— *Laudetur* Jezus Chrystus!

— *In saecula saeculorum!*— odpowiedział.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi?

— Z Nieświża, Jaśnie Wielmożny.... Dobrodzieju — przypomniałem w samém zacięciu naukę ks. gwardyana.

— Stój! — krzyknął on na swój oboz, z którym nam trudno się było rozminąć, więc i ja się zatrzymałem.

— A czy jest książę w zamku?

— Niéma, odpowiedziałem; wyjechał niedawno do Białéj (*).

— To źle. Chciałem po drodze złożyć mu moje *homagium*. Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo nie masz baranów.

— Tak jest, dobrodzieju!

— Aleś młody na kwestarza. To jakaś zapewne awantura wpędziła cię w kaptur.

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa *wokacya*.

— Może i to być; w twoim jednakże wieku i zdrowiu, jak uważam, lepiejbyś wyglądał na koniu i w szeregu, jak w habicie i na kałamaszce. Wiesz co? porzuć to wszystko, siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet, i, jeżeliś szlachcic, zrobię cię towarzyszem w Pińskiéj brygadzie, w mojéj chorągwi, któréj jestem rotmistrzem. Co waść na to?

Rozgniewany na ten niespodziany werbunek.

— Jestem szlachcic, rzekłem, równy każdemu. A cóżbyś pan rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wzajemnie, abyś zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, bo to wszystko *vanitas*, i przypomniawszy na pieśń świętego Łazarza, a na koniec nędzny bogacza, który „*Pychę w sercu swém chował,*“ oblekł się w nasz ubogi bernardyński habit, który ja panu dostarczę? bo gotów jestem w takim razie wnet powrócić do *Nieświża*.

Una salus servire Deo, caetera fraudes!

Bardzo *ad casum* przypomniałem sentencyę z mojego raptularza.

— Oho! odpowiedział rotmistrz, to za mądrze na kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie.

(*) Hrabstwo Bialskie, dobra książąt Radziwiłłów, w obwodzie Białostockim.

— A już ciż kwestarzem nie urodziłem się, ale kiedy na wzajemne propozycye nasze nie zgadzamy się, to niech Bóg szczęśliwie dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moję drogę.

— Poczekaj, rzekł pan rotmistrz zsiadając z konia, nie rozstawajmy się tak w złych dyspozycyach: bo ani mnie dziś w podróży, ani waści w kweście się nie powiedzie. Nie chciałem cię wcale obrazić, dla tego i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie, zapijem tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy!

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska— rzekłem. Dobyto więc nie żołnierskie, ale pańskie specyały: wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potém wyborne szynki i pieczenie, tak, że się posiliło na cały dzień.

Pan rotmistrz ochoczo i wesoło częstował.— Daj dowód, mówił on, apetytem, żeś z prawdziwéj wokacyi wstąpił do Bernardynów.— A gdy Marcin z innéj flaszki skosztowawszy staruszki, pokręcił głową i rzekł do mnie— to nie nasza podróżna, mój Jegomość!

— A macież puzderko?— zapytał panisko.

— Mamy, JWpanie!— odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać, rzekł rotmistrz, flasz parę staréj, a flaszkę gdańskiéj kwestarzowi i dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru — dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocistéj i pękatéj kieski wydobyte— weź na pamiątkę rotmistrza Pińskiéj brygady, który kwestarzy do żołnierki werbuje.

— Bóg ci zapłać— rzekłem, uściskając pokornie kolana tak wspaniałego dobrodzieja. On siadł na konia i ruszył swoim obozem.

Gdym ja na swoję siadał kałamaszkę, postrzegłem na ziemi książeczkę, wypadłą zapewne z za penden-

ta rotmistrza; podjąłem; o jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł: *„Żołnierskie nabożeństwo!“* (*).

O zacny! o poczciwy! o bogobojny rycerzu! pomyśliłem sobie, niechajże cię wszystkie kule mijają! a twoja ręka, jak *Dawida*, niech wali *Goliatów!* Powiadają, że w żołnierce ludzie się psują, że tam niéma ni Boga, ni wiary; otoż dowód oczewisty że to fałsz i *kalumnia*. Pan widać z panów, od złota świeci jak słońce, a przecież w drodze pobożnie z książeczki modli się, urazy po chrześcijańsku przebacza, i jeszcze hojnie obdarza tego, który go obraził. Ksiądz gwardyan choć powiadał, że doktor i teolog, bodaj więcéj sobie roi złego na świecie, niżeli jest w rzeczy saméj.

Wtém ułan pana rotmistrza dognał nas, pytając, czy nie znaleźliśmy pańskiéj książeczki do nabożeństwa? Oddałem więc oną, wprzód pocałowawszy pobożnie, i rzekłem — Powiedz twemu panu, że oto tak całuje nogi jego ubogi bernardyn kwestarz, nietylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że w pańskiém jego ciele pobożna i chrześcijańska dusza. A jak się nazywa twój pan?

— Jaśnie Wielmożny rotmistrz Chomiński! — i odjechał.

— No! no! godny pan! niéma co powiedzieć. Mówiłem, że Bóg da nam początek dobry; choć mógłby dać śmiało i jeszcze z parę czerwieńców bo worek diabelnie pękaty; ale teraz ludzie skępieją.

— A milczże do licha, rzekłem; czyż jeszcze mało? wszakże nawet o tobie nie zapomniał, i upodobanéj wódki staréj parę flasz nalać kazał.

— Oj bo ja nie głupi; ja za jedną gdańskiéj, wy-

(*) Książeczka ta do nabożeństwa dawniéj dość pospolita, teraz nader rzadka.

prosiłem jeszcze dwie staréj u tego, który szafuje dobrem pańskiém; a zatém mamy nie dwie, ale cztéry flaszki staruszki.

— To źle, panie Marcinie, bo nie pamiętałeś na mnie; ja wolę jeden kieliszek, a dobréj wódki, niżeli dwa, a ladajakiéj, bo upijać się nie lubię.

— To nie po bernardyńsku, mój Jegomość! Mniejsza o smak, byle wiele i zdrowo; to grunt! a stara wódeczka do głowy nie idzie, tylko żołądek ogrzewa. Cały świat wié o tém, i cały świat mnie za ten handel pochwali. Jegomość pij i nie dbaj. A hej! *dropiaty!*

Nie było co odpowiadać mrukliwemu Marcinowi, a wtém wyjechaliśmy na pole, na którém domostwo pana Bielewicza ujrzeliśmy.

U PANA BIELEWICZA. WOŁODKOWICZ.

XV.

W wielkich puszczach Radziwiłłowskich żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najczęściéj swoich zasłużonych sług ze szlachty, i byle sprawowali się poczciwie, a stawali sprawnie i ochoczo na polowanie i obławy, mają tąm kawał chleba od ojca na syna. Leśnicy włościanie zarabiają ich ziemie i koszą siano po lasach; mają prócz tego pensyjkę ze skarbu książęcego; ze źwierzyny nie zdają ścisłego rachunku, i niczego im nie braknie.

Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary: sam odemknął nam wrota i wy-

przedził mnie nawet w pobożném powitaniu; bo ja na dziedzińcu lub w izbie chciałem powiedzieć: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* a on we wrotach toż samo powiedział; Marcin odpowiedział mu: *na wieki wieków!* ot ja i został się z niczém.

Podwórko małe, ale czyste; na środku krzyż z męką Pańską, okratkowany i daszkiem pokryty; domek z pryzbami dla siedzenia i grzania się na słońcu, z większemi okienkami po jednéj stronie w świetlicy, z mniejszemi przykurzonemi po drugiéj w piekarni; naprzeciw domu świronek z oknami u strychu, za któremi tłuste połcie, polędwice i kiełbasy wędzone dyndały na powietrzu; daléj inne gospodarskie, małe ale opatrzone stajenki, odryny i chlewki. Około nóg starego myśliwca dwoje psów gończych plątało się, a tłusty wyżeł leżał spokojnie na pryzbie.

— Bóg zapłać Jegomościu dobrodziejowi, żeś do mnie zawitał — rzekł pan Bielewicz.

— To ja przywiozłem dobrodzieja, bo to nowicyusz, nie wiedział gdzie zawrócić; a ja zawsze zaczynam kwestę od Jegomościa — odezwał się Marcin.

— Dziękuję więc i waszeci, panie Marcinie! rozgość się po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym; *Eliasza* i *Barabasza* puść na osielicę, a Jegomościa dobrodzieja do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gosposię za krośnami; jest to córka pana Bielewicza.— No, Hanulku! rzekł do niéj staruszek, dodaj do obiadu zabitego wczora szaraka, bo Bóg dał miłego gościa. A Jegomość dobrodziéj dziś odpocznij u nas, bo choć niewiele jeszcze ujechałeś, ale wiele jeszcze masz przed sobą. Na obiad powrócą i moi synkowie, to i oni do nóg Jegomości dobrodziejowi uniżą się.

— Dziękuję, rzekłem, memu kochanemu dobrodziejowi za takie kordyalne mnie przyjęcie; na odpoczynek nawet do jutra chętnie przystaję, zwłaszcza, że dzień dzisiejszy, za łaską Boską, dobre nam na-

darzył spotkanie, które opowiedziałem panu Bielewiczowi.

— Jeździłem i ja niegdyś — rzekł on — po całéj Litwie, a szczególniéj po województwie Mińskiém, gdym był dworzaninem u pana Wołodkowicza, niech Bóg świeci nad jego duszą, gwałtem z tego świata na tamten wypchniętą.

— Czy nie o tym Wołodkowiczu mówisz, który w Mińsku na trybunał napadł, i który strzelał baby jak kukawki?

— A o tym samym; tylko że fałsz to strzelanie bab na drzewach, jakby nam innéj zwierzyny mało było. Hajdamaka byłci to wprawdzie, ale też były czasy kaducznie hajdamackie; kto był zuchwalszy, kto duższy, ten i lepszy, ten miał i większą konsyderacyę, i szanowano go więcéj, bo się lękano. Owszem, takiego gracza możniejsi panowie, potentaci nasi używali do sprawek i zuchwałości, na które sami odważać się nie chcieli; dla tego nie było dnia, gdybyś nie posłyszał, o zabojach, zajazdach i *wiolencyach* wszelkiego rodzaju.

Wołodkowicz był adherentem, a podobno i kolligatem naszego JO. pana i dobrodzieja, księcia Karola *panie kochanku*, który za życia swego ojca, księcia Michała *rybeńku* (*) hetmana, był natenczas jeszcze miecznikiem litewskim. Szalona to za młodu była głowa, nim się piwko uchodziło. Kiedy zacznie bywało szumieć, a sprawiedliwiéj mówiąc, szaleć po Nieświżu, to *rybeńku* każe zwodzić mosty, aby do zamku nie wpadł. Więc gdy czy z jakiego partykularnego *rankoru*, czy z *imprezy* ułożonéj, książę chciał komu dopiec, Wołodkowicz wnet stawał gotowy, i spełnił co do joty zamiary i wolę księcia, dodawszy jeszcze i swojego.

(*) Przysłowie księcia Michała Radziwiłła, wielkiego hetmana W. X. L. — *N. w.*

Ale co najgorszego było, że w młodym wieku, bo wszystkiego nie miał lat trzydziestu gdy zginął, polubił on sobie często w pałkę zalewać. Wtenczas taki z niego bywał waryat, że albo jemu pomagać, albo uciekać trzeba było. Samemu diabłuby nie ustąpił! Jakoż nie raz latał w nocy jak szalony z gołą szablą po polach, i po błotach i po cmentarzach, a wyzywał upiorów i diabłów na pojedynek; tylko że żaden nigdy nie stanął na placu. Natenczas skarżył się Wołodkowicz—Co to za nieszczęście moje! książę Karol ile razy zechce, to bije się z diabłami, a ja nigdy żadnego doprosić się nie mogę.

Zły duchże jemu i podszepnął postanowienie zostania deputatem na trybunał na *kadencyę* ruską, która się w Mińsku odbywała, do czego także go książę prowadził i przyjaciołami Radziwiłłowskimi na sejmiku wspomagał; a nakoniec gdy został, do *sumptu* hojnie się dołożył, bo i kamienicę nam swoję w Mińsku na kwaterę oddał, i z dóbr blizkich wszystkiego na kuchnię dostarczać kazał; a jeszcze przysłał *assygnacyę* do kupców na wino, ileby tylko nam potrzeba było.

Z początku szło wszystko wyśmienicie! Pan statkował; wprawdzie bankietował i traktował po pańsku, ale nie szalał i nie hajdamaczył; obrano go nawet podskarbim trybunalskim.

Marszałkiem trybunalskim był natenczas *Sapieha* (*), a vice-marszałkiem *Moryconi*. Ale Sapieha nie przyjechał na początek sądów, a Wołodkowicz nie rad był, że niżéj siedział od Morykoniego, którego włochem i cudzoziemcem nazywał. Lecz i toby jeszcze

(*) Michał hrabia *Sapieha*, starosta puński, krajczy litewski, 1759—1760 r.

Vice marszałkiem Michał *Moryconi*, starosta poniński.

Widzieć przypisy.—*N. w.*

uszło, bo pan Morykoni uważny i pomiarkowany pan, puszczał słowa Wołodkowicza mimo uszu; ale przypadła jakaś sprawa naszego *familjanta*, czy Radziwiłłowska, bo tego nie pamiętam, w któréj Wołodkowicz chciał na swojém postawić, a to nie udało się; powrócił więc z sądów jak lew rozjuszony i zaczął pić po dawnemu, przeklinając śmiertelnie cały świat, a wzywając i wyzywając wszystkich diabłów z całego piekła. Poznaliśmy, że będzie źle! Nuż my reflektować, nuż prosić, nic nie pomaga; zebrał chałastrę, która mu pić i wrzeszczeć pomagała, i nas pić przymusza. Całą noc, potém cały ranek jednostajna pijatyka i odkazanki, nakoniec pod wieczór wybiera się na trybunał.

Wszyscy przytrzymywaliśmy go jak mogli, i za poły, i za ręce, i za pas; ja upadłem mu do nóg, prosząc, aby nie szedł. — *Kirryelejzon!* — krzyknął odpychając nas, bo to było jego przysłowie, gdy bywał w największéj po pijanemu zajadłości. — Pójdę, choćby mię tam diabli wziąść mieli! pójdę i nauczę tego włocha, kto ja i kto za mną! — Widocznie ufał nieborak w Radziwiłła, a Radziwiłł był daleko!...

Szliśmy więc za nim; a że to było w wigilię festu Najświętszéj Panny Maryi *Gromnicznéj*, ofiarowałem się więc, leżąc krzyżem w czasie nabożeństwa, całéj mszy tak wysłuchać, na *intencyę*, aby nam ten wieczór na sucho uszedł; ale nie było mi potém czasu dopełnić tego *votum*.

Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził się trybunał, warta puściła go jako deputata, choć sąd był w namowie; my zostaliśmy w izbie przeciwkowéj, w tłumie palestry i panów aplikantów.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkowicz, wszczął się tam zgiełk szalony, potém szczęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi i krzyknięto — *Warta! warta!*

Wtenczas ujrzeliśmy naszego pana przypartego do

ściany, któremu odbierano szablę, a on tuzał się ze wszystkimi i starał się dostać do drzwi.

W ten moment przypadł *Krajewski*, rotmistrz i komendant żołnierzy trybunalskich, a za nim kilkunastu *gemejnów*. — Kryminał! — krzyczano ze wszystkich stron; krew ciekła z ręki pana *Dłuskiego*, deputata lidzkiego, a co najgorsza, kawałek krucyfixu, z rączką od figury Pana Jezusa srebrnéj odcięty, leżał na stole. Poznałem, widząc to, że wyzywany po tyle razy szatan kierować natenczas musiał ręką mojego nieszczęśliwego pana: bo on, chcąc przez stół dostać pałaszem Morykoniego; gdy ten się uchylił, ciął po krucyfixie.

Porwał więc Krajewski ze swoimi Wołodkowicza, ale z wielką męką, bo to był człowiek młody, silny i *determinativus*; porąbałby i żołnierzy, gdyby Szwykowski, także deputat a sławny osiłek, nie wyrwał mu z rąk szabli. Kiedy już go tak wzięli obławą i prowadzili, to jest nieśli gwałtem, to jak się razem uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszał, a ze złości pienił się i ryczał, od czci i wiary wexując cały trybunał, a szafując diabłami, że aż uszy więdły. Oj, nigdy ja nie zapomnę tego tertesu i samego Wołodkowicza, bo on natenczas był czysty potępieniec.

— Do turmy! do kordegardy! i okuć excessanta, kryminalistę! — zawołał Morykoni do Krajewskiego, — i wartować z ostrą bronią!

Poznałem, że nieprzelewki! Poleciałem więc do kwatery, porwałem garść dukatów ze szkatuły pańskiéj, która zawsze była pod moim kluczem, dopadłem konia i ruszyłem ile on mógł wyskoczyć do Nieświża, szukając księcia Karola, bo on jeden mógł nas uratować.

O mil ośm koń padł, szczęściem blizko karczemki; kupiłem u żyda drugiego, płacąc ile chciał, i leciałem daléj. Stanąłem w Nieświżu w nocy; dostukałem się do dworku znajomego mnie doktora, i dowiedziałem

się, że księcia miecznika niema, że polował aż w Białéj (*) na niedźwiedzie. Odmieniwszy więc znowu konia, puściłem się dalej. Noc ciemna choć oko wykol, i zawierucha powstała okrutna. Zbiłem się z drogi i musiałem czekać dnia w blizkim od Nieświża zaścianku, a nazajutrz, dostawszy już saneczki, jechałem, prawda, wygodniej, ale nie tak pośpiesznie, jak rzecz wymagała.

Szóstego aż dnia pod wieczór dopadłem księcia, i to w głębokich tutejszych ostępach. Gdym opowiedział co się w Mińsku stało, książę jak oniemiał. — Panie kochanku! — krzyknął potém — pan Michał sfiksował się!

— Ratuj, książę panie, bo zginie!

— Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale od biedy nie wyratuję. Niéma on po co popasywać w kraju. To excess niesłychany!

Książę wnet zabrał myślistwo, i w nocy przyciągnęliśmy do Białéj.

Wielu godnych panów i z sąsiedztwa i przybyłych z księciem, polowało z nim razem, którym gdy książę opowiedział z czém przyjechałem i zapytał o radę, każdy inną podawał: jedni zupełnie zaniechać i nie wtrącać się do niczego; drudzy pisać do Sapiehy, do Morykoniego i deputatów; inni, a między tymi pan Sołohub, nieodstępujący nigdy księcia, i bodaj przez ojca mu do konfidencyi akkomodowany, radził jechać do Nieświża i spuścić się na influencyę księcia hetmana.— Radzicie mi wszyscy, odezwał się książę, jak tchórze i partacze! a waść milczałbyś rzekł do Sołohuba. Mam opuścić przyjaciela w nieszczęściu? Nic z tego nie będzie. Nie jedź sobie, kiedy nie chcesz, panie kochanku! obejdę się i bez konsyliarzów, a dy-

(*) Hrabstwo bialskie w obwodzie białostockim.

rektorów moich dawno diabli pobrali. Mam zajechać do księcia ojca? a toć *rybeńku* nie puści mnie i za próg z zamku; każe *Mazzaniemu* (*) zamknąć bramy, mosty pozwodzić, i księcia miecznika bez ceremonii do kozy zapakuje. Czy to już raz tak bywało? Czy waść sam, panie kochanku, nie instancyowałeś za mną w takich terminach? I prawdę mówiąc, za to tylko i cierpię twoję filozofię i morały, któremi mię codzień napastujesz, a z któremi schowaj się teraz.

— Jednakowoż, mówiono księciu, Wołodkowicz po takim *excessie* sądu i kary ujść nie może, a spokojną i łagodną *influencyą* więcéj książe dokażesz, niżeli gwałtownym raptem na miasto i na trybunał, a zatém gorszym jeszcze *excessem*, który splami na zawsze honor i imię księcia, a zmartwi najmocniéj księcia hetmana, ojca waszéj książęcéj mości.

I nakoniec...— zaczął znowu Sołohub.

— Cóż nakoniec?—przerwał mu rozgniewany książę.

— Nakoniec możeby przyszło, cedził lękliwie jak przez zęby Sołohub, możeby przyszło waszéj książęcéj mości zmykać razem z Wołodkowiczem z kraju przed powszechną akklamacyą, a potém starać się żelaznego listu, czego jeszcze z żadnym Radziwiłłem nie było.

Książę milczał, tylko głową kręcił; poznałem, że już miękczał w zapędzie; odezwał się jednakże,—Kossowski! a waść co na to?

Kossowski ten żyje i teraz przy księciu; książę go lubi i z nim najczęściéj baraszkuje: bo to wielki koncepcista, wydrwiwacz i śmiesznie bardzo komedye udaje. Jak tylko książę siedzi smutny, spuściwszy głowę i kułakami w kolana swoje tłucze, co znaczy, że w złym humorze, albo że się gniewa na kogo, wnet posyłają po Kossowskiego; już on potrafi i roz-

---

(*) Mazzani, komendant tamtoczasowy zamku i fortecy Nieświżskiéj.

weselić pana, i wyprosić *pardon* dla winnego, i w humor dobry wprowadzić (*). Czasami nawet przytnie księciu; ale i to jemu uchodzi, bo książę go lubi i zna przywiązanie do siebie. Kossowski tedy na zapytanie księcia odpowiedział.

— Mnie się zdaje, mości książę, że jak zaczniem *klin klinem* wybijać, gdyby nas *kliny* nie rozparły.

— Mówcie co chcecie, rzekł nakoniec książę, ja pana Michała nie odstąpię. On duszą i ciałem mój! on mój przyjaciel *a corde!* a ja mam spokojnie czekać aż zginie? Nie! moi panowie! nie!

— Kulesza! (to był łowczy księcia) ruszaj, panie kochanku, z całém myśliwstwem dniem i nocą do

(*) Kossowski był aktorem teatru nieświżskiego, a lubo teatr ten bywał tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle rezydował na dworze księcia, bez żadnego innego obowiązku, jak księcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać. Nie był to *trefniś z professyi*, ale niejako *locum tenens* téj *funkcyi*. Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z księciem. Zdarzyło się, że raz w Warszawie król dowiedział się o nim; ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnym mu *exemplarzem*, zaprosił księcia na obiad, obowiązując, aby w assystencyi swojéj miał i Kossowskiego. Stało się jak król żądał. Gdy usiedli do obiadu, królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta. Kossowski stał spokojnie i milczał; zagabany nawet przez kolegę, zbywał go niczem. Po obiedzie, król nie kontent z milczenia Kossowskiego:

— Mówiono mi, rzekł doń, żeś dowcipny i wesoły; dla czegożeś dziś tak milczący? powiedz przynajmniéj, co myślisz o moim *faceciście*, któregoś tak spokojnie słuchał?

— Nie śmiem, Najjaśniejszy panie!—odpowiedział kłaniając się najpokorniéj Kossowski.

— Mów śmiało, proszę.

— Bez ogródek? Najjaśniejszy panie!

— Bez ogródek.

Kojdanowa; omijaj *Nieświż;* w Kojdanowie (*) roztasuj się w miasteczku i czekaj na mnie kupno; a rozpuść głos, że za przybyciem mojém, pociągniem w Nalibockie lasy na dziki.

Myśliwstwo nasze, mój dobrodzieju, to nie żart; każdy strzelec ma barwę i porządny rynsztunek; kurtka i szarawary zielone, pas skórzany széroki, z tyłu na sprzążki mosiężne spięty, z dwóma tuzinami ładunków, a przy nich flaszka opłatana z wódeczką, i w osobnéj kieszonce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie sprzęciki; fuzya także na zielonéj taśmie przez ramie, a przez drugie na takimże sznurze trąbka, przytém koń z całym moderunkiem i para pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na źwierzynę, oto cały porządek, bez którego gdyby książę którego złapał, dałby sworami ze służby odprawę. A takich ludzi było i zawsze jest na polowaniu około księcia ze sto, nie licząc łowczych i podłowczych, bo my, jak oficerowie tego wojska, uwijamy się i komenderujem na obławach.

Nazajutrz, a to już był dzień siódmy od mojego wyjazdu z Mińska, puściliśmy się w podróż. Na jednych wielkich saniach łubem obitych, na jakich po-

---

A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

— On, rzekł Kossowski, większy głupiec, niż błazen.

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

Inną razą jakiś możny pan, gość w Nieświżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń:

— Kossowski! bądź u mnie.

— Jakto? z wizytą?

— Nie, na rezydencyi.

— A jakże nas dwóch pomieści się?... *N. w.*

(*) Kojdanów, miasteczko Radziwiłłowskie, o mil pięć od Mińska.

spolicie w ostępy na obławy się jeździ, jechał książe z panem Sołohubem i z hajdukiem, na drugich ja z Kossowskim i z jednym książęcym pokojowym, po cztéry konie gęsiorem w zaprzęgu.

Książę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom; ale cóż, kiedy nocami jechać nie mogliśmy? bo taka ciemność, a zawieruchy tak strasznie mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło. Nałożyliśmy jeszcze drogi manowcami, mijając Nieświż; a tak, aż piątego dnia w wieczór stanęliśmy w Kojdanowie. Znaleźliśmy już tam i *Kuleszę* z myśliwstwem, który tegoż dnia rano tam się przybił, lubo wielu w drodze poprzystawało, i przez cały dzień ściągali się pojedyńczo. A to już był dzień dwunasty od mego z Mińska wyjazdu...

Córka przerwała dyskurs pana Bielewicza, donosząc, że obiad gotowy.

Zebrała się więc drużyna; chłopcy dwa dorodne, synkowie gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się jako gospodyni, przysiadała z nami, ale często wybiegała do piekarni; pomagał jéj Marcin i przynosił potrawy, ale *per modum* jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknéj słuckiéj gliny, białéj jak farfura.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem, zając i bekasy pieczone, a *sielanka* na trzecie; a nakoniec przyniosła panna Anna dzban poliwany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi panience a ciężaru dzbanowi, z połowę duszkiem wychylił, i stawiając resztę na stole.— To, rzekł, lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze ks. kanaparz chrzci wo-

dą dla czeladzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniéj lat dwie. Oj, znam się na tém!

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban.

— Lżéj mi teraz, widzisz jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnéj gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarła mi żona. Napłakałem się! Bogu o tém wiedzieć; a co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce, tego już nie spędzić.

— Zdaje się, rzekłem, że i téj gosposi wkrótce możesz się pozbyć, choć chwała Bogu innym sposobem.

— Prawda, rozumiem; już miałem kilku swatów, ależ za to mogę nabyć na jéj miejsce dwie synowe.

— Niech Bóg błogosławi — rzekłem. A tymczasem panna Anna drugi dzban jabłeczniku przyniosła.

Podziękowawszy Bogu, a potém gospodarzowi za tak wysmienite uraczenie, poprosiłem o koniec *historyi* Wołodkowicza.

— Pójdźmy, mój dobrodzieju, rzekł gospodarz, do odryny na świéże sianko; odpoczniem trochę, a potém dopowiem jegomości wszystkiego.

Gdyśmy się razem prawie ocknęli, przypomniałem obietnicę.

— A na czémże stanąłem? — zapytał Bielewicz.

— Stanęliście w Kojdanowie z księciem.

— A tak. W Kojdanowie znaleźliśmy pełną karczmę ichmościów to do Mińska, to z Mińska jadących; niektórzy nawet oczekiwali na księcia, dowiedziawszy się od Kuleszy, że wkrótce tu przybędzie.

Piérwsza nowina nieszczęśliwa, którą nam jadący z Mińska hurmem wykrzyknęli, to: — Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, *in triduo* będzie rozstrzelany.

— Nie doczekają! krzyknął książę, ja ich samych.... Kulesza! na koń z ludźmi i mnie wybierz konia najlepszego z'pod którego strzelca. A Piłaty te! a Herody nie sędziowie! Drżał cały ze złości i tupał nogami. Otoż to twoje mądre *consilia!* panie Sołohubie! Bodaj cię wszyscy diabli wzięli panie kochanku!

— A cóż ja winien? wszakże nie opóźniłem podróży waszéj książęcéj mości.

— Tak, ale przez całą drogę bębniłeś mi nad głową, że Sapieha przez wzgląd na mnie modyfikować będzie rygor prawa, i skończy się na wieży fundowéj, z któréj Wołodkowicz uciecze.

— Sapiehy-bo niéma w Mińsku, odezwał się jakiś jegomość. Vice-marszałek Morykoni trzyma laskę. Wprawdzie zaraz po akcyi kilku posłańców poleciało do Bychowa, bo i Morykoni wysłał od siebie, i plenipotent księcia krajczego pchnął od siebie tatara. Powrócili wczora obadwa i odwieźli rezolucye. Jaka do Morykoniego? nie wiadomo. Do plenipotenta swego zaś odpisał, że wnet się sam wybiera do Mińska, a bez niego Wołodkowicza sądzić nie będą. Tymczasem, widać że trybunał pomiarkował cóś z listu swego marszałka, więc zaraz Dłuski, deputat lidzki, któremu Wołodkowicz rękę podciął, zrobił wniesienie; po czém nie schodząc z sądów, i przez całą noc siedząc w namowie, zrana ogłosili dekret *poenam colli,* to znaczy na gardło, i Wołodkowiczowi w kordygardzie przeczytali.

— Więc ani minuty niéma do stracenia! zawołał książę. *Periculum in mora!* panie kochanku! to znaczy się, niebezpieczeństwo....

— Nie tłómacz mi jegomość łaciny, przerwałem, bo ja umiem po łacinie.

— Doprawdy? To ja piérwszego takiego kwestarza widzę, który umié po łacinie.

— A ja piérwszego podłowczego.

— I to prawda. No, to niechaj sobie... kwita.

— Dziwi mnie także, rzekłem, jak wszystko tak wiernie pamiętać możesz, że słowa nawet powtarzasz.

— O! mój dobrodzieju! nie tak-że to dawno było; trzydziestu pono lat niéma; a ja przegadując całą historyę nie sto razy i dzieciom swoim, i różnym tak jak jegomość ciekawym, wyuczyłem się jéj na pamięć.

Już tedy książe miał ruszać, choć noc była ciemna, jako i przeszłe.

— My za tobą, książę!— krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

— Dziękuję, pokornie dziękuję, rzekł książe, że biednego Radziwiłła nie opuszczacie. Kto ze mną, panie kochanku, i ja z tym. A te tam Filistyny, na złość mnie, chcą zabić mojego przyjaciela.

Wtém mocno zastukano do karczmy, a że pełna była, więc żyd i czeladź nie wpuszczała. Zastukał zatém w okno i zawołał ktoś— A jest tu książe miecznik litewski?

— Jest, panie kochanku! A kto waść taki?

— Rupejko, dobry sługa waszéj książęcéj mości. Jadę z Nieświża i pilno mi do księcia pana.

— A puścić pana podstolego— zawołał książę.

Podstoli Rupejko, sławny głowacz, mecenas trybunalski, żyje i dotąd podobno, ale zebrawszy znaczną substancyę, wyniósł się na Żmudź i kupił tam fortunę. Był on sługą i plenipotentem księcia

hetmana, a miał i u księcia miecznika wielkie zachowanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł on wchodząc. Chwałaż Bogu, że księcia złapałem.

— Na wieki wieków, panie kochanku! A na co mnie łapiesz? i zkąd wiedziałeś, żem ja tutaj?

— Książe hetman, ojciec waszéj książęcéj mości, wié dokładnie *quo ad horam* obroty księcia; wiedział raptowny wyjazd księcia z Białéj, wiedział cały marsz armii myśliwskiéj i wszystkie noclegi a popasy samego księcia; dla tego wysłał mnie tu, wiedząc, że tu w. ks. m. myśliwstwu czekać na siebie kazałeś.

— Dobry hetman, panie kochanku, z mego pana ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkowicz na śmierć osądzony?

— Nie, tego jeszcze nie wiedziałem, i książe hetman, gdym z zamku wyjeżdżał, nie wiedział; ale jam to przewidywał, bo podług prawa stać się inaczéj nie mogło.

— Nie mogło! nie mogło! otoż ja w tém, panie kochanku, że inaczéj się stanie. No, o cóż więc idzie? panie podstoli! mów prędko, bo wnet siadam na konia.

— Czy nie mógłbym na osobności pomówić z księciem.

— Niéma czego się wstydzić, panie podstoli! wszyscy tu są przyjaciele domu naszego, mów więc co masz.

A zatém zaczął perorować pan Rupejko przed księciem, jak przed trybunałem. Już jego oracyi spamiętać nie mogłem, choć pilnie i ja i wszyscy słuchaliśmy. Ale treść rzeczy była taka: że książe, jako hetman, zakazuje księciu miecznikowi mięszać się w tę sprawę, a jako ojciec, zaklina, aby pamiętał na swo-

je imię; że *Radziwiłłowie* wiernie zawsze i poczciwie służyli krajowi, że salwowali często niewinność i sprawiedliwość, ale nigdy nie bronili takiéj swawoli i występku, na który *horret animus!* że gdy książe hetman odmówił powiększenia warty trybunalskiéj, a wasza książęcia mość odbijesz teraz *delinkwenta*, który napadł na trybunał i któregoś sam na deputata wykierował, cała zatém wina téj akcyi padnie jak na syna, tak i na ojca, a cały świat *suspikować* będzie zmowę obudwóch z Wołodkowiczem na rozpędzenie trybunału, w którym zwłaszcza kilka spraw *Radziwiłłowskich* wątpliwego znaczenia *indukować* mamy. Słowem, Rupejko tak ze wszystkich stron dojeżdżał księcia, tak konwinkował, tak kruszył, że nakoniec książe impetycznie zawołał:

— Dość, panie kochanku, dość! Dajże radę! na miłość Boga, dajże radę!

— Rada krótka i gotowa, mości książę! Zaniechać Mińska, wrócić do Nieświża, uspokoić ojca.

— To niepodobna, panie podstoli, to niepodobna! Prawda, zgrzeszył Wołodkowicz i ciężko zgrzeszył, ale czyż dla tego ma umierać? Nikogo nie zabił, pokrzywdzonym czyni deprekacyę. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek, jak nazywacie, *status*, niech w wieży fundowéj odpokutuje.... Ale śmierć, panie kochanku, śmierć! Nieszczęśliwy człowiek! jego cała nadzieja we mnie! on mój od dzieciństwa przyjaciel! Panie podstoli! radź inaczéj, ja ci odwdzięczę! dalibóg odwdzięczę! panie kochanku.

— To poczciwe serce naszego księcia, gadali między sobą ichmość tam obecni; nie żal dla takiego zdrowie i życie ryzykować!

— Trudna insza rada, mości książę! rzekł pan podstoli, zwłaszcza po dekrecie.

— Czy nie możnaby dopaść do Sapiehy?

— *In triduo* do Bychowa i nazad, rzecz niepodobna; a nakoniec cóż to pomoże, on dekretu trybunalskiego nie odmieni, i tém spokojniejszym będzie, że pisał do księcia hetmana, przez umyślnego, który dziś z rana odjechał z Nieświża z rezolucyą; a w niéj książe hetman zaręcza, że najmniéj ochraniać Wołodkowicza nie myśli, że każdego gwałciciela spokojności krajowéj ma za swego nieprzyjaciela. Toż samo odpisał i do pana vice-marszałka Morykoniego, który także odzywał się do księcia hetmana.

— A więc nie masz sposobu?— książę zapytał patrząc w oczy Rupejce, który wzrok ku ziemi spuścił i dumał. Wszyscyśmy milczeli....

— Trybunał, mości książę! zaczął znowu pan podstoli, odmienić swego dekretu nie może. Ale!... ale!...

— Cóż? panie kochanku! cóż? dla Boga! mów!

— Ale mógłby *suspendować exekucyę* dekretu do jakiegoś terminu, a natenczas starania u majestatu...

Nie dał mu dokończyć książę, rzucił się Rupejce na szyję, ściskał go, całował.

— Panie kochanku! bierz co chcesz, byle téj *suspensyi* dopiąć. Potém wszystko łatwiéj pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska.

— Widzisz-bo książę, że jest jeszcze *cyrkumstancya,* nad którą mnie szczególniéj zastanowić się trzeba. Książę hetman *publice* oświadczył, że ktokolwiek *directe* lub *indirecte* robić będzie jakiekolwiek *influencye* w téj sprawie, używając imienia Radziwiłłowskiego, już więcéj progów nieświżskich nie przestąpi.

— Bądź spokojny, panie kochanku! ja ojca łatwo przebłagam, zwłaszcza, gdy się rzecz bez raptu obejdzie. A i moja przyjaźń panie podstoli, warta wszelakoż jakiejkolwiek *animadwersyi.*

Pan Rupejko znał dobrze, że lepsze słońce wchodzące, niżeli zachodzące, rzekł więc:

— Cóż mam robić? skarbiąc sobie względy waszéj książęcéj mości, zaraz jadę, dobiję się choć w nocy albo równo ze dniem do Mińska, i będę pracował; a jeżeli mnie się uda skłonić Morykoniego....

— A jeżeli się nie uda?— odezwał się któś z kompanii.

Na to zawołanie, jakbyś *insperate* z pistoletu nad uchem palnął, książe stanął jak wryty, Rupejko spuścił głowę i wszyscy oniemieli.

— I pewnie się nie uda, dodał tenże jegomość, kiedy będzie rzecz z panem starostą Morykonim. Ja go znam dobrze: to człek twardy jak stal, czyli, co na jedno wychodzi, uparty jak kozioł.

Wszystkie więc nadzieje i księcia i nasze w łeb wzięły razem, patrząc zwłaszcza na minę pana Rupejki.

— Jednakowoż, mości książę! odezwał się nakoniec i pan Sołohub, niech pan podstoli probuje szczęścia; projekt jego jest mądrym: bo tym jedynie sposobem możnaby salwować Wołodkowicza. Niech jedzie i *operuje;* my tymczasem zostańmy tu i czekajmy.

— Nim Wołodkowicza rozstrzelają, panie kochanku, albo nim książę hetman przyszle tu *husaryę,* aby nas do Nieświża odprowadziła. Rozumna rada! nie ma co powiedzieć! Nie, panie kochanku! niech pan podstoli jedzie i operuje, ale niech przytém wiedzą panowie sędziowie trybunalscy, że ja tuż! i że, gdy operacye nie pomogą, ja moje rozpocznę, i bodaj skuteczniejsze.

Po długich jeszcze *certamentach* i radach, stanęło na tém, że pan podstoli wyjechał zaraz do Mińska, a

my równo ze świtem wyruszyliśmy na obławy w lasy Smolewickie, które do samego prawie Mińska dotykają, a tam co godzina miał książę mieć wiadomości z miasta.

Potém każdy drzemał jak mógł. Książę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole a głowę na rękach, i zaczął chrapać na całą izbę. Ja poszedłem do plebanii, bo znałem tam mieszkającego księdza kalwińskiego Kina, który i teraz żyje jeszcze; człowiek to bardzo zacny. Rozbudziłem go, oznajmiłem o bytności księcia, i o tém, że równo ze dniem wyjeżdżamy. To on wnet się zawinął koło śniadania, jakoż jak tylko na brzask, przysłał do karczmy kilka dzbanów grzanego piwa i wyśmienitych dwie misy zrazów, które zajadając książę odezwał się.—Otoż nam dogodził poczciwy Kin! gdyby nie *kalwin*, zrobiłbym go, panie kochanku, *infulatem ołyckim*.

Raniuteńko, książę i myśliwstwo całe i nowi przybysze przyjaciele, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości, siedliśmy na konie; a tak z półtorasta konnicy ciągnęło za księciem traktem mińskim, wszyscy gotowi na jedno słowo księcia, choć w ogień. Książę puścił się kłusem, i już mil z parę ubiegliśmy a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono księcia, że konie słabieją i że wytchnąćby należało.

— Nic to, rzekł książę, kto ustanie, to ustanie; pod Mińskiem popas, i tam dosłyszym Rupejki, a potém...

Ledwo to wymówił książę, ujrzeliśmy lecącego ku nam od Mińska konnego; ja poznałem zdaleka naprzód konia naszego, a potém Surwinta, kolegę mojego w służbie Wołodkowicza. Postrzegłszy on nas, przypuścił konia, i doskoczywszy przed księcia— *Już po wszystkiém!* rzekł, *nie żyje!*

— Kto? Wołodkowicz? Zwaryowałeś?

— Wołodkowicz! Rozstrzelali!

— Jezus! Marya! Józef! Kłamstwo!

— Nie kłamstwo, mości książę! Na własne oczy widziałem trupa; leży w kordygardzie, i krew gorąca jeszcze ciekła z piersi i z uszu, gdym z Mińska wyleciał.

— Kiedy rozstrzelali?

— Dziś o wpół do trzeciéj po północy.

— Gwałt! gwałt! krzyknął książę. A niechże mię ziemia pozrze, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbojników! Za mną! kto w Boga wierzy!

— I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? mości książę! Umarłego nie wskrzesim.

— Ja nie *Szczepanowski*, wskrzeszać nie umiem, ale zemścić się potrafię, ale *Piotrowinów* narobię! Niech ich potém kto chce wskrzesza. Ha! *Barabasze!* Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozpłatam.— I rwał się do pałasza.

A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciw trzymając zawsze książęcego konia za cugle.

— Płataj! jeżeli chcesz, książę! woléj zrób ze mnie Piotrowinę, czy Szczepanowskiego, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić.

— Ale darmo do Mińska, rzekł Surwint, nie ma tam już ani pana Szczepanowskiego, ani pana Piotrowiny, ani żadnego deputata, (trzeba Jegomościu wiedzieć, że Surwint poczciwy żmudzin, ledwo podpisać się umiał i nie wiedział nic o cudach ś. Stanisława), bo zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy, a po prostu mówiąc, pouciekali, i sam nawet pan Morykoni pojechał do Bychowa do księcia Sapiehy, a deputaci każdy

w swoję stronę; ale nikt w tę stronę, bo wczora wieczorem rozszedł się po mieście rumor, że książę z wielkiém wojskiem lecisz na odbicie Wołodkowicza, i dla tego co mieli za trzy dni rozstrzelać, to nie czekając dekretowego terminu, rozstrzelali w nocy.

Książę więc zlazł z konia, spuścił głowę, *Requiem aeternam dona ei Domine!* po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy.

Ja płakałem jak bóbr, a Surwint chlipał jak dziecko.

Książę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi waść całą tę tragedyę — rzekł do niego.

Niema co i mówić, JO. książę panie! zastrzelili i po wszystkiém — rzekł Surwint chlipając.

— Zgłupiałeś z wielkiego żalu, panie kochanku!

— A cóż? JO. książę! jak on napadł na trybunał...

— To wszystko wiem od Bielewicza; mów tylko co było po dekrecie.

— Po dekrecie? Jak jemu przeczytali w kordygardzie dekret, tak zaraz pan rotmistrz Krajewski rozkazał przynieść kajdanki. Wołodkowicz żadną miarą okuć siebie nie dozwalał. — Jestem szlachcic, mówił; kiedy potrzeba umrzeć, to dziéj się wola Boża! Nie jestem nawet *jure victus*, bo nie dano mi ani czasu, ani patrona do obrony, a zatém wara z kajdanami! wara!

Krajewski perswadował i przepraszał nawet, że musi spełnić dekret trybunalski. Jakoż choć się dąsał, przy pomocy jednak kilku gimejnów, włożono mu łańcużki na nogi.

Wołodkowicz, obaczywszy się okutym, gorzko płakać zaczął; załamywał ręce, że aż wszystkim żal się jego zrobił. Opowiadał mnie to wszystko przy trupie, porucznik warty trybunalskiéj pan Sielanko (*).

Poprosił potém nieboszczyk Krajewskiego, aby mu dozwolił widzieć się z którymkolwiek swoim dworskim. Zgodził się rotmistrz. Posłano do kamienicy, i ja wnet przybiegłem. Oj! Bogu znać, a nie opowiedzieć ja mogę księciu, co się ze mną działo, gdym postrzegł okutego mojego pana. Hrymnąłem mu do nóg, i oba zaryczeliśmy z płaczu. Warta, choć to żołnierze, a płakali także, bo serce krajało się, i teraz się kraje, JO. książę panie!

— Czy jest mój brat pan Józef?

— Niema, odpowiedziałem; dostał maligny jak się dowiedział o nieszczęściu pańskiém, i zostawiłem go leżącego bez nadziei, bom był u niego.

— Gdzie Bielewicz? — zapytał.

— Zaraz po wzięciu pana poleciał do księcia Karola Radziwiłła.

— To dobrze! i zcicha dodał: książę Karol mnie nie opuści. A nie masz żadnéj ztamtąd wiadomości?

— Nie ma żadnéj szczególnéj, ale po mieście jak w bęben biją, że książę lada godzina wpadnie z wojskiem i odbije pana.

— Więc w Bogu nadzieja! rzekł on rzeźwiejąc trochę.

Rzucił potém na stół parę dukatów.— Krajewski! każ przynieść wina. Na frasunek napiję się z moim poczciwym żmudzinem.

(*) **Krajewski rotmistrz, a Sielanko porucznik warty trybunalskiéj. Ostatni umarł jeszcze w 1812, w powiecie oszmiańskim.** *N. w.*

— Życzyłbym panu, odpowiedział Krajewski, upamiętać się; ostrzegam, że tu nie ma żartów. To nie taki frasunek, który w winie utopić można. Kiedy żelaza na nogach, o Bogu nie o ludziach myśleć trzeba; i dla tego ja życzę panu wezwać kapłana i wyspowiadać się.

— Wyspowiadam się, odpowiedział hardo mój pan, na Wielkanoc. Waść mi kajdanki włożyłeś, ale będzie taki, co zdejmie, i może kogoś niemi opatrzy. Każ przynieść wina!

— Nie tylko nie mogę wypełnić tego rozkazu, ale nie mogę dłużéj zostawić tu sługi pańskiego. Panie Surwint! pożegnaj się ze swoim panem i wychodź.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju! rzekłem wtenczas ściskając jego kolana, pofolguj. Czy to nie dość za takie błazeństwo, że pana mego, który jest pan z panów, w kordygardzie trzymacie, żeście mu łańcużki włożyli, że go śmiercią straszycie, gdyby jeszcze i dłużéj tak go dręczyć? Wszak zresztą panu Dłuskiemu palce się pogoiły, a z Panem Bogiem łatwiéj jak z ludźmi. Za przypadkowe przecięcie krucyfixu zmuruje kościoł pan mój; chwała Bogu ma z czego. Dalibóg, panie rotmistrzu, puszczaj nas już jegomość wolno, i sam nie pożałujesz tego.

— Jesteś poczciwy szlachcic, panie Surwint, odpowiedział mi Krajewski, ale wybaczaj, głowa nie do rady. Wiedz o tém, rzekł jeszcze, biorąc mnie za rękę, że ani ja sądzę, ani ja kuję, ani ja strzelam. Trybunał osądził, trybunał zakuł, trybunał i...— Zamilkł Krajewski, a Wołodkowicz dokończył — i *rozstrzela!*

Usiadł potém na zédlu za stołem, głowę oparł na rękach i zamyślił się. Krajewski także milczał, a ja płakałem stojąc jak wryty. Nakoniec rotmistrz powtórzył mnie znowu rozkaz pożegnania się z pa-

nem i odejścia; zbliżyłem się więc do biednego zamyślonego, a on, nie podejmując głowy — Bądź zdrów! powiedział, obaczym się może i na Jozafatowéj dolinie! a ciszéj dodał: — Kiedy do jutra rana nie będzie tu Radziwiłła, leć do Nieświża, bo zginę!

Nie wiem czy Krajewski to słyszał, ale ja ucałowałem kolana pańskie, i wyszedłem, niosąc kamień na sercu.

W mieście był ruch szalony. Trybunał jeszcze ściśléj się zaparł; warty wszędzie, i w bramie i na wschodach srogie porozstawiano: po ulicach i na rynku panowie palestranty, aplikanty, ajenty i rejenty, kompanjami chodzili, rezonując i wróżąc i tak i owak.

Jedni mówili — Już po nim! Dekret trybunalski! appellacya do pana Boga! spadnie gałka! — Drudzy mówili — Trybunał z dekretem, a *Radziwiłł* z muszkietem! Obaczym zaraz gościa, mówili.... On go z téj kozy wydobędzie, a od *Radziwiłła*, to już go i sam diabeł nie wydobędzie.

Inni znowu mówili, że za porąbanie krucyfixu będzie musiał po *absolucyę* piechotą do Rzymu wędrować, a drudzy, że będzie musiał dyscyplinować się u Bernardynów, pod łampą. To mówili — Dyscyplinował on nie jednego, niechże poprobuje tegoż samego specyału! — Ale wszyscy ciekawi byli końca, a nikt bodaj nie wierzył, że stanie się podług dekretu.

Gdym wyszedł z kordygardy, otoczyła mnie tłuszcza wielka, sypiąc pytania bez końca, ale mnie jakby mowę zajęło i w głowie się pomięszało; rozpychałem tłum nic nie odpowiadając, i wpadłem do kościoła OO. Bernardynów otwartego przed nieszporami, dałem talara na litanję i na *Sequeris*, i krzyżem leżąc, słuchałem tego....

— Mniejsza, rzekł książę, o twoje własne *particularitates;* mów co się działo z Wołodkowiczem?

— On, jak mnie powiadano, po mojém wyjściu doprosił się u Krajewskiego butelki wina, wypił ją duszkiem, rozciągnął się na swojém łóżku, bo mu piérwéj już dali łóżko i pościel, i zasnął w najlepsze.

Tymczasem nadszedł wieczór; Krajewskiego wezwano do trybunału; bawił się tam godzin z parę czy więcéj; wróciwszy, obudził Wołodkowicza, wyjął z za nadry papier, i rzekł doń — Czytaj!

A był to rozkaz na piśmie dany od trybunału Krajewskiemu, rozstrzelania *delikwenta* we trzy godziny.

— Jakto? — zrywając się z łóżka krzyknął Wołodkowicz. Dekret dał mi czasu trzy dni. Ciż sami podpisali ten rozkaz, którzy podpisali i dekret.

Dobył potém Krajewski zegarek — Pół do dwónastéj, rzekł: masz czasu do pół do trzeciéj. Za każdą minutę odpowiedzialny jestem. Polecaj Bogu twą duszę. Niéma żadnego ratunku. Posłałem po księdza.

— To być nie może! to być nie może, gdybym miał tak marnie zginąć! gadał Wołodkowicz, suwając prędko spętanemi nogami a wlokąc łańcuchy po cegłach. Szwykowski! mój brat cioteczny! Boże mój! i on mnie potępił! Panie Krajewski! Bogu i ludziom odpowiész.

Wtém wszedł i ksiądz, i Krajewski, postawiwszy cztérech żołnierzy z nabitą bronią we środku przy drzwiach, rzekł do nich — Baczność na delinkwenta! głową odpowiadacie. Sam wyszedł.

Trzeba wiedzieć JO. książę panie, że ja z kościoła poszedłem do celi księdza brata mego stryjecznego, także Surwinta, spowiednika w klasztorze mińskim. Siedziałem tam jak zabity, bo spać nie mogłem, a równo ze dniem myśliłem ruszyć do Nieświża, szukając księcia. Otoż właśnie wszedł do mojego brata ksiądz Gwardyan, a za nim żołnierz.

— Idź, ojcze, za tym żołnierzem, rzekł Gwardyan, wyspowiadasz i przygotujesz na śmierć Wołodkowicza.

— Pan rotmistrz kazał mi prosić, odezwał się żołnierz, ażeby ksiądz spowiednik wziął z sobą święty wijatyk, lecz aby szedł bez dzwoneczka.

— Jakto? rzekłem, wszakże jeszcze dwa dni z dekretu mu się należy.

— Ja tego nie wiem, odpowiedział żołnierz, a robię co mi kazano.

Szedłem z księdzem spowiednikiem, ale Krajewski rozstawił naokoło kordygardy, na rynku na kroków jakich pięćdziesiąt szyldwachy, i kazał strzelać, jeżeliby kto za tę linję przestąpić ważył się; i kiedy kto się przybliżał, to szyldwach krzyczał — Nie następuj, bo strzelę!

Księdza spowiednika więc przeprowadzono, a ja musiałem zostać. Ludu też było pełno na rynku, a z sądowéj trybunalskiéj świeciły się okna, jak z kościoła podczas roratów.

Lecz wreszcie tłum rozchodzić się począł. — Już dziś nic nie będzie, mówili. Zwyczajnie Wołodkowicz zapotrzebował księdza, to mu go i przyprowadzili, ale kiedy i rozstrzelają, to chyba na trzecim dniu. Ale ja doczekiwałem powrotu księdza brata i oka z kordygardy nie spuszczając. W oknach tam światła biegały jakby przenoszone z miejsca na miejsce, ale nie mogłem zmiarkować coby to było.

Nagle i raptem błyskawica tam i piorun!... szyldwachy stanęły jak wryte; wnet strzał, drugi mniejszy, a potém cicho, i jedna już tylko świéczka migała przez szybkę w kordygardzie. Mnie mrówki przeszły po skórze. Lud z domów wysypywać się zaczął; a ja ujrzałem księdza brata umykającego śpiesznym krokiem przez rynek; zabiegłem mu drogę, schwyciłem za rękę — Stój! księże!

— Wołodkowicz już przed Bogiem. Chodź za mną.

— Nie, rzekłem trzęsąc się jak osina, pójdę, obaczę nieszczęśliwego pana mojego.

— Próżno, nie wpuszczą cię. Chodź, mówię, ze mną. — I pociągnął mnie za rękę. Otoż, JO. książe, w celi, gdy mnie trochę drżączka odeszła, rozpowiedział mnie ksiądz brat ostatni *termin* Wołodkowicza. Gdy przybył ksiądz, on jeszcze włóczył się po kordygardzie, dąsał się i złorzeczył; ale jak postawił krucyfix na stole, a przed krucyfixem złożył święty wijatyk, Wołodkowicz spójrzał na Ukrzyżowanego, i przyszedł mu widać na pamięć jego excess i rozcięcie krzyża sądowego; upadł więc na kolana— O Chryste Jezu! zawołał płacząc, zgrzeszyłem! śmiertelnie zgrzeszyłem! ale żałuję z całego serca, z całéj duszy żałuję! Przepuść winę moję, i kiedy już mam śmiercią zapieczętować grzechy, dajże mi przynajmniéj stanąć przed Tobą z czystém sumieniem. Ojcze! spowiadaj mnie! Odeszliśmy więc, powiadał mi ksiądz brat, w koniec drugi izby; usiadłem na zédlu, on ukląkł, i z całego życia najszczerszą spowiedź uczynił.

Daj Boże każdemu dobremu taką skruchę i żal mieć szczéry, jako ten nieszczęśliwy. Uznał w zgonie swoim wolę Boską i skrócenie czasu, któregoby pewnie użył na dalszy grzeszny jako i dotąd żywot, przebaczył swoim sędziom, słowem, ze lwa srogiego stał się łagodnym barankiem.

Rozgrzeszyłem go więc, i mam nadzieję w Bogu dobrotliwym, że co rozwiązałem na ziemi, rozwiązaném będzie i w niebie. Zaczęliśmy potém mówić psalmy pokutne, a potém modlitwy nad konającym. Aj ciężki to obowiązek, mój bracie, kapłana, powiadał mi ksiądz brat, kiedy rozmawiać musi z tym, który za chwilę z Bogiem rozmawiać będzie.... Serce mi się krajało z żalu, i własném życiem odkupiłbym młode jego lata. Wszedł Krajewski. Ja coraz to dłuższe wynajdywałem modlitwy... a nuż cud Boski... i zkądkolwiek salva!!!

Krajewski spójrzał na zegarek na stole leżący, na który ja oczu obrócić nie śmiałem, powiadał ksiądz brat, przeszedł się jeszcze razy z kilkanaście, nareszcie rzekł do mnie:

— Ojcze! uczyniłeś twoję powinność gorliwie, ja muszę moję wypełnić!...

— Panie rotmistrzu! rzekł powstając z klęczek Wołodkowicz, na dowód żem szczerze z Bogiem się pojednał i żadnego w sercu na nikogo nie zachowuję gniewu, proszę, podaj mi rękę. Krajewski podał mu rękę, a drugą łzy sobie ocierał. — Panie! rzekł mu przytém, mówiłem, że nie ja sądzę, nie ja rozstrzelam, a przeklinam moję nieszczęśliwą teraźniejszą godzinę. Księże! wracaj już do siebie....

— Nie, rzekł Wołodkowicz, nie opuszczaj mnie, ojcze! Patrząc na tego, który mię z Bogiem pogodził, lżéj mi będzie umierać.

Nie mogłem odmówić już jakby konającemu téj prawdziwie kapłańskiéj posługi, ale Bogu wiedzieć, jak mi to ciężko było.

— Panie! rzekł znowu Krajewski, czas jest.... Skinął na unteroficera, a ten wprowadził sześciu żołnierzy z bronią na ramieniu. Stanęli obok czterech wartujących.

Przeraziło to mocno Wołodkowicza; załamał nieborak ręce — O Boże! Boże! wykrzyknął, o bracie mój Józefie! o Włodzimierzu biskupie, stryju mój! krewni! przyjaciele moi! gdzież jesteście? Książę Karolu! gdzieś ty?

— Nie gadaj waść, nie gadaj, przerwał książę, becząc w głos jak dziecko, nie gadaj, bo wytrzymać mi trudno.... Darował on nieprzyjaciołom swoim, ale ja im dalibóg nie daruję... gdyby zginąć przyszło!!!

— Jakże daléj?

— Daléj mówił znowu Krajewski do Wołodkowicza — Nie zechcesz zapewne, panie, abym gwałtem...

Wołodkowicz nic już nie odpowiedział, stał oniemiały jakby bez przytomności.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod ręce, i podprowadzili, a raczéj podciągnęli go do muru, Krajewski zawiązał mu oczy; ale że ustać na nogach nie mógł, opuścili go więc na klęczki.

— Ja podbliżyłem się natenczas, powiadał ksiądz brat, i przykładając krucyfix do ust jego, rzekłem głośno — Polecaj się Bogu, Michale, i ufaj w Jego miłosierdziu!

Cud boski! cud! na te moje słowa odzyskał siły i przytomność, ucałował krzyż. Krajewski dał mi znak... oddaliłem się, a Wołodkowicz zaczął mówić — *W ręce Twoje, o Boże, polecam*.... Kule przecięły mowę i modlitwę; upadł, ale padając krzyknął — Jezus! Marya! Józef!...

Podskoczył Krajewski; Wołodkowicz żył jeszcze i rzucał się na ziemi, lubo krew rynsztokiem płynęła; skinął więc na unteroficera, a ten z pistoletu wystrzelił mu w ucho i dobił.

— Wyszedłem ja zaraz, JO. książę, od księdza brata... mówił daléj Surwint.

— Mniejsza tam zresztą, panie kochanku!...

— Nie, JO. książę, bo wyszedłszy, sam widziałem jak deputaci w nocy wyjeżdżali z miasta, i doprosiłem się do trupa; obaczyłem więc kochanego mojego pana! pomodliłem się przy nim za jego duszę, i dowiedziałem się, że dla tego od razu nie zabito, że on, jako pobożny katolik, (ktoby to się spodziewał, patrząc na jego hajdamactwa i swawole), nosił na piersiach obraz Najświętszéj Panny na srébrnéj blasze, to Ona trzy kule odbiła od jego serca, i za żupanem je znaleziono.

— A czemużeś waść tych kul nie przywiózł? — rzekł książę.

— Pan rotmistrz zabrał je sobie; prosiłem choć jednéj, i mówiłem, że zawiozę JO. księciu panu.— Oho! odpowiedział Krajewski, żeby potém niemi mnie

potraktował? Nie dam żadnéj... i wyprawił mnie z kordygardy. Więc ja wnet na konia, i spotkałem waszą książęcą mość.

Po tém rozpowiadaniu Surwinta, jechaliśmy cicho, książe milczał, ani słowa do nikogo nie rzekł; i tak w kilka godzin dojechaliśmy do Swierżnia. Książę zawrócił przed kościół, zawołał plebana, dał mu kilka dukatów, kazał dzwonić za duszę Wołodkowicza, a ponieważ jeszcze nie po mszy był ksiądz, więc mu żałobną mieć zalecił. Wszyscy słuchaliśmy jéj nabożnie, a po ukończeniu, książę zaintonował: *Wieczne odpoczniemie racz mu dać Panie!* a zatém w półtorasta przynajmniéj głosów prześpiewaliśmy to polecenie duszy Wołodkowicza Bogu. Książę odprawił myśliwstwo, a poglądając na nas z Surwintem, zapytał — Czy waść szlachta?

— Szlachcic jestem, mości książę, z pod Oszmiany,

— A, to waść szlachcic oszmiański! a czemuż to panie kochanku, obie nogi masz w bótach? — (Bo musiałeś to jegomość słyszeć, że nie wiedzieć zkąd jest ta pogłoska, że okoliczna szlachta oszmiańska jedną nogę w bócie, a drugą w łapciu nosi).

— A ja, odezwał się Surwint, szlachcic z pod Rosień.

— A, to waść Żmudzin, panie kochanku! No! obadwa z poczciwych gniazd i poczciwi ludzie widać jesteście, bo przywiązani do waszego pana, macie więc u mnie służbę; jeżeli zgoda, to za mną do Nieświża; potém obaczym kto do czego zdatny.

Uścisnęliśmy kolana książęcia i za nim ruszyliśmy w tropy.

Otoż masz jegomość dobrodziéj całą historyę śmierci Wołodkowicza, jakbyś na nią patrzał, a na ostatni koniec Hanulka moja zaśpiewa jegomościu pieśń o nim, którą on sam przed śmiercią złożył. Anulku! Hanulku!

Przybiegła dziewczyna do wrót odryny.

— Zaśpiewaj jegomościu pieśń o Wołodkowiczu.

— Zapomniałem, tatuleńku!

— Nie kłam, moje dziecię! onegdaj jeszcze prześpiewałaś ją od deski do deski przed panem *Żabczycem,* twoim *per modum* kawalerem, więc śpiewaj mnie zaraz.

Panna Anna zaczerwieniła się, i spuściwszy oczy, zaczęła śpiewać. Niema co mówić, głos bardzo piękny i cienki.

Obacz, ojczyzno, jaka twoja strata!
Gdzie twa nadzieja? kędy moje lata?
Ledwie ze światem zabieram przymierze,
Jeden mi życie cudzoziemiec bierze.
Wiadomy Bogu, przyjaciołom miły,
W śmiertelne od was dziś idę mogiły.
Nie exces żaden, ani krwi wylanie (???)
Lecz zazdrość pisze z światem mi rozstanie.
Dom starożytny, senatorskie progi,
Stargał to wszystko jeden tyran srogi!
Jak niegdyś Tracki Buzyrys dla koni
Krew ludzką miotał, zjadł mnie Morykoni.
Sądowa izba, spraw wszelkich świątnica,
Istotna dla mnie stała się rzeźnica.
Przebóg! wszak prawo powzięte z ryczałtu
Nie każe czynić pod sądami gwałtu;
Mnie z sądów wziąwszy sędziego elekta
W równości kreślą, formują dekreta.
Omijam innych, ty ciotecznym bratem
Szwykowski będąc, stałeś mi się katem;
Z mych ręku przez cię odebrana szabla,
Krew niewinnego wzlewa na cię Abla.
Sądzą mnie zatém nie dawszy patrona—
Wszak i zabójcom wolna jest obrona—
Kują i biorą do ścisłéj katuszy
Trzy ledwo wolne godziny dla duszy.
Najświętsze, proszę, dajcie sakramenta—
Zegarek na stół—tak liczą momenta!

Wtém i ta Matka, co cały świat broni,
Wtenczas mnie swoim puklerzem zasłoni,
Gdy blizko do mnie wystrzelono kule
Od Jéj obrazu spadły jak pakule.
Czyniąc poprawę, srogości dość ze mną,
Jam rzekł: Maryo! zmiłuj się nade mną!
Zatém gdy acz co wszystkich nas nie minie
Nim się w Józefatowéj obaczym dolinie,
Żegnam one domy, gdy mi czas domierza,
Stryja pasterza żegnam Włodzimierza,
Byłeś mi ojcem i nie skąpym w darach,
W najświętszych pamięć miéj o mnie ofiarach (*).

— To widzi Jegomość, jak to on składnie skoncypował, i jeszcze kilku godzinami przed śmiercią; to także cud, dodał Bielewicz, bo on przez całe życie ani książki ani pióra w ręku nie trzymał.

— Chyba po śmierci tę pieśń ułożył — rzekłem.

— Jakto? — zapytał zdziwiony Bielewicz.

— A naturalnie że chyba po śmierci, bo jakżeby mógł pisać o tych kulach, które od obrazu Matki Boskiéj odbiły się?

— Ach! poczekaj tylko Jegomość... — pomyślił pan Bielewicz.— A dalibógże prawda! To nie on, to ktoś inny widać napisał. Proszę uniżenie! Oto mi mądra Jegomościna głowa! od razu spenetrował prawdę; a ja kilkanaście lat wierzyłem, że to mój kochany pan na pożegnanie złożył.

Wieczór nadszedł. Poszliśmy z gospodarzem na łąkę, gdzie już trzeci stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin, mając przy sobie flaszę z naszego podróżnego puzderka. Poznałem więc, że zapasy nasze będą zawsze pod jego *kustodyą*. Wkrótce stóg się zawierszył. Zasiedliśmy do chłodniku i kurcząt, a po wieczerzy każdy w swoję stronę na

---

(*) Pieśń tę czyli lament jeszcze i teraz posłyszeć niekiedy można śpiewaną przez szlachcianki okoliczne na Litwie. — *N. w.*

paciorki, i potém każdy na swoje miejsce na odpoczynek. Moja kwatera w świronku, do którego wprowadzając mnie pan Bielewicz, rzekł — Jegomość dobrodziéj jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Już to moja Anulka częstować będzie, bo ja z synami przede dniem wybiorę się na młodzież i na zajączki w dalsze knieje od domu. A tak dziś żegnam Jegomości dobrodzieja. Dziękuję najpokorniéj za odwiedziny, i proszę nadal nie mijać ubogiego mojego domku. Baran mój już przy *prewodyrach.*

— Nie, nie, odezwał się słysząc to Marcin; spać długo nie dam mojemu Jegomościu. *Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje.* I my przede dniem razem wyruszym.

Znowu poznałem, że nie tylko moje puzderko, ale i ja jestem pod *kustodyą* pana Marcina.

Tak się i stało. Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy wypiwszy po kufelku grzanego mléka, wyruszyliśmy za wrota, my z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwóma gończemi i wyżłem. Ojciec z synami w uniformach wyżéj opisanych myślistwa Radziwiłłowskiego.

Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitewki poranne odmawiał, pieski tylko ciągając się na sforach, odzywały się niekiedy i po rannéj rosie znaczyły swoje ślady obok drogi.

Nakoniec i słonko się pokazało. Pan Bielewicz, skończywszy paciorki — No, synki! na dobry humor i na szczęśliwe polowanie, *zająca.*

Więc huknęli synkowie, a z niemi ojciec basem:

«Siedzi sobie zając pod miedzą, pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą;
Siedzi sobie lamentuje,
Testament życia spisuje,
Śmiertelny! śmiertelny! (*).

(*) Dawna piosnka myśliwska. — *N. w.*

Aż echo rozległo się po kniejach. Ja zawróciłem się na lewo ku gościńcowi, a myśliwce zapuścili się drożką w las. Długo jeszcze słyszeliśmy ich pieśń wesołą; nakoniec pieski doławiać się zaczęły; więc odezwała się trąbka i razem ho! ho! był tu kot!!! kot! kot! tu! tu! tu! że aż nam w uszach zadzwoniło. Pieski zagrały, i na sercu mnie tak grało, tak wesoło stało się, że aż miło!

POPAS I UWAGI MARCINA.

XVI.

Czwarty to już czy piąty dzień był po naszym wyjeździe z klasztoru, i przy *Barabaszu* i *Eliaszu* trzodka się powiększyła. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem; w kalitce nawet mojéj do czerwieńców pana rotmistrza przybyło kilka talarów bitych i złotówek. Wszędzie mnie przyjmowano łaskawie a obdarzano chętnie i skwapliwie, wszędzie poczciwie i po chrześcijańsku żyjące znajdowałem państwo i chudopacholstwo, wszędzie traktament i gościna i przynuka zawsze, tak, że wyjeżdżać czasami nie chciało się, a nigdzie jeszcze nie spotkałem się z owém niedowiarstwem i zgorszeniem, o którém ksiądz gwardyan namieniał.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołém niebem, jeżeli nie we dworze jakim.— Po co nam do karczmy? mówił Marcin; mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny, i baranów napasimy, i sami posilim się, i nic nie zapłacim.

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy, ale postrzegłszy przed nią

stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatém pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moję odbyć żebraninę, na co i Marcin się zgodził; a zatém stanęliśmy z naszemi kałamaszkami obok pańskiéj karocy. Ujrzały mnie piękne panięta, to jest, chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek wybiegli z karczmy, a za nimi ichmość rodzice wyszli. Weterańswo poważne, nie ma co powiedzieć!

— *Laudetur* Jezus Chrystus! — rzekłem kłaniając się *humillime.*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział *Magnificus!* jak się potém dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę, rzekł on, nie masz gdzie popasać księże kwestarzu!

— Nic to, dobrodzieju! ja też nie na popas tu zajechałem; odpoczną tylko moje szkapy, i powlekę się daléj.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między mojemi i mój obrok zjedzą; samego zaś waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księże kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JWpana, bylem nie przyczynił *subjekcyi.*

— Żadnéj, żadnéj — odpowiedziała pani; a zatém i zostałem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzęgania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu, i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i koni i jego dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się ze wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka. — Z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? — Zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie

zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymywałem placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama imość: bo ja, pamiętając na instrukcyę księdza gwardyana, umiałem trzymać język za habitem; nakoniec przystawiono piąty talerz, i zasiedliśmy do stołu.

— Będziesz głodny, księże kwestarzu! rzekł starosta: obiad podróżny, krótki, i porcyj bernardyńskich nie będzie; bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias*, dobrodzieju! a na cóż więcéj?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani starościna po dwa razy mnie nalewała, i posiliłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztéry jarząbki, wyraźnie dla dwójga rodziców i dwójga dziatek po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu! jarząbków cztéry, a nas pięcioro!

Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcéj i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Charissime!* Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nie lada kwestarz; musiałeś więc i szkoły traktować?

— Oho! pomyśliłem, cóś z wojewodzińska zakrawa.— A jakże? JWpanie! aż do *Poezymy inclusive:* a Alwar gryzłem na pamięć, jak rzepę.

— Zapewne uczyłeś się i Arytmetyki?

— Uczyłem się i Arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcéj praktykuję *addycyę* i *multiplikacyę*, dalsze zaś działania dla mnie niewielce potrzebne; a o *frakcyach* i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tém bardziéj teraz, gdy o całe barany proszę.

— Otoż, pomyśliłem sobie znowu, i wędę z konceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiéj. Punktualnie wypełniam instrukcyę ks. gwardyana. Obaczymy co wyciągnę.

— A więc daj experyment, rzekł starosta, ze swojéj nauki, podziel te cztéry jarząbki na nas pięć osób, ale bez frakcyów, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest, bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równéj porcyi się dostało; kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine.*

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju! byleście się na moją *dywidendę* zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie, rzekł znowu starosta, za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księże kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem.— Podsunąwszy więc bliżéj do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziéj, Jejmość dobrodzika i jarząbek, to troje; panicz, panienka i jarząbek, to troje; kwestarz i dwa jarząbki, to znowu troje.

Brawo! krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, toż samo i pani starościna. Zgadzamy się na podział! wyśmienicie!

— Ale ja się nie zgadzam, rzekłem. Jarząbki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w *indemnizacyi,* jeżeli JWpani dozwoli, wezmę tę bułkę piroga dla mnie, a dla klasztoru, co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, *Charissime,* z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój ztąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JWpanie! Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę, to jadę, bylem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo, i my też powlekliśmy się za niemi.

— A cóż? mój Jegomość! rzekł do mnie Marcin, baranów z sobą nie miał starosta, więc musiało przybyć kompanistów do czerwieńców rotmistrzowskich?

— Nie, nic nie przybyło, ale zaprosił mnie starostą do siebie i obiecał sutą jałmużnę. Furmani musieli tobie drogę rozpowiedzieć.

— A rozpowiedzieli. Ale to widzisz mój Jegomość, *obiecanka cacanka!* Jegomość wiesz jak tam daléj. Cóś mnie wszystko zdaje się, mówił Marcin trzęsąc tabakę z rożka, że Jegomość nie samowity na kwestarza. Powiedz mnie naprzykład Jegomość, jak domawiasz się do baranów?

— A na cóż mam się domawiać. Już skoro kwestarz wchodzi do domu, to poczciwy gospodarz wie, że zbiera jałmużnę, a zwyczajnie barany dla swego klasztoru.

— E! czy tak? mój Jegomość! Nie pocieszy się ks. gwardyan z naszéj kwesty; a Jegomość pójdziesz znowu na *kanaparza.*

— Czegoż chcesz? Kilka dni jeździm, a już z dziesiątek mamy baranów.

— Da co to znaczy? co to znaczy? Nieboszczyk ksiądz Jacek, z którym lat cztéry jeździłem, dotądby już kopę nazbierał. Czy raz to bywało, że my po dziesięć baranów z jednego dworu wypędzamy, które on albo konceptami swemi wyłabudził, albo w *elbecwelba* czy w *maryasza* wygrał? bo u niego zawsze bywało *ze cztérdziestu* i *tuz kozerny.* Miał on na to, jak sam mówił, jakąś *inkluzę.* A dla Jegomościa po jednym baranku cedzą, aż żal patrzeć. A o puzderku i wiktuałach podróżnych gdybym ja nie pamiętał, to przyszłoby i zęby na policy położyć.

Czy Jegomość zawsze zakąsujesz po wódce?

— A jakże? naturalnie, że zjem kawałek chleba. Wszyscy tak robią.

— Otoż widzisz Jegomość, że ksiądz Jacek tak nie robił; on bywało powiadał — Napijem się gorzałeczki, a całym baranem zakąsim. — Ot już jest i baran.

Albo bywało prosi u jakiego pana rozmienić talara na drobne; no, to pan łatwo zgadza się, dobywa kieskę i odlicza za talara drobne; a on znowu— Dajże dobrodzieju i talara twardego, abym miał czém za monetę zapłacić.— Ot jest i talar. Kiedy we dworze którym był młyn, to prosił o pozwolenie zmlecia beczki żyta bez miarki. No, któż takiéj małéj rzeczy odmówi? — Miel, księże kwestarzu, choć dwie.— Da choćby jedną, kiedy mnie ją dasz, dobrodzieju!— Ot znowu chcąc nie chcąc, musiał pan gospodarz dać żyta.

A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiéj koło Pińska.— Szlachta, rzekł do mnie ksiądz *Jacek* podjeżdżając, niewiele chowają owiec i sami kożuchów potrzebują, ale za to wiele i tłustych wieprzów żołędziami ukarmiają, bo lubią kiełbasy i słoninkę, muszą więc mieć jéj zapasy dobre. Obaczysz waszeć, jak ich zażyję.

W okolicy, tak jak u Bielewicza, wszyscy my brat za brat, razem w jednéj chacie, więc słyszałem jak on ich zażył.

Po *pochwalonym* i rozgoszczeniu się nazbierało się do tego domostwa, gdzieśmy zatoczyli nasz oboz, wiele sąsiadów i sąsiadek, zapalono krupniczek w kilku miskach, i posilaliśmy się sobie skutecznie. Prawdę mówiąc, ksiądz Jacek lubił pociągnąć; wypróżniając więc drugi czy trzeci kubek:— Dobrze mnie tu między wami, panowie bracia szlachta! rzekł on, używam w zdrowiu z łaski waszéj darów Bożych, a tam w klasztorze biada! bardzo źle!

— Cóż takiego?— odezwali się.

— Choroba, śmiertelna choroba!

— Jaka? gorączka? zaraza?

— Oj, nie to licho, gorzéj! Oto, wszyscy z mocnego śpiewania w chorze pozrywali sobie piersi, i teraz wszyscy kachu, kachu — ani sposobu. Pan doktor *Eme*, nadworny księcia, całemu konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku.

— A niechże Pan Bóg broni! Niech doktor daje lekarstwa. Na toż on doktor.

— Otoż to biéda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa nie ma, a proste, ale diabelnie, jak on mówi, skuteczne.

— A jakież to lekarstwo?

— Trzeba nosić na piersiach szrot tłustéj słoniny, taki, aby całe piersi pokrywał.

— Ależ to ciężko — powiedział któryś.

— Ciężko, ciężko, ale zdrowo!

To tedy zawołał mnie ksiądz gwardyan i rzekł: — Jedź waszeć, księże Jacku, do braci szlachty pińskiéj. Cały świat wié, że to ludzie pobożni i poczciwi, a przyjaciele Bernardynów, niechże nas ratują. — A gdym już był na wozie, powiedział jeszcze — Pamiętaj waszeć, biorąc słoninę, mierzyć połcie na całe piersi, bo tak pan doktor kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy. — Ratujcież więc, panowie bracia! szczególniéj imoście, jako siostrzyczki różnych bractw pobożnych. Za to cały nasz konwent, i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnéj w modlitwach nie zapomnimy, a zatém po najdłuższém życiu, wszystkie jak z regestru do nieba iść będziecie.

Niektórzy panowie szlachta pokręcywali głową, niebardzo wierząc téj naszéj chorobie; ale jednakże nazajutrz, siostrzyczki jak zaczęły nam znosić lekarstwo, tak całą furę połciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Dla poprawienia mojéj opinii w głowie Marci-

na, opowiedziałem mu moję *diwidendę* jarząbków,— No, cóż na to? Marcinie!

— Niéma co powiedzieć, rzekł on pokręcając głową, masz i Jegomość oleju; ale komparacya jegomościnego rozumu do Jackowego jest tak rychtyk, jak tego piroga kasztelańskiego do pińskiéj słoniny. A pomiarkuj Jegomość, czego bardziéj Bernardynom potrzeba?

Wtém dropiaty zawrócił się do dworku blizko gościńca.

U WDOWY.

XVII.

Na dziedzińcu ledwo przejechać mogliśmy przez roje gęsi, kur, kaczek i indyków. — Nie byłem tu ani razu, rzekł Marcin, ależ widać że tu dobra gospodynia mieszka: półrokuby cały klasztor wykarmił się tém ptastwem. No dajże Boże Jegomościu szczęśliwie, a ja rozgoszczę się na popas.— Podjechaliśmy pod ganek.

Wchodząc do sieni, posłyszałem cieńkie, ale chrapliwe trochę śpiewanie:

Ciesząc swoję biédę,
Za mąż sobie idę.

Zatrzymałem się więc trochę do pomiarkowania okoliczności. Śpiewano daléj:

Ja sobie wdóweńka, ja sobie pani,
Choć sobie podpiję, nikt mnie nie zgani.

I znowu:

> Ciesząc moję biédę,
> Za mąż sobie idę.

Poznałem wraz co się święci i wszedłem do izby. Na środku stał długi stół nakryty dywanem, a za nim siedziała imość, któréj pieśni przerwałem, otyła i czerwona dobrodzika, w czepku na bakier, z oczkami trochę zachmurzonemi i noskiem zaczerwienionym.

A! ksiądz kwestarz dobrodziéj! A! na wieki wieków! — I trzymając się za stół, chciała powstać; lecz gdy posłoniła się trochę, podbiegła córka, która przy drugim stoliku szyła, i podtrzymała mamunię.

— Precz wasanna! ofuknęła ona odpychając córkę; czy to ja sama nie wstanę? ksiądz kwestarz gotów pomyśleć kto wié co!

Widzi Jegomość dobrodziéj, kołtun tłucze mi się po kościach, więc czasami odbiera nogi.

Siadajże Jegomość dobrodziéj, siadaj. Mam barana dla Jegomościa, mam, a może i dwóch obaczym tylko, obaczym! Bieda, powiem Jegomościu, bez gospodarza chata płacze. Zażyjem tabaczki.— Podałem mojéj.— Dziękuję. A wasanna każ przynieść podwieczórek: wędlinki, ratafii i staréj gorzałeczki — na co pozwoli Jegomość dobrodziéj. Biéda, biéda mojéj biédnéj głowie. Już to trzeci raz owdowiałam. Folwareczek niczego, substancya jest, dzięki Bogu, jest. I to nie na dożywocie, nie, ale moja własna właściwość, bo nieboszczyczek mój piérwszy mąż zapisał mnie saméj jednéj, a téj klępie dam co, czy nie dam, to jak moja łaska.

Wszystko to za jednym tchem wygadała dobrodzika, że nie mogłem ani słowa mojego przemówić. Zmordowała się jednak, czy języczek się splątał, bo trochę zamilkła.

— To córeczka dobrodziki?— zapytałem w niepewności, słysząc, że ją klępą zwała.

— A tak, córeczka, córeczka; a cóż z tego, że córeczka? o niczém inném nie myśli, jak tylko, żeby za mąż pójść. Ale poczeka mościa panna, poczeka! Jużbym to zawsze wolała mieć syna. Pojechałby w świat i nie przeszkadzałby w niczém matce. A to czy kto przyjedzie do domu, czy gdzie sama wyjadę, to panieńka na swoje kółko niteczkę mata, a o matulce ani pomyśli.

Wtém i podwieczórek przyniesiono. Przyszła i córeczka, stanęła za matką, zbiedniona nieboraczka, ale jednak *formosa puella,* i nie dziw, że przemyśliwa *circa connubium.*

— Niéma gospodarza, dobrodzieju, to przyjmiesz z rąk gospodyni. Ja ratafii trochę zażywam. W ręce!— Spory kieliszek machnęła baba i zaczęła zajadać wędlinę; poszedłem za jéj przykładem, choć nie tak skwapliwie.

— Proszę, supplikuję, nie wytwornie, ale pokornie.— Znowu powstać chciała, ale znowu kołtun nogi poplątał.

— Otoż, mój mości dobrodzieju, miałam już trzech mężów. Proszę teraz na moję tabaczkę. Jegomościa dobrodzieja z tomką, a ja dodaję po trochu wiszniowego liścia. Miałam trzech mężów... Sto lat Jegomości dobrodziejowi!

Jakiéjś ciemierzycy baba mnie poddała, bo paliłem z nosa jak z pistoleta, i z pięćset lat mi nażyczyła.

— A wszystkich trzech najlepszych. Co ja napłakałam się po każdym! bo każdy mnie kochał i respektował.

Za pierwszego poszłam młodziuteńka, jeszcze dziecko byłam, powiadam Jegomościu dobrodziejowi; ale

i on był jak dziecko, *symplaczek* sobie, lecz że z godnéj familii i miał ten folwareczek, a ja posagu *paszl* więc mnie rodzice za niego wydali! a on wraz całą swoję substancyę zapisał. Potem stał sobie zawsze przy piecu i słuchał co ja rozkażę; a ja sobie bonowałam jak pani. Dziesięć lat aniołeczek stał tak przy piecu; a choć go bywało i szturchnę, jak mnie uprzykrzy się ta jego niemota, albo gdy zechce mięszać się do czego w domu, to pokłoni się mnie, pocałuje w rękę i wyjdzie do kwatery swojéj na folwarku. Rozpił się potém nieboraczek—ale nie z mojéj przyczyny! cóż ja temu winna? tak jemu Pan Bóg dał— i umarł, zostawiwszy mnie na głowie córkę, tę mościapannę. Oj! co ja napłakałam się po nim! co ja napłakałam się. Skosztujem ratafii, księże kwestarzu dobrodzieju, po wędlinie.

Zaraz sobie pomyślałam, że dla ludzkich języków, mnie młodéj wdowieć długo nie wypada. A zdarzył się tu w sąsiedztwie tenutorem półwieczny jegomość, ale *moderat* wielki, *sensat* a gospodarz zawołany, i jak zaczął do mnie podjeżdżać, a radzić serdecznie w mojéj gospodarce, a obiecywać złote góry z tego folwarku, i nakoniec pożyczać mi po trochu pieniędzy, a molestować o deklaracyę, tak ja, zmówiwszy modlitewkę do świętego Eliasza, patrona wdów pragnących tego *sakramentu*, poszłam z nim na kobierzec. Oj! gdybym nogę wtenczas złamała! Bo ten pan moderat i sensat, był, prawda, gospodarz, ale hypokondryk, śledzionnik, liczykrupa, sknera, tak, że musiałam ja teraz, jak niegdyś biédny mój symplaczek, stać przy piecu z założonemi rękami, a jegomość rządził i dysponował jak chciał w mojéj fortunie, i jeszcze przymuszał mnie, abym mu zapisała. Oto wpadłam, mój mości dobrodzieju! Ale nie dotrzymałam tak długo, zaczęłam mu wetować. Dopiekał on mnie do żywego, do żywego dopiekałam i ja jemu; on chce tak, a ja na złość inaczéj; on chowa pieniądze, a ja wykradam i zabieram; on mó-

wi: moja praca, a ja mówię moja fortuna; on do kija, a ja do wałka. I tak sądny dzień w domu. A nakoniec jednego dnia z wielkiéj złości paraliż jegomościa naruszył i umarł nieboraczek. Oj, co ja napłakałam się!

— Zdaje się, dobrodziko, że nie było czego.

— Oto! jakto? W małżeństwie bywa i tak i owak, a dla tego potém żal!

Sześć latek z sobą przeżyliśmy, i sama nie wiedziałam co począć po jego śmierci? Różnie głowę moję łamałam. Aż tu, jakby z przeznaczenia Bożego, przechodzi tędy półk husarski i staje u mnie na kwaterze porucznik. Młody, mój dobrodzieju! hohol na trzy łokcie! koroniasz, wersat! bywalec, mój dobrodzieju! Kiedy ubierze się bywało a siądzie na konia, mój dobrodzieju, złoto z niego ciecze! A jaki zuch! Czego on nie dokazywał? Najtrudniéj zaś bywało wytrzymać, że jak zacznie sadzić strzeliste koperczaki, to aż dreszcz idzie po skórze. Półk stał ztąd gdzieś o mil dwadzieścia, on tu sobie zapisał zimowe leże i rozlokował się. To długiemi wieczorami na dobitkę, jak zawiesi bywało teorban a zagra i zaśpiewa albo wesołego kuranta, albo jaką dumkę ukraińską, żałośliwą, to już ani sposobu wyperswadować sercu swemu nie mogłam, i rozamorowałam się zupełnie. A do tego — Moja duszko! mój aniołeczku! mówił on, będę cię na ręku nosił, będę cię źwierzynką karmił, a jak pojedziem do moich fortun w Koronę, to będziesz tam jak pączek w maśle opływała.— Tak już, mości dobrodzieju, poszłam za sercem! poszłam za sercem... i trafiłam jak kulą w płot.

Na drugi dzień po szlubie szatan go opętał. Jak wrzaśnie nade mną— Babo! dawaj pieniędzy!— Rozumiałam, że żartuje; ale on nie żartem wrzeszczał— Babo! dawaj pieniędzy! Czy to ja darmo młodość moję takiéj szkulepie zaprzedałem?— I niedługo cze-

kając, wyrwał mi z rąk kluczyki, odemknął kantorek, (a wiedział, że tam jest gotówka, bo ja głupia z wielkiéj miłości wyspowiadałam się mu przed szlubem ze wszystkiego), zabrał więc cały zapas po nieboszczyku zaklęty i ruszył do półku.

Rozumiałem że i nie powróci. Żal mnie zrobiło się nie tak moich pieniędzy, jak jego samego: bo to, myślilam sobie, młode piwko, uchodzi się; wybierałam się więc za nim do komendy; aż wraca przecie, wraca! ależ za nim koni, psów, bez liku; a co najgorsza hajdamaków z półku takich jak sam, kilkunastu. Rozumiałam, że dom przewrócą. Hulanka dzień i noc. Znalazła się i skrzypeczka, pozapraszał sąsiadeczki, więc i tany, i bale, i pijatyka; a wszyscy krzyczą jak na złość — *U wdowy chleb gotowy!*

Poszło wszystko świdrem, i pieniążki, i wędlinka, i gorzałeczka, a mój pan porucznik ani słuchać nie chce moich żalów; a co najgorsza, że jak czasami wyjechała od nas ta żołnierska chałastra, to on znowu śpiewał dumki piękne, ale nie dla mnie, a dla panny Teresy, mojéj kochanéj córeczki. Czy tak? Ot ja panienkę do klasztoru, do panien Benedyktynek nieświżkich *insperate* zapakowałam. Niechaj już ja jedna, myślałam sobie, ten krzyż Pański znoszę. A do tego jeszcze taką cierpiał *żelozię*, że kiedy raz powróciwszy z polowania znalazł pana vice-regenta gościem u mnie i grającego ze mną *w paszyka*, to porwał go za kark, wyniósł za drzwi i rzucił z ganku, tak, że ten nieboraczek ledwo powstał, a do mnie wpadłszy krzyknął — *Babo! kiedy kochasz! kochaj stale, a nie kochasz, w łeb zapalę!* — A święta Urszulo z towarzyszkami! Aż mnie strach teraz, jak na to przypomnę.— Skosztujem po kropelce.

— Dziękuję, dobrodziko! Woléj zażyjem jeszcze tabaczki, ale mojéj, bo imościna kaducznie mocna.

— Dobrze. Mój nieboszczyczek drugi mąż zażywał

tabaczkę, a od niego i ja nauczyłam się; a ten trzeci bisurmanin, to palił fajkę. Nie mogłam z nim dać rady. Wypustoszył mnie dom, zrabował gospodarkę, rozhajdamaczył i rozpoił mnie dwór cały, a ja *pijaństwa cierpieć nie mogę*. Przecież niedźwiedź przyszedł mnie na ratunek. Na obławie strzelił on do niedźwiedzia i spudłował, a niedźwiedź na niego; nim dobiegli ratować, zdarł mu skórę od głowy do pięt, pogruchotał mu kości, i tak umierającego do mnie przywieźli, ot temu jak raz piąty miesiąc. Ach! co ja napłakałam się! Nie było czasu i doktora sprowadzić. Umarł, ale po swojemu: bo choć i wyspowiadał się i za grzechy żałował, a jednak przywoławszy mnie do łóżka i postawiwszy na mnie oczy słupem, krzyknął — Słuchaj babo! (choć Jegomość dobrodziéj widzisz sam, że ja jeszcze nie baba) słuchaj, babo! ty pójdziesz zaraz za mąż za tego *jura*, któremu że do reszty kości nie połamałem, wielce żałuję, i pokrzywdzisz biédną Teresię, (co to do jego należało?) ale pamiętaj, że na piérwszym nowiu po waszym szlubie ja zostanę upiorem, przyjdę do was o północy i obójgu głowy poskręcam.— Czy to może być, mości dobrodzieju, gdyby on został upiorem? Jegomość taki lepiéj o tém wiedzieć możesz. Czy upiory chodzą po świecie? Czy nie widział Jegomość dobrodziéj choć raz upiora?

— Nie widziałem, dobrodziko! ale przecięż ludzie powiadają, że to zdarza się. Jednakże bez woli Boskiéj nic się nie stanie. Są sposoby w modlitwach za duszę.

— A są sposoby, przerwała mi imość mowę; wiém i ja o tém, mój dobrodzieju! i pan vice-regent powiada, że trzeba tak zrobić, żeby kochaniński leżał sobie spokojnie w ziemi, i nie hajdamaczył tak po śmierci, jak za życia. Trzeba odkopać trupa, uciąć jemu głowę rydlem i położyć w nogach, żeby rękami nie mógł dostać. To będzie mocował się, mocował się, silił się, ale jak nie dostanie rękami głowy, to i nie

wstanie. A jeżeliby dostał, to weźmie głowę pod pachę i pomaszeruje. Już ją raz tak jego i śniłam z oczami wytrzeszczonemi z pod pachy. Mogiła wiadoma. Więc jak jegomość dobrodziéj radzisz?

— Ja dobrodzice zupełnie inny poradzę sposób, i pewnie skuteczniejszy.

— Słucham, mój dobrodzieju, słucham.

— Oto, daj naprzód dobrodziko na msze święte, na exekwie, i na ubogich za jego duszę; a ponieważ przed śmiercią on sam powiedział, że wtenczas zostanie upiorem, gdy Imość przez nowe z jurystą poszlubienie się ukrzywdzisz córkę, to radzę jak najprędzéj ją za mąż wydać i regularnie wyposażyć.

— A co to księdzu kwestarzowi do tego? Waspan dobrodziéj, jako osoba duchowna, nie powinieneś w to mięszać się, co do jego nie należy.

Otoż i po moich baranach, pomyślałem.

— Ja-bo tylko chciałbym ochronić dobrodzikę, aby pan porucznik na pierwszym nowiu z pod pachy na nią nie spójrzał.

— Już my sobie damy rady bez Jegomościa; a exorcistów nie potrzebujemy.

Rozsierdziła się babula, i uciekłaby pewnie ode mnie, gdyby mogła powstać, ale zaprobowawszy razy kilka, osiadła znowu.

— Wiész co? dobrodziko! rzekłem, zapijem tę sprawę!

— Niechaj sobie i tak. — Udobruchała się wnet i wychyliła do kropli kieliszek. — Niechaj sobie i tak! A do tego widzisz wasan dobrodziéj, że pan vice-regent, to mądra głowa, on wszystkie statuta na palcach liczy, a powiada, że niedawno postanowiła Rzeczpospolita takie prawo; że kiedy gdzie jest matka i córka, a obiedwie chcą iść zamąż, to córka nie może wyjść piérwéj od matki, i musi czekać, aż póki matka nie wyjdzie.

Stojąca córeczka za krzesłem matuli, miknęła zcicha — Oho! ho!

— Co to waspanna mikasz? krzyknęła imość, co to waspanna mikasz? Mikaj waspanna nie mikaj, tak będzie, jak Rzeczpospolita przykazała. Co to? bunty?...

— No, dobrodziko, ja nie prawnik; ze mną rzecz o barany; do tego więc przystąpmy. Za trzech mężów, trzech baranów, a na sukcess z czwartym, czwartego.

— Na sukcess z czwartym!... at niechaj sobie! Coś mnie trochę słabo.... kołtun ten przeklęty.... Ostatni kieliszek dogodził widać dobrodzice, bo drzémać zaczęła.

— Kołtun ten przeklęty.... i głowę i nogi odbiera, i tak cóś morzy.... morzy.... Na sukcess z czwartym.... czwartego.... panna Teresa.... i Rzeczpospolita.... Upiorem zostanie....

Bredząc tak i mrucząc baba, założyła ręce na stole, opuściła głowę na ręce i zachrapała w trąbę. A panna Teresa, podziękowawszy mnie za dobre serce i prosząc o modlitewkę na jéj intencyę, czterech baranów wydać kazała.

— No, rzekł stary Marcin, gdyśmy za bramę wyjechali, daj Boże po wiek mieć do czynienia ze staremi wdowami. — A gdym mu rozpowiadać zaczął całą historyę téj kwesty — Wiém o wszystkiém, przerwał mi, i więcéj wiém, niżli Jegomość i niżeli sama pani, bo ona tego nie wié, że palestrancik, którego ona dla siebie kaptuje, jutro, gdy ona zaśnie po obiedzie, wywiezie panienkę i szlub z nią weźmie. Już ma indult gotowy, i wszyscy we dworze wiedzą o tém, ale nikt jéj tego nie powié, bo nienawidzą baby. Góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem zejdzie się; otoż i ja znalazłem tu ochmistrzynię, dawną moję kumę, która wszystko mnie to powiedziała i króbkę naszę podróżną napakowała więdlinką.

U PANA STAROSTY.

XVIII.

W późny wieczór przywlekliśmy się do dworu pana starosty, i lubo z pałacowych okien świeciło jeszcze jak z kościoła, wolałem jednak zajechać na noc do ekonomii, a nazajutrz rano pokłonić panu.

Obaczymy jutro, pomyślałem sobie, jaka to komparacya między państwem pana starosty a państwem pana wojewody. Jakoż przenocowałem wygodnie u pana dyspozytora, który mnie przyjął poczciwie, a nawet i kordyalnie, gdym mu powiedział jeszcze, że przybywam na rozkaz starosty.

Nazajutrz rano, nim jeszcze w pałacu okienice otworzono, już ja ze dwie godziny *kwerendowałem* po całym dworze, przypatrując się wszystkiemu, nie w celu, broń Boże, jakiéjkolwiek cenzury, ale że to odezwało się w człowieku życie niedawno dworskie. Bo to nie tak łatwo, jak się komu zdawać może, wyrugować z głowy dawne nałogi i obyczaje. Za każdą okazyą odnawia się pokusa, jak recydywa po chorobie, przeciw któréj jedyna *salva* w łasce Boskiéj, utwierdzającéj człowieka w dobrém postanowieniu. To też, Bogu dzięki, nie na długo mnie zachwyciła ta chętka, a ciekawość bez złych myśli i zamiarów nie jest, zdaje mi się, grzechem, tém bardziéj, że

we dworze tym zbudować się, i za każdym krokiem za dobry przykład Bogu dziękować trzeba było.

Ludzi tu jak mrówia, ale wszędzie ład, dostatek, wygoda. U pana wojewody szumno, huczno, bunczuczno, po pańsku nawet, bo hojnie i wspaniale, ale we dworze rygor i nie zawsze ład i spokojność. Tu wszystko jak w zegarku, każdy swego pilnuje z ochoty nie z bojaźni, u każdego na twarzy wesołość, zgoda między wszystkiemi; a u nas bywało na dworze pana wojewody, ja marszałek musiałem codzień rano rozsądzać nocne sprawki liberyi, i boćkowskim hamować procedera.

To, pomyśliłem sobie, dom staropolskiéj cnoty i poczciwości. — A tu kto mieszka? — pytałem się stojąc przy stajni u masztalerza, wskazując na jedną oficynę.

— Tu sami gracyaliści pańscy, starzy słudzy, albo i nie słudzy; ot byle biedny a poczciwy, to i ma chléb.

— A w téj drugiéj oficynie?

— Oho! tam panowie rezydenci godnéj kondycyi; oni zawsze na pokojach pańskich, i do pańskiego stołu siadają, i koniki swoje pańskim obrokiem karmią. Są tam jeszcze pokoje gościnne, nigdy chwała Bogu, nie próżne.

— A w téj trzeciéj, najdłuższéj?

— A w téj trzeciéj, to grunt. Widzisz Jegomość. że już z komina się kurzy. Tam mieszka nasz pan marszałek i nasz chlebodawca pan szafarz; tam kuchnia i służba wszelka pokojowa, tam i kapelia. My stajenni mamy masztarnię. A w czwartéj oficynie téj najbliższéj od pałacu, bo już pewnie Jegomość zapytasz, same babstwo, Panie odpuść ciężkie grzechy, faworyty imościne, stare szkulepy. Jak zaczniem w niedzielę wozić je do kościoła, to i koni nie staje. Nic nie robią, tylko z księdzem kapelanem, który mieszka w pałacu, do różańca i godzinek stają codzień w kaplicy, regularnie z okularami na nosach. Są tam i młode; uczą się czegoś, kto ich tam wié?

— A może Jegomość dobrodziéj naszę stajnię opatrzy? Ale oto i pan na ganku.

— *Hospes venit*, Chrystus *venit!* wykrzyknął pan starosta, postrzegłszy mnie podchodzącego do ganku. Dziękuję waści, księże kwestarzu, żeś moję obligacyę tak rychło i ochoczo spełnił.

Sentencyę na *sentencyę* odkładając, rzekłem:

— *Hospes non invitatus recedit*, *saepe ingratus;* lecz ja, stawając tu na rozkazy JW. pana, mam nadzieję i łaskawego przyjęcia.

— Brawo! erudyt! Marszałka do mnie! a gdy ten wnet się okazał, mamy gościa, rzekł doń starosta, którego sam wczora zaprosiłem. Do południa jestem zatrudniony, proszę więc tymczasem księdza kwestarza ugościć i zabawić; a na obiady zapraszam go do siebie.

— Co dwór to marszałek, a wszyscy jednego kroju: każdy powinien mieć głowę nie dla proporcyi, nosić się nietylko chędogo, ale i z pańska, dla honoru pryncypała swojego, być rezolutnym, ale razem poważnym i statystą, a nie fircykiem ani świszczypałą, nie dać się skonfundować nikomu, mieć animusz i figurę, ale też znać się dobrze *cui quod debet*, na *preeminencyach*, *stallach* i urzędach, aby, gdy u obiadu pańskiego z laską chodzisz koło stołu, hajduk nie podał półmiska piérwéj panu skarbnikowi, niżeli panu stolnikowi lub wojskiemu, bo za taki *feller* i miejsce i konsyderacyą utracić można na zawsze. Umiałem ja to wszystko.... ale cóż? *Sic fata tulerunt!* to jest, *dziéj się wola Boska!*

Pan marszałek dworu pana starosty, ma, zdaje mi się, wszystkie takowe *kwalifikacye* i jest *peritus rei* w swoich *officyach,* posłał zaraz do pałacu po kawę dla mnie, dla siebie i dla panów rezydentów, których dwóch przyszło doń na śniadanie.

Jeden młodzieniaszek, widać niedawno z pod *feruły preceptorskiéj*, bo nieśmiały i nie nabrał jeszcze dwor-

skiego *szyrmu* ani *lustru;* ale drugi całą gębą *homo,* bo i *persona* i *eloquentia* i krotofilność subtelna, właśnie jak potrzeba do ozdoby dworu wielkiego pana. Z panem marszałkiem w dobréj widać żyją komitywie. Żartowali z siebie wzajemnie, jeden drugiemu czyniąc *alluzye* do dworskich panien, a obadwa biednemu podstolicowi o *inklinacyę* jego do panny horodniczanki, faworyty i wychowanki pani staroścινéj.

Czerwienił się biédny chłopak, ale widać trafili mu w sedno, bo nie umiał im odciąć się.

— Dziécko-bo jesteś, mój kochany podstolicu, mówił starszy pan rezydent, chorąży z tytułu; męczysz się codzień i suszysz sobie głowę, smażąc do niéj wierszami jakieś *fabuły,* jakieś *dyalogi*, w których, wszystkich bożków pogańskich wzywasz na sukurs, w których co słowo, to *Cerery* i *Wenery* i wszystkie *olimpijskie dziardyny* stawiasz w paradę. To bardzo pięknie i rozumnie; widać, żeś niedawno poezymę przeszedł; ale cóż, kiedy piękna Franusia o Bożym świecie tego nie rozumie? A kiedy jesteś razem z nią na pokojach, to stoisz z daleka, jakbyś trzech zliczyć nie umiał; w tańcu z nią, to jakby ci kto ołowiu do kieszeni nakładł. Idziemy całym dworem na szpacer, znowu toż samo: panienki śpiewają, biegają, swawolą, ja starszy a pomagam im i śpiewać i biegać, a wasan, *Jezu mój Panie!* idziesz wyprostowany i zamyślony, jak pan dyrektor za żakami, a zachmurzony i krzywy poglądasz na Franusię, jak na kwaśne jabłko; a to słodzińka gruszeczka, mój podstolicu! Przecieżeś chłopiec jak malina. Kiedy cię widzę na polowaniu rzeźwym i ochoczym, harcującego na koniu, a wesołość i swoboda z oczu ci pryska, to aż miło drugiemu! Czemuż tak nie polujesz i na serduszko horodniczanki? Wyskocz! doskocz! raptem do niéj! i twoja będzie. Nie prawdaż? panie Sebastyanie! rzekł do marszałka. Tak po naszemu!

— Bywało — odpowiedział kłaniając się marszałek.— Wiele masz lat? panie chorąży!

— *Inutilis quaestio solvitur silentio!* — odpowiedział ten kłaniając się wzajemnie, i obadwa rozśmieli się, a ja z niemi trzeci. Pan podstolic tylko spokojnie popijał kawkę.

— Cóż? szanowny nasz gościu! odezwał się znowu do mnie pan chorąży, wieleż już nazbierałeś baranów?

— Będzie z tuzin, licząc z tym, którego dobrodziéj darujesz.

— Brawo! po kwestarsku! Ale ja gospodarki nie mam; wszakże baran a talar, to na jedno wychodzi, tego więc chętnie ci ofiaruję. Za moim przykładem ręczę, że wszyscy nasi dworscy pójdą, nie licząc kontrybucyi, którą ci nasz babski regiment z tamtéj oficyny złoży. Nie mówię o JW. staroście. Opowiadał on nam wczora twoję dowcipną *dividendę* jarząbków, i hojnie cię zapewne obdarzy. Zabawisz tu z nami, księże kwestarzu, dni kilka, bo cię starosta nie wypuści. Chwała Bogu u nas jak w raju; nie zatęsknisz ani po swojéj celi, ani po nabożeństwie; kaplica w ogrodzie, codzień msza święta, na którą oto i dzwonią.

— A więc pójdziemy, rzekłem; może jeszcze trafię posłużyć księdzu kapelanowi — i trafiliśmy wcześnie.

Na podziękowanie Bogu za szczęśliwie odbytą podróż państwa, msza śpiewana odprawiać się miała, więc i kapela była na chorze: bo to nie kaplica, ale kościołek prawdziwy, murowany, piękny, ozdobny, a ludu jak w niedzielę w jakiéj parafii. Prawdę mówił masztalerz: kilka babulek okularowych, każda własnym dyszkantem ciągnęła *Zdrowaś Marya*. Kiedy to ja huknę *insperate* za niemi basem po bernardyńsku, aż przychyliły się babulki w ławkach i obróciły na mnie zdziwione okulary, a wszyscy uśmiéchali się potrosze.

Skończyliśmy różaniec, zadzwoniono raz drugi; weszli państwo z dziatkami do kościoła i zasiedli ławkę w *prezbiterium*. Ubrałem w zakrystyi księdza kapelana, który mnie na zaznajomienie się pobłogosławił,

i wyszedł ze mszą, a ja z jednym *gracyalistą* za *serwitorów*.

Daj Boże na najdłuższy wiek pobożnym państwu, a na zasługę u pana Boga wszystkim, jako się pięknie i przykładnie odbyło nabożeństwo. Po supplikacyi, do patyny przystąpili naprzód JWW. starostowie oboje, przy nich dziatki, a potém cały dwór, jak kto docisnął się. Natenczas postrzegłem jakąś figurę *generis masculini*, stojącą przy ławkach pańskich, po niemiecku ubraną, twarzy chudéj i żółtéj, z głową pudrowaną, z włosami w tył zebranemi, z harcapikiem na potylicy, w trzewikach i pończochach, a z kapeluszykiem składanym pod pachą. Z oczu biegających na wszystkie strony, cóś mu kociego czy szatańskiego wyglądało, do czego i ubiór jego wielce się akkomodował. Pomyśliłem, że to musi być doktor niemiecki, a jak zwyczajnie niemiec, widać że luter, dla tego J. ks. *celebrant* nie dał mu patyny, i on sam nie cisnął się do niéj. Pokręciłem głową, myśląc, po co on tutaj?

Po nabożeństwie starościna powitała mnie łaskawie, i panięta mile się ukłoniły, a niemiec zmarszczył się; ale i ja na niego spójrzałem tak, że mu aż w pięty pójść musiało, i poszedłem za księdzem kapelanem, który mię do siebie zaprosił.

U księdza kapelana także jak w kaplicy: relikwiarzami całe ściany zawieszone, a przy każdym kwiaty bardzo misternéj roboty rąk, jak mi powiadał ksiądz kapelan, fraucymeru pani starościnéj. Pokoiki dwa maleńkie na skrzydle pałacowém, a w nich czysto i cicho, jak w celi.

Gdy on się posilał śniadaniem, ja rozpatrywałem się w tych wszystkich świętościach; ale że mnie ten niemiec wbił się w głowę, więc zapytałem:

— Dla czego, *reverendissime*, nie dałeś patyny temu niemcowi, który stał przy ławce starościńskiéj?

Musi on być jakiś szołdra dyssydent, a zapewne doktor nadworny tutejszy?

— Oj, ani luter, ani kalwin, ale gorszy od nich wszystkich, odpowiedział ksiądz Joachim, bo to przeklęty heretyk. bezbożnik, ateusz, farmazon bodaj, a chrzci siebie filozofem i bardzo mądrym człowiekiem. To nie niemiec, ale francuz, i nie doktor wcale; mamy tu doktora poczciwego węgra; a ten bezbożnik nie leczy, ale truje, i to nie ciało, ale duszę! a co najgorzéj, młode i niewinne dusze, dzieci pańskie! bo to jest *per modum* nauczyciel ich do języka francuzkiego.

— A dla czegoż, *reverendissime*, nie ostrzeżesz tych zacnych i pobożnych państwa o takich bezbożnych jego i szkaradnych naukach? Nacóż go wpuszczacie do domu Bożego.

— Czyż rozumiesz, kochany księże kwestarzu, że ja obojętnie patrzę na to zgorszenie? Fulminuję, upominam, błagam oboje państwo i zaklinam na zbawienie duszy, aby tego niegodnego człowieka oddalili od dziatek swoich; ale na nieszczęście, bies ma swoich na tym świecie apostołów, a temi są ludzie zgorszenie czyniący, pełni szatańskiéj przewrótności i światowego rozumu, przez który bałamucą poczciwe i łatwowierne głowy.

Oh! takich już wielu jest w naszym kraju. Wyrzutki z własnego, znajdują u nas, szczególniéj w domach pańskich, nietylko przytułek i wygodę, ale nawet i konsyderacyę wyższą od naszych własnych, mądrych i uczonych a bogobojnych mężów, na których, chwała Bogu, krajowi naszemu nie zbywa.

— Bóg gdy chce kogo ukarać, to rozum odbierze— powiada dawne przysłowie, otoż i my spodziewamy się kary Bożéj, bo nam Bóg własny staroświecki poczciwy rozum odebrał, a przypuścił na nas wiarę w mowę i rozum francuzki teraźniejszy, bo dawniejszy rozum i francuzki nie był takim. Teraźniejszy bezbożny, niecnotliwy, niechrześcijański, pragnący

wywrócić wiarę świętą, obyczaje, zwyczaje, i wszystko, co dotąd ludzie czcili i szanowali. I to jest dzisiejsza filozofia z piekła rodem, która się u nas z językiem francuzkim, z ludźmi francuzkiemi, a najbardziéj z książkami francuzkiemi rozszerzać poczyna, między panami naszymi najpierwéj, a przejdzie potém i do małpującéj ich szlachty.

Na wielkim świecie, w Warszawie naprzykład, ani stąpić bez francuzczyzny; sam tego byłem świadkiem, gdyśmy tam przeszłego roku byli. Ztamtąd właśnie przywieźliśmy i tego filozofa; ale zażyłem go tu nieźle!

Po długich jegomościa rozmowach, po sprzeczkach ze starostą i z samą panią, którzy umieją po francuzku, którzy, jako pobożni katolicy, nie mogli słuchać spokojnie jego bluźnierstwa, a przez delikatność i respekt dla takiego mędrca zawiązać mu gęby nie śmieli, po nieuważném jego znajdowaniu się w kościele i innych okolicznościach, wiedząc zwłaszcza o powszechnym duchu jego braci, poznałem co się święci. A więc wezwawszy Ducha św. na pomoc, który od razu nauczył apostołów wszystkich języków, wziąłem się, nic nikomu nie mówiąc, i owszem tając się z mojém postanowieniem do francuzczyzny.

Umiejąc dobrze po łacinie, nie tak bardzo i trudno mi przychodziło. Znalazłem dykcyonarze i książki w bibliotece tutejszéj pańskiéj, przysłuchiwałem się niby to od niechcenia lekcyom jego samego dzieciom dawanym, a nocami i rankami pracowałem bez ustanku; tak za trzy miesiące rozumiałem cały skład języka tego i mowę filozofa; milczałem jednak, czekając pory, a doskonaląc się codzień, i rozmawiając nawet sam z sobą.

Jednego razu u obiadu, przy wielu gościach, rozperorował się francuzisko w swojéj ulubionéj materyi, jak on nazywa, filozoficznéj. Wielu było panów umiejących po francuzku, a przysłuchujących się pilnie jego zuchwałym exklamacyom. Dowodził, że

duchowieństwo jest ciężarem niepotrzebnym dla kraju, bo wszyscy księża próżniacy.

— Kłamiesz! bezczelnie kłamiesz! odezwałem się. Ciężarem dla naszego kraju są włóczęgi, którzy we własnym nie umiejąc na chleb zarabiać, nasz zjadać przychodzą, i za ten chleb nasz przynoszą nam zepsucie i potępienie!

Nie umiem opowiedzieć jegomościu zdumienia powszechnego, samegoż francuza, moich państwa i całéj kompanii. Francuz oniemiał, patrzał na mnie osłupiałym wzrokiem, jak złodziéj na uczynku złapany, nakoniec pan starosta rzekł — Księże Joachimie! czy cię Duch święty darem języków nawiedził? Co to się ma znaczyć? Od lat pięciu mieszkamy razem. Czyś swoję naukę ukrywał? i dla czego?

— Nie taiłem się z nauką JWpanie, odpowiedziałem, bom jéj nie miał, ale w rzeczy saméj wezwałem pomocy Ducha świętego, abym się mógł nauczyć języka, w którym ten fałszywy filozof rozpowiada bluźnierstwa.

Trzy miesiące temu, jakem i słowa nie rozumiał po francuzku; dziś oto rozumiem, i mogę śledzić tego węża kusiciela, starć mu głowę jego własnym orężem, a zasłonić przynajmniéj dziatki pańskie od zarazy i zepsucia.

Powszechny dano mi *applauz.* Starosta wstał od stołu i uścisnął mnie. *Konfuzya* francuza była wielka, i tém większa, gdym mu opowiedział, jakim sposobem i w jakim celu nauczyłem się po francuzku, a oraz gdy pan starosta dodał — Odtąd ksiądz Joachim będzie obecnym każdéj lekcyi, bo nie chcę moich dzieci na niedowiarków sposobić.

Skromniejszym więc jest teraz, i w obecności mojéj cyt! książki tylko swoje przede mną zamyka, ale i do tych dobiorę się kiedyś.

Przy tém rozpowiadaniu przypomniałem sobie słowa mojego księdza gwardyana, które mi na wyjeź-

dzie w téj materyi powiedział, powtórzyłem je księdzu kapelanowi.

— Tak, tak, rzekł on, miał racyę twój ksiądz gwardyan; widać, że to jest mądry i przenikliwy kapłan. Jest *zło* między nami, jest! Waszeć tu jedną tylko małą widzisz próbkę, ale *non derogando* twemu rozumowi, nie kwestarskim rozmysłem ani kwestarzowi zdarzyć się mogą zręczności dójść tego i pojąć, jak *ono* obejmuje najpiérwsze w kraju naszym głowy, jak ostudza gorliwość kapłanów nawet, jak z chciwością chwytają dziś książki francuzkie, napojone jadem niedowiarstwa, i naczytawszy się ich, żartują ze wszystkiego co dotąd jest u nas świętém i nietykalném. O biada, biada krajowi, w którym tak się dzieje, jak w naszym! upadnie on, niezawodnie upadnie, bo go odstąpi opieka Boska, gdy bojaźń Boska odstępuje; mamy jeszcze zapas cnót domowych, ale i te wygasają powoli, a natomiast szerzy się bezwstydna rozwięzłość i samolubstwo: lecim więc na oślep do upadku doczesnego i do zguby wiecznéj.

— Dla Boga! rzekłem, ratujcież ichmość teologowie, ratujcie!

— A cóż mogą nasze poziome rozumy i sposoby przeciw woli Boskiéj? Za nasze to grzechy karze nas Bóg i przypuszcza obłąkanie. Ależ czyż rozumiesz, że dla tego wiara nasza święta chrześcijańska upadnie? O, nie, wcale nie! bramy piekielne nie poruszą jéj! gdy się zdaje chwiać, to się tylko mocuje!...

Ksiądz kapelan porzucił śniadanie i szerokim krokiem przechadzał się po pokoju, a oczy mu ogniem pałały; wiele jeszcze w tym sensie napowiadał mi *sentencyów;* któż je spamięta? słuchałem go, jakby kaznodzieję na ambonie, i tak przeszedł nam czas aż do obiadu, przed którym wyszliśmy trochę do ogrodu, a potém na ganek.

Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, parą końmi zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Poznał ks. kapelan powóz, i powiedział mi, że to przyjechał pan *Kwetko*, mecenas trybunalski a plenipotent starosty w jego procedurach, którychby nie było, gdyby on starosty nie podwodził do kłótni.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek około nakrytego stołu uwijał się, do którego za wejściem państwa z dziećmi i panem filozofem za niemi, po benedykcyi, zasiedliśmy.

— To tedy jesteśmy *jure victi*, panie budowniczy!— odezwał się starosta do pana Kwetki.

— Niezupełnie, odpowiedział on, niezupełnie, bo *remissa* nie znaczy przegraną. Rozumiałem ja wprawdzie, że od razu w trybunale pokonamy szlachcica; ale co się przewlecze, to nie uciecze, a tymczasem *beatus qui tenet!* więc niech szlachcic prawuje się, a wioseczka przy nas!

— Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste!*— odezwał się ksiądz kapelan.

— Nie wdawaj się w nieswoje, księże teologu, odezwał się pan Kwetko. *Teologia* i *jurisprudencia*, to dwie osobne *sciencye*, które trudno czasem pogodzić.

— A wszelak, odezwał się starosta, ja jestem zdania księdza Joachima, i dla tego niżeli nanowo w subseliach prawować się rozpoczniemy, poradzić się muszę przyjaciół, i prosić o prawdę, choćby nie po mojéj stronie, a potém wolę oddać wioskę memu *adwersarzowi*, jeżeli ona mu słusznie należy.

Ale o tém potém, a teraz, księże kwestarzu, ponieważ twéj *dywidendy* tu potrzebować nie będziemy przy obfitości darów Bożych, więc twojego

dowcipu i wesołości pragniemy, którą, panie marszałku, podbudź lampeczką.

Sadzając mnie jeszcze do obiadu pan marszałek, pokazał miejsce samo jedne na samym końcu stołu długiego naprzeciw pani starościnéj, która także sama jedna najpierwsze miejsce zasiadała.

— Tu, rzekł, *miejsce kwestarza,* a to twoja *porcya*— dodał, wskazując na sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!* — odpowiedziałem, i rozsiadłem się wygodnie, a poznałem, że marszałek, zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzie indziéj posadził, chybiłby zwyczajnéj reguły.

Nalał mi więc wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński *chleb powszedni* zakrawało; smakując zatém powoli, odpowiedziałem staroście:

— Na dworze JWpana tak wszyscy z łaski pańskiéj weseli i szczęśliwi, że obejdzie się bez mojego mizernego dowcipu, którego nie miałem jeszcze zręczności i *wyexercytować*, bo pierwszy raz jestem kwestarzem, a bardzo niedawno w zakonie.

— To źle, odezwał się pan Kwetko. Kwestarz powinien być *jowialista* i *koncepcista;* takiemi są *praeter propter* wszyscy koczujący *fratres* jegomościa; a jeżeli jegomościu na tém brak, to przyjeżdżaj do nas na trybunał, ale miéj z sobą kalitę talarów: bo u nas na ustępie, kiedy Najjaśniejszy trybunał w namowie, to prześwietna palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub żart z kolegi, płaci przegrany po dwa złote do puli, za którą potém śniadanie dla wszystkich (*). Otoż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

(*) Zwyczaj to był dawnéj palestry trybunalskiéj, i wiele ztąd zostało anegdot, krążących dziś pomiędzy nami, a przyswojonych częstokroć niesłusznie.— *N. w.*

gu, ani wielkiego rygoru, ani kańczukowania, ani przypędzanek. Ekonomy po większéj części staruszkowie, a przynajmniéj podżyli; nie jednego z koronką na szyi, trzepiącego różaniec postrzegłem, a szkaplerze na wszystkich piersiach, i nieraz sobie pomyśliłem, że choćby zepsucie i niedowiarstwo objęło wszystkich wielkich panów, a nawet i mniejszych półpanków, nie dojdzie jednak do poczciwych chłopków i do drobnéj braci szlachty, bo oni czytać nie umieją, a z ambony niedowiarstwa ogłaszać nikt nie będzie, a tak chwała Boska nie ustanie.

Otoż tak wlekąc się zawczora spokojnie i powoli, wypatrywaliśmy z Marcinėm sposobnego miejsca na popas, i upatrzywszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę; zwłaszcza że słońce dopiekało, roztassowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać *casus fatalis*, który mnie omal wszystkich baranów nie pozbawił. Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawkę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i nasypaliśmy im owsa na derhach; przekąsiwszy potém nieco i zdawszy wartę owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknął bodaj zanadto z flaszy, i zdawszy wartę na Panfila, toż samo co i ja uczynił, a trzodka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczułce, a obaczywszy za nią piękną osieliczkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę....

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z ziemi, a nie widząc baranów, krzyknąłem — Marcinie! a ty śpiochu przeklęty! gdzie barany?

Porwał się Marcin, i oglądając się na wszystkie strony— Panfil! krzyknął, Panfil! a ty śpiochu przeklęty! gdzie barany?

Panfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujadać nad rzeczką, a Eliasz i Barabasz odezwali się

do nas żałośnie. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzeliśmy na drugiéj stronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białéj płóciennéj kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w ręku; komenderował on kilku chłopami, zapędzającymi naszę trzodę z łąki na drogę do blizkiego dworku, którego za brzezinką nie dostrzegłem.

— A to ty! popie! proszę uniżenie! wrzasnął ujrzawszy mnie ten jegomość. A to ty? popie! przywędrowałeś tu spasać moje łąki! proszę uniżenie!

— Przepraszam dobrodzieja, przepraszam stokrotnie i pokornie; winien jestem! *mea culpa*, dobrodzieju! Zasnąłem trochę, widzi jegomość; toż samo uczynił mój stary furman i mój stary pies, i nie pilnowali baranów.

— Piękna *komparacya!*— pomruknął Marcin.

— Ale jegomość nie każ tak pędzać owiec, bo jeszcze bardziéj łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża; my zawołamy prewodyrów, to i powrócą na tę stronę.

— A cóż to myślisz? proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiéj szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

— Jakto? mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim konceptem do siebie zawokować. Byłbym i sam zajechał, ale nie obaczyłem dworu pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu. Eliasz i Barabasz, usłyszawszy głos jego, rzucili się ku nam, trzoda za niemi; chłopcy zabiegli im drogę, ale dostawszy tęgie *bukisz*, wywrócili koziołka. Jegomość stanął naprzeciw z kijem, a Marcin przebrnął rzeczkę w sukurs naszym walecznym *prewodyrom*. *Panfil* wył i ujadał, barany beczeli, my

krzyczeli, wcale jakby sprawa na dyferencyi, lub zajazd.

— A to jeszcze, popie, wodzisz z sobą dwóch rozbojników! pokaleczyli mnie chłopców! Wara! proszę uniżenie, stary grzybie!—wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców zawijał się — wara! bo cię oplażę na wszystkie boki. Sto bizunów! proszę uniżenie.

Odwołałem Marcina; za nim Eliasz i Barabasz z kilką baranami przeskoczyli do nas, a resztę popędzono do dworu.

— Kiedy tak, to wolaż pana Boga! Ten mnie nagrodzi, rzekłem podnosząc z piersi i całując krzyż. Pojadę nazad po moich dobrodziejach, opowiem im moję krzywdę; wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie zaprzęgaj i zawracaj. A jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego: bo krzywda każda o pomstę Boga woła, i sumienie własne spać ci nie da. Zechcesz może potém odpędzać własnemi nogami aż do klasztoru, ale już to będzie po czasie.... *Bo Bóg widzi — Czas ucieka — Śmierć goni — a wieczność czeka.*

— Cóż to? proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

— A broń Boże! owszem, niech jegomości Pan Bóg nie pamięta! ja tylko ostrzegam.

— A z jakiego waszeć konwentu?

— A na co dobrodziejowi wiadomość ta potrzebna?

— Na co potrzebna? proszę uniżenie! musi być potrzebna, kiedy się pytam.

— Daj mi już jegomość pokój, i bądź zdrów. Marcinie! dobądź puzderko; napijemy się na ten frasunek i powleczemy się do łaskawszych, czy litościwszych ludzi.

Marcin podniósł flaszeczkę. — Do ciebie — rzekłem nalewając.

— A czemuż waszeć do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

— Jakto? zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale, prawda, Bóg kazał przebaczać nieprzyjaciołom. W ręce więc pańskie.

— Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę? proszę uniżenie.

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrnął w wodę.

A wtém ujrzałem wracające ze dworu moje barany; pędzili je też same chłopaki, a za niémi postrzegłem imość, i nawet po minie jegomościnéj poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił uszy, a wychyliwszy kieliszek. — Pogodzim się, księże kwestarzu! proszę uniżenie.

— I ja widzę, że się pogodzim, bo barany moje wracają z przybytkiem. Nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się? mój jegomosteczek! odezwała się seryo nadchodząca pani.

— Moje serce... proszę uniżenie...

— Da daj waspan pokój, wiém o wszystkiém. Proszę darować tę mitręgę, księże kwestarzu dobrodzieju! Mój jegomostek często sam nie wié co robi. Cobyś miał zaprosić do domu i obdarzyć, to grabisz i krzywdzisz. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Bo widzisz, moje serce, szkoda znaczna, i chłopcy, proszę uniżenie, pokaleczeni.

— Da co waspan bałamucisz? gdzie tam pokaleczeni? gdzie ta szkoda?

— Szkodę, rzekłem, Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a imości dobrodzice także Bóg pobłogosławi za dobry uczynek.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! ksiądz kwestarz rozumniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze głupstwa i robisz.

— Ja, wątpiąc, czy po takim *certamencie* jegomość dobrodziéj zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on, jako inny od

— Czekałem cię jak kania dészczu, rzekł ksiądz gwardyan; rozumiałem, żeś gdzie znowu za marszałka przystał, zwłaszcza, żeś się z panami pobratał. Odebraliśmy z wielką pociechą dary z *munificencyi* starosty, przez ciebie wyjednane. Niech mu dobroczynność jego idzie na pożytek duchowny, tak, jak nas cielesnym zasilił. Baranów jak gwiazd! Ot co jest! Widzisz, mówiłem ci na wyjeździe, że jeszcze ludzkość, pobożność i dobroczynność żyje na Litwie! Ot co jest!

— Prawda, *reverendissime*, prawda! wszystko prawda! nawet i coś namieniał o niedowiarstwie i zgorszeniu gdzieniegdzie wytykającém głowę, i na tom napadł; nawet na samego apostoła złośliwości...

— *Caetera ad coram*, przerwał mi ks. gwardyan, bracie Michale, a teraz idź wypocznij po drodze.

Post silentium zawołał mnie ksiądz gwardyan do siebie; widać nie chciał mieć świadków naszéj poufałéj rozmowy. Przyniosłem mu pieniądze. Odliczyliśmy złotych dwieście kilkadziesiąt w różnéj monecie.

— Bóg zapłać, rzekł on, i waści, bracie Michale, i dobrodziejom naszym. Ot co jest!

Cóż tam powiesz mi o swoich obserwacyach światowych, o których namieniłeś?

Więc mu opowiedziałem cały progres bytności naszéj u starosty i moję poniewierkę dla francuza i jego pieniędzy.

— *Bene!* Ot co jést! *Bene! valde bene!* Znalazłeś się, jakbym sam lepiéj nie potrafił, a powracasz do klasztoru rozumniejszym, jak wyjechałeś, bo nauczyłeś się wojować z nieprzyjacielem, z niedowiarstwem, które z obowiązku twojego stanu gromić zawsze powinieneś.

Gdym mu zaś powiadał o pobożności ludu pospolitego, chłopków i drobniejszéj szlachty. — I to

prawda, odpowiedział mi; do nich zaraza nie dochodzi i nie dojdzie nigdy, choćby się między panami chrześcijańskiemi najszerzéj rozlała. Prostaczkowie przyjęli przychodzącego Jezusa na ten świat, prostaczkowie i zachowają go w sercach, gdy bezbożni zawziętość swą wywierać nań będą. Ot co jest! Ale Bóg, w czasie koniec złemu położy: zaślepienie przejdzie! A natenczas monarchowie i mędrce świata tego, jak owi trzéj niegdyś ze Wschodu, przyjdą za gwiazdą prawdziwéj chrześcijańskiéj mądrości, a z pokorą i skruchą uderzą Mu czołem nanowo. Ot co jest! i co daj Boże! Amen.

ROK 1812-ty.

XXII.

Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie! śpiewamy codzień w supplikacyi. Piérwszych dwóch plag Boskich za moich czasów Bóg na nas nie dopuścił; ogień — co bez czego? ale ostatniéj doznaliśmy już piérwéj, i doznajemy teraz, ze wszystkiemi jéj okropnościami, rabunkiem, zniszczeniem i gwałtami wszelkiego rodzaju.

Co potém nastąpi, Bogu wiedzieć. Nie obejdzie się zapewne i bez dalszych nieszczęśliwych konsekwencyj, to jest, moru i głodu. Co zaś najbardziéj trwoży nas i boleścią przeszywa, to profanacya świątyń Pańskich i ostatnia pogarda dla sług Bożych, a poniewierka dla świętéj naszéj wiary. O Boże! Boże! czegoż doczekaliśmy? Widać blizkie skończenie świata!!!

Mieszkałem ja od lat dwóch w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wieści o wojnie, o zbliżaniu się Francuzów, i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

W Wilnie publika wielka! jakiéj to miasto dawno nie widziało i widzieć pono nie będzie. Cesarz bowiem Alexander, którego wszyscy czczą i aniołem dobroci nazywają, założył tu swoję rezydencyę.

Kiedy on konno wjeżdżał do miasta przez Antokol, to od huku harmat i wszystkich dzwonów aż miasto się trzęsło.

Kto tylko potém chciał — a któż nie chciał? — mógł go codziennie widywać, czy to przejeżdżającego się także konno po pięknych okolicach Wilna, czy to musztrującego wojsko, którego było w mieście i za miastem moc nieprzeliczona. Sama gwardya cesarska kiedy wystąpiła na rewię za Wileńską bramę, to okryła całe pole i bory od miasta aż pod Zakret.

A jakaż to assystencya! jaka parada przy cesarzu! wiele to tam generałów! książąt! orderowych panów! a wszystko precz od złota! Było nawet kilku posłów od zagranicznych nacyj. Sam widziałem na téj rewii posła Szwedzkiego. Znaczny był zdaleka, bo w granatowym bogato szamerowanym mundurze, z żółtém piórem na kapeluszu i złotą szarfą, kiedy wszyscy mieli szarfy srébrne. Tłumy ludu wysypały się za miasto; a między tłumem i nas kilku ciekawszych dla przypatrzenia się téj niby to wojnie; a za górą była już i prawdziwa.

Do klasztoru do nas hurmem szły nowiny; bo z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codzień wieczorem na wyśmienite nasze piwko do ogrodu, i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkiém, co słychać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny.

Nakoniec jednego ranku, gdym był u księdza kustosza dla klasztornych dyspozycyj, wpadł nagle do celi pan budowniczy Orzechowski, nasz tercyarz i sąsiad od klasztoru, i krzyknął: — Tatuleńku! już przeszli Niemen!

— Co wasan mówisz? czy pewnie?

— A najpewniéj! Wczora moje chłopcy, to jest, akademicy mieszkający w mojéj kamienicy, byli na balu w Zakrecie, i na swoje oczy widzieli kuryera, który wpadł tam na bal nawet, z doniesieniem téj nowiny. Dziś już całe miasto wié o tém, i niéma sekretu.

— Więc tu będzie wojna?

— Jakie to *futurum?* kiedy tu już *tempus praesens.* Jest już wojna, tatuleńku! jest! tylko nie tu, nie koło Wilna, i u nas, jak powiadają, jéj i nie będzie. Bo widzisz, *ut fert fama*, Rossyanie mają się rejterować w głąb' kraju i wprowadzić za sobą Francuzów w łyka. Każ dać wódki, tatuleńku! bo to jest *materia gravis*, podług mojéj *ekwanimii.*

Napiliśmy się po razu. — Cóż teraz robić? — zapytał ks. kustosz.

— A cóż robić? jedno z drugiém *nic.* Podług mojéj *ekwanimii*, siedzieć cicho w klasztorze, modlić się Panu Bogu! i przychować dla wszystkiego ważniejsze *preciosa* kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do Ichmościów.

— A to dla czego?

— Dla czego?... dla czego? ot mówiłem jegomościu, *dla wszystkiego*... a kiedy mam otwarcie powiedzieć — dodał ciszéj i jąkając się — bo powiadają, tatuleńku... że Francuzi rabują, a nawet... kościoły odzierają!...

— Jak to być może? Fałsz! To naród chrześcijański, mospanie!

— Już to, podług mojéj *ekwanimii*, chrześcijaństwo u nich wątpliwe, tatuleńku! Wiész, że Napoleon Bonaparte papieża z Rzymu wypędził, a syna kró-

lem rzymskim ogłosił; więc *signum pro re signata*. Zresztą, rób jak chcesz, tatulenku. Ja wieczorem podejdę, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

Gdy wyszedł pan budowniczy, ksiądz kustosz zebrał ojców na *consilium*. Przyszedł, opierając się na kiju, staruszek ksiądz definitor, mój najpiérwszy gwardyan miński i dobrodziéj, z którym po większéj części wiek mój zakonny strawiłem, i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też i słuchają we wszystkiém i w tutejszym klasztorze, bo znają jego wielkie *merita* w zakonie, i mądrą głowę, a która i wiekiem się nie osłabiła; w ważniejszych więc sprawach do niego idą po radę. Był on razy kilka już prowincyałem, i wtenczas naszę wspólną peregrynacyę po klasztorach opisałem akuratnie w moich raptularzach; na starość obrał sobie rezydencyę w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniém rozłączeniu naszém, które ja niewolą babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna. Nazywają nas *inseparabiles*. Oh! śmierć nakoniec zadała fałsz temu nazwaniu!... Rozdzieliła nas swoją kosą okrutna *Libityna!*... Com ucierpiał i cierpię, Bogu tylko wiadomo!... do którego codzień modlę się za jego duszę. Ale o tém potém

Zebranym *Patrom* opowiedział ks. kustosz nowinę, i podał do *konkluzyi* kwestyę: cóż robić?

Wszyscy milczeli, i takby się rada skończyła; ale ksiądz kustosz obrócił się do ks. definitora i rzekł: — *Reverendissime!* czekamy twojego mądrego zdania.

— Francuzi, powiadacie, rabują kościoły? — odpowiedział on — być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelkich zapędów ludzkich. Ot co jest! Wątpię jednak, aby w mieście, pod okiem wodzów, a może i samego cesarza, do rabunków i swawoli

żołnierskiéj przyjść miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż w kościele nie został; to i przed nim Pana Boga chwalić będziemy. Ot co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegom lub trwogom. Ufajmy w Bogu; a Jego woli i miłosierdziu oddając się, módlmy się raczéj za pokój i zgodę panów chrześcijańskich. Ot co jest!

Słowa te ojca definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze.— *Fiat voluntas Dei!* Bóg przez ciebie przemówił, ojcze!—zawołali, i rada się rozeszła.

To było we środę dnia 12 Junii.

We czwartek ruch wielki! Półki coraz nowe przechodziły przez miasto, za Zielony most niektóre, a drugie i najwięcéj przez Antokol na Niemenczyn za Wilję. Wieść o zbliżaniu się Francuzów coraz to głośniéj szérzyła się. Do klasztoru naznaszano kuferków i na luftach lokowano.

W piątek, to jest, 14 Junii, Cesarz Alexander opuścił miasto.... kochany i błogosławiony od wszystkich.... niech go Anioł-stróż ma w swojéj opiece!

Mianował on pana *Lachnickiego* prezydentem miasta, a ochraniając ono od ruiny i zguby, rozkazał poddać bez oporu nieprzyjacielowi. To znowu wielkie jego dobrodziejstwo dla Wilna.

W sobotę rozkazano, aby wszystkie bramy w kamienicach zatarassowano, okienice od ulic w oknach zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wylazł na szpiegi; ale daleko nie uszedł, bo miasto zawalone wojskiem i harmatami; a żołnierz, zwyczajnie jak w rejteradzie, samém spójrzeniem przestraszał.

Mnie ks. kustosz wypchnął na wzwiady. Podobno habit mój jednał mi łatwiejsze przejście. Dobrałem się więc aż na koniec Skopówki, pod pałac Szoazelowski (*), w którym mieszkał *generalissimus jenerał*

(*) Dziś Pomarnackich.

Barklay de Tolli, i dowiedziałem się, że on jeszcze na miejscu. Konkludowaliśmy więc w klasztorze, że nie tak blizko nieprzyjaciel, gdy sam wódz nie opuszcza miasta. Ale konkluzya nasza była prawdziwie bernardyńska. Ojciec definitor znowu dowiódł, że rozumniejszy od nas wszystkich.

— Gdzież miejsce wodza w czasie wojny? — zapytał on.

— A jużcić nie z tyłu armii, jeżeli nie na czole — odpowiedział ks. kustosz.

— A gdzież czoło armii, kiedy się armija rejteruje?

— Nie rozumiem — rzekł ks. kustosz.

— A ot co jest! gdzie najbliżéj nieprzyjaciel, tam czoło armii, i tam wódz. *Subintelligitur* więc, dla czego pan *Barklay de Tolli* jeszcze w Wilnie, choć za górą Francuzi. Ot co jest.

Wieczorem tegoż dnia kazano, aby straż miejska zajęła wszędzie warty. Piękneż to berdyszowe rycerstwo! w kapotach, w kurtkach, sami z siebie śmieli się, a wszyscy z nich. Stanęli po bramach, przy kordygardach i turmach. Noc całą wojsko płynęło, jak woda.

Nadeszła nakoniec niedziela św. Trójcy *v. s.*, dzień $^{16}/_{28}$ Junii, którego nigdy nie zapomnę.... w którym ujrzałem razem z całém Wilnem *Potentata* Napoleona Bonapartego, na czele wojska z rozmaitych nacyj złożonego, wchodzącego do naszego miasta.

Ale poczynam od początku.

XXIII.

Mój ksiądz definitor miał sobie wygodne dwie cele; więc i ja z nim mieściłem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codzień gazety, i tłómaczył mi bywało wszyst-

ko, co tam stało, choć ja, nie wielki *politykus*, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisało: zawsze o wielkich zwycięztwach, o wielkich czynach, i o wielkiéj mądrości Bonapartego. Na całéj Litwie, ba! owszem i po całym świecie, o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, około różnych naszych klasztorów, w których przemieszkiwałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczém innćm nie posłyszysz bywało, i śniło się podobno wszystkim o *Bonaparcie*; to i nie dziw, że nieboszczyk ks. definitor, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec. — Nie umrę, bracie Michale — mówił on — nim go nie obaczę. Ot co jest! I zgadł, jak prorok: obaczył go i umarł.

Wysłali oni z księdzem kustoszem mnie, jakem to wyżéj napisał, na szpiegi do miasta; i tego więc ranku, ledwo jeszcze szarzało na dzień, wyszedłem za fórtę. Zdziwiła mnie cichość i spokojność w mieście. Kozacy tylko przeszmygiwali się po ulicach; a na placu pod ratuszem, stał złożywszy broń w kozły, pólk grenadyerski (*), co to mają kaszkiety w kształcie głów cukru i szérokie na nich blachy mosiężne. Żołnierze gotowali sobie kaszę w kociołkach; inni drzemali, leżąc na ziemi. Oficerowie siedzieli na ławkach, lub przechadzali się po placu, rozmawiając cicho i ostróżnie. Liczniejsza ich kupka otaczała pólkownika którego po sutych szlifach poznałem. Od téj kupki odłączył się oficer, i przejął mię pod Imbarami. — Dokąd, księże? i po co tak rano? — spytał mię po polsku.

(*) Pawłowski.

— Do chorego, panie kapitanie! — rzekłem zakłopocony.

— Podwójnie kłamiesz, — odpowiedział on uśmiechając się — i ty nie spowiednik, boś bez kaptura, i ja nie kapitan; a może trzecie kłamstwo, i najgorsze, jest w twoim habicie? Gadaj! — dodał surowiéj. Mam rozkaz cię wybadać.

Ale ja przyszedłem już do siebie, i pomyśliłem w duchu: skłamałem, ot i biéda! Mówmy prawdę.... cóż mi się stanie?

— Dobrodzieju! — odpowiedziałem zatém — że jestem bernardynem z tutejszego klasztoru, to tak mi Panie Jezu dopomóż! *Mea culpa,* żem skłamał. Stchórzyłem, a strach najgorszy konsyliarz.

— Więc mów, po co tak rano się włóczysz?

— Ciekawość, dobrodzieju! prosta, szczéra ciekawość, i nic więcéj; a nie tak moja własna, jak moich starszych, którzy, chcąc wiedzieć co się dzieje w mieście, wysłali mnie na wzwiady.

— Więc jesteś szpiegiem? bracie! A wiész, czém to pachnie? No, ale nie lękaj się; szpieg od armii bernardyńskiéj nie straszny; wracaj wszelako wnet do klasztoru, i ciekawym ojcom zanieś nowinę, że przed południem będziecie mieli gości. — Odchodził potém, lecz się zawrócił. — Czekaj księże! — rzekł — masz oto ubogą moję ofiarę, — a dawał mi rubla — oddaj to na mszę na intencyę ojca błagającego Boga, aby kula żony i dziatek nie osierociła... — Westchnął głęboko poczciwie....

— Dziś zaraz będzie msza na twoję intencyę — rzekłem, i przeżegnałem go serdecznie. — Dziękuję ci, bracie! — rzekł, ścisnął za rękę, i wbiegł na plac; a ja korzystając z przestrogi, *retro* do klasztoru. Tam opowiedziałem moję przygodę, oddałem ofiarę oficera, i wnet sam ksiądz kustosz wyszedł ze mszą, po któréj ja znowu za fórtę.

Na ulicach więcéj cokolwiek było ludzi, ale bojaźliwie przemykających się zaułkami, lub czających się po bramach. Dniało już. Zwróciłem pod pałac Biskupi, do którego po wyjeździe Cesarza przeniósł się pan *Barklay de Tolli*. Na dziedzińcu stała karéta ośmią końmi zaprzężona; około niéj kilkadziesiąt kozaków siedziało na koniach.

Pędem lecący konno oficer od Pohulanki, biały od kurzu, przypadł do bramy.

— Czy jest jeszcze feldmarszał? — zapytał.

— Jest — odpowiedziano mu.

Wleciał na dziedziniec, zsiadł z konia i pobiegł na wschody.

— A więc to karéta pana *Barklay de Tolli*, — pomyślilem sobie. — Niéma co mówić, dotrzymuje do końca! Obaczym, co z tego będzie? postoję tu w bramie Święto-Jańskiéj.

Po jednemu, po jednemu, zebrała się koło mnie kupka ciekawych, i znalazł się między niémi pan budowniczy Orzechowski. Ranny to ptaszek, gdy idzie o nowinki. Opowiedziałem mu, co się święci.

— A więc podług mojéj *ekwanimii* — rzekł on — tu jest przyzwoite *locum standi;* i jeżeli nas nie rozpędzą, dopilnujemy wszystkiego.

Już też i dzień zajaśniał. Wleciał drugi kuryer. Ludu się na ulicach pomnażało. Ten to, ten owo plótł; ten straszył, ten cieszył, a każdy pytał się razem: co słychać? Gwar jakiś powiększał się coraz. My cierpliwie staliśmy na miejscu, a wkrótce i trzeci takiż latawiec wpadł na spienionym koniu.

Wnet wyleciał oficer z pałacu i pobiegł pędem ku placowi. Ja i kilku ze mną, bocznemi uliczkami za nim. Ledwo dopadł placu, zagrzmiały bębny, żołnierze porzucili niedojedzioną kaszę, w mgnieniu oka już w szyku, i marsz krokiem podwójnym za Zamkową bramę, na Antokol.

Ja znowu do bramy Święto-Jańskiéj, a raczéj, prawdę mówiąc, do fórty: bo to te podwoje, które się otwierają z murów Śto-Jańskich naprzeciw bramy biskupiego pałacu, tak, że z nich widać część dziedzińca i wschody. Tam pan budowniczy stał jak wryty.

— Ostatni półk — rzekłem mu — wyruszył nagle na *Niemenczyn.*

— A zatém podług mojéj *ekwanimii*... — Nie dokończył, bo ruch wielki zrobił się na dziedzińcu: kilku konnych wyleciało w różne strony, i okazał się na ganku pan feldmarszałek, za nim pan *Ławiński* nasz były dotąd gubernator wileński, i kilku adjutantów. Widać nam było, jak rozmawiali wesoło. Pan *Barklay de Tolli* uśmiechał się.

— A to mi gracz! proszę uniżenie! — rzekł pan budowniczy — Bonaparte za górą, a on ani dba. — obejrzał się on jeszcze na wszystkie strony, jakby na *waletę* miastu, dobył zegarka, spójrzał nań i siadł do karéty; z nim pan Ławiński tylko; reszta wszyscy na koń, których kilka powodnych a osiodłanych tuż przy karécie biegło; i ruszył powóz tęgim kłusem także na Antokol, otoczony strażą z kozaków i dragonów.

— No, teraz podług mojéj *ekwanimii*, u nas *interregnum* — rzekł budowniczy.

Jeszcze karéta nie była za miastem, gdy huk ogromny rozległ się, że aż okna się zatrzęsły; gromady ludu na ulicach *obstupuerunt;* w kilka minut drugi jeszcze mocniejszy!

Serce mnie jakoś mocniéj kołatać zaczęło, i uważałem, że tłum przerażony miał się ku rejteradzie, gdy doszedł głos i rozleciał się wszędzie: — Most Zielony wysadzono na powietrze! magazyny na Łukiszkach wyleciały w górę i osypały mąką całe przedmieście. — Ochłonęło się więc z trwogi,

ale nie na długo, bo znowu trzy uderzenia z harmat zagrzmiały w krótkich pauzach jedno po drugiém i ogłuszyły wszystkich. — Strzelają do miasta! — krzyknął jakiś tchórz. Boże! cóż to za zamięszanie powstało między tłuszczą! Ulica na ulicę się pchnęła. Uciekali i wrzeszczeli: — Gwałtu!

— Stójmy! — rzekł znowu do mnie pan budowniczy — to bałamuctwo. Za co mają strzelać do spokojnego miasta? Głupia tłuszcza pozaciska się tylko. Podług mojéj *ekwanimii;* strzały te z harmat, są to ostatnie sygnały, aby się wszystko, co wojskowe, rejterowało z miasta, i że nieprzyjaciel blizko.

I nie zawiodła *ekwanimia* pana budowniczego: przeszedł popłoch, lud się ustatkował; tylko ciekawość przeganiała gromady, jak fale, z jednego końca miasta na drugi. Ja znowu poszedłem uspokoić klasztor, i objawić ojcom to kilko-godzinne, jak pan budowniczy mówił, bezkrólewie.

Niecierpliwie tam mię oczekiwano. Opowiedziawszy więc wszystko *summatim* i posiliwszy się nieco, wybiegłem znowu za fórtę, mając już kilku socyuszów z ciekawszych i śmielszych *patrów* i *fratrów.*

Nawał pospólstwa i wszelkiego stanu ludzi znaleźliśmy na ulicach. Jedni biegli na górę Zamkową i Bekieszową, w nadziei, że obaczą co się dzieje około miasta; inni leźli na wieże i dzwonnice, w takiéjże saméj *sperandzie;* inni znowu biegli na Pohulankę, bo ztamtąd od Kowna przybywali Francuzi; a wszyscy latali i krzyczeli, jak w odmęcie.

Pan Lachnicki, jako prezydent miasta, siedział spokojnie na ratuszu, a przed nim na pięknéj

srébrnéj tacy leżały złote, a może i pozłacane tylko dwa klucze; jakoby to od bram miasta, których dawno już w Wilnie niéma: bo chociaż *Ostra* i *Zamkowa* zostały, lecz obie stoją otworem i wrót nie mają. Piérwsza najlepszą ma tarczę, bo Przenajświętszą Bogarodzicę, Przeczystą Maryę Pannę, która Wilno od Szwedów obroniła, jak to wszystkim dobrze wiadome.

W takim gwarze i zamięszaniu przeszło godzin z parę. Byłem przy Kardynalii i posuwałem się z tłumem ku ratuszowi, gdy nagle krzyk potężny rozległ się około ratusza, i pospólstwo hurmem uciekające przejęło naszą partyę.— Kolą!... kolą!...— wrzeszczeli.

— Kto i kogo kole?— pytałem. Nikt mi nie odpowiedział, a tylko jedno a jedno:— Kolą!...— Głupia gawiedź, pomyślałem, znowu tchórz ich obleciał. Jakoż inne huczne odgłosy doszły nas... Więc w mgnieniu oka byliśmy pod ratuszem. Aż tu wszystkiemi uliczkami prowadzącemi na plac: *Rudnicką*, *Żmudzką*, *Suboczem*, sypią się pędem ułani z dzidami na przód, jak do boju (ztąd przestrach w pospólstwie) i objęli odwacht.

Pan Lachnicki zszedł natychmiast na ganek ratuszowy, rozmówił się z oficerem, i wnet ze swoją tacą i kluczami, w assystencyi kilku miejskich obywateli, pojechał na Pohulankę złożyć je cesarzowi Napoleonowi. A tymczasem konnica płynąć do miasta poczęła; naprzód ułani, a potém strzelcy konni, z huzarska ubrani, na czele których jechał na pysznym karym rumaku rycerz w węgierce gęsto złotem szamerowanéj, w kołpaku aksamitnym, *per modum* tureckiego zawoju na głowie, na którym strusie pióra się rozwiewały, wywijając szablą i

krzycząc: — *Wiwat Napoleon!* — a był to szwagier cesarza, król Neapolitański *Murat* (*).

Przypatrywaliśmy się ciekawie temu wojsku, a wszyscy upatrywali samego *Bonapartego*... Wtém rozbiegła się o południu wieść, a wieści natenczas jak błyskawice latały, że cesarz przy Zielonym moście nad Wilją.

Dalejże ja w tamtą stronę podchyliwszy habitu, aby nie dać się uprzedzić ludowi tam lecącemu, i wyprzedziłem prawie wszystkich; ale cóż, kiédy tam już była ciżba? Jednak przebiłem się na front, tak, że o kroków dziesiątek napatrzeć się mogłem na tego najsławniejszego mocarza! Nigdy nie zapomnę téj chwili!...

Nad rzeką, po lewéj stronie od mostu, siedział na prostym stołku ten człowiek, na którego skinienie miliony ludów drży, a krocie brną na koniec świata! Figura dalibóg niepoczesna; jubilata dobrego nie odstoi; ależ za to *caput* znakomite! a oko czarne, pełne, i spójrzenie nie wiém jak opisać?... Kiedy poprowadził po nas.... aż dreszcz przeszedł.

Most był rozdarty na środku, ale cała rzeka pokrytą była płytami; więc je wkrótce linami spięto, i stanął most pływający. Nim się jednak ta fabryka ukończyła, Bonaparte siedział nad brzegiem i rozmawiał z księdzem Głogowskim pijarem, któremu kazał podejść do siebie, gdy go w tłumie obaczył. I trafił wyśmienicie, bo ksiądz Głogowski mądry człek i po francuzku *expedite* umié. Dziwiło się pospólstwo, że tak śmiało z cesarzem rozmawia, ale jam się nie dziwił, i gdyby mnie był zawołał, takbym mu się po łacinie pięknie explikował, jak nie lepiéj pijar po francuzku. Lazłem też wcale na przód — a nuż!... ale

(*) Naoczni żyjący świadkowie znaleźli opisanie to ks. kwestarza wejścia Francuzów do Wilna, zupełnie prawdziwém.

wkrótce most ukończono. Bonaparte siadł na konia mierzyna, (co za komparacya konika tego do rumaka *Miuratowego!*) i przejechawszy rzekę, otoczony liczną wojskową kalwakatą, pojechał brzegiem ku Antokolowi. Stanął naprzeciw góry Zamkowéj i po razy kilka wskazywał na nią ręką. Uważaliśmy i liczyliśmy wszystkie jego skinienia, biegąc drugą stroną rzeki, póki go dojrzeć mogliśmy; nakoniec wróciliśmy się do mostu, gdzie go nazad wracającego ujrzeć mieliśmy nadzieję. Jakoż i ujrzeliśmy, bo wkrótce wrócił i pojechał na pałac biskupi. Tłumy biegły obok, krzycząc, wrzeszcząc:— *Wiwat!*— a on kłaniał się poważnie lekkiém skinieniem ręki lub głowy, witającemu go ludowi.

XXIV.

—Bracie Michale!— rzekł do mnie ojciec definitor, gdym zmordowany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszystko, com widział— Bracie Michale! musisz mię tam zaprowadzić, abym go obaczył. Powiadałem ci, i teraz powtarzam: nie umrę, nim go nie ujrzę. Ot co jest! Ale śpiesz się, śpiesz się, bracie!— dodał— bo codzień słabieję... a nie umrę...— mruczał daléj jakby sam sobie starzec— nim go nie obaczę.— Przyrzekłem więc memu kochanemu ojcu dopilnować momentu, kiedy cesarz wyjeżdżać będzie z pałacu, i zaprowadzić go do forty S-to Jańskiéj.

Co to za przewrócenie raptowne rzeczy! co to za nieład! natłok! zamięszanie! zawrót!... Jakieś wytrącenie wszystkich z codziennych kolei i porządków. Każdy w obłąkaniu... W klasztorze nawet zeszliśmy z codziennego trybu, jakbyś regułę za-

konną od roku zwolnił, fórtę odemknął, i *obedyencyę* zniósł. Ledwo stare definitory i jubilaty siedzą po celach, nie opuszczając klasztoru i służby Bożéj. Młodzi włóczą się po ulicach, sami nie wiedząc czego. Na obiedzie nawet często połowa przystawek próżna. Na noc tylko zbierają się wszyscy, i gwarzą nowiny i cudactwa, jakim się przez cały dzień napatrzali.

Bo i jest na co patrzeć, prawdę mówiąc! Jak woda płynie codzień wojsko z rozmaitych narodów i rozmaitego *moderunku*. Pancerni, których kirysy błyszczą od słońca jakby złote, na ogromnych koniach, chłopy jak olbrzymy, a jeszcze sute ogony końskie spadające im od szyszaków po ramionach, straszniejszemi ich wydają; kupy jakichciś brodyaszów z szérokiemi berdyszami na ramionach, i z fartuchami skórzanemi, jak kowale; nakoniec cały konny regiment diabłów, Panie odpuść ciężkie grzechy, czy Turków, bo to na jedno bodaj wychodzi, w zawojach; u każdego kindżał za pasem, a krzywy jak duha pałasz u boku. Powiadają, że to Mameluki od Czérwonego morza, w którém niegdyś król Faraon utonął.

W mieście wszelakoż *horrendum!* Ulice pozawalane zdechłemi końmi, bo te secinami giną od zielonego żyta, które żołnierstwo w okolicach kosi, i w niedostatku siana nawozi do miasta. Stada bydła rogatego i baranów wchodzą często za półkami, i wnet na rynku albo na ulicy, gdzie półk stanął, jatki i kuchnia; więc ztąd przy upałach zgnilizna i zaraza.

Po traktach i wsiach toż samo. *Ut fert fama,* rabują z kretesu; a nawet i tu w mieście niedowiarki i niegodziwce niektórzy wpadli do kościołka Pana Jezusa księży Trynitarzów na Antokolu, i zaczęli przybierać wota srébrne i złote z ołtarza, i zdzierać szaty z obrazów. Takie jednak świętokradztwo i swawola nie uszły im na sucho! bo we dwadzieścia

cztéry godziny sądzeni, jak to dawniéj powiadano, *kryzrechtem*, tamże na Antokolu kulą w łeb dostali. Dwóch ich było hersztów, ale zakamieniali heretycy!... ani księdza, ani spowiedzi, ani jakiegokolwiek przygotowania *in extremis* przyjąć nie chcieli. Idąc na plac śmierci, jeden jadł obwarzanki, drugi fajeczkę palił; a oba wesoło rozmawiali z tymi, którzy do nich za chwilę wypalić mieli. O Boże, Boże! okropnie to było widzieć taką obojętność około zbawienia duszy! a toć to dwóch potępieńców szło prosto do piekła... Nie wierzyłbym, gdybym własnemi oczami na to nie patrzał.

Patrząc na to wszystko co się działo, pan budowniczy Orzechowski kiwał głową i mówił:— Podług mojéj *ekwanimii*, z takim niezliczonym ludem Bonaparte świat przejdzie, ale z takim nieładem kto wié, czy się wróci? Bogu to wiedzieć!

Codzień mi przypominał mój ks. definitor obietnicę upatrzenia mu sposobności widzenia Napoleona. Nie było to i trudno, bo codzień wyjeżdżał on z pałacu konno na lustrowanie wojsk przechodzących przez miasto; lecz że na to nie było godziny stałéj, więc tłumy ludu chcącego widzieć go, zalegały od rana Biskupią ulicę, oczekując po kilka godzin na ukazanie się cesarza.— Choćby mnie przyszło cały dzień przesiedzieć na bruku— odpowiedział *pater*, gdym mu tę trudność objawił — prowadź mię, bracie! bo nie umrę nim go nie obaczę, ot co jest!— Prowadziłem więc go dnia jednego. Zdawało się, że mu sił przybyło na tę chwilę. W klasztorze ledwo przez kurytarz do kościoła mógł się przewlekać, i to za pomocą mojego ramienia; teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i żwawo. Pasadziłem go na wschodach naprzeciw saméj bramy Biskupiéj.

— Jakże go poznam? *charissime!*— zapytał on.

— Oto tak, *reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilku, jak oni nazywają przewodników (*), z których jeden tylko na przedzie, a wszyscy w szafirowych ze srébrnym haftem mundurach; potém dwie pary strzelców konnych gwardyi, z nabitą i podniesioną bronią; potém, na siwym lub myszatym koniu, w ciemnym werdedragonowym mundurze z ponsowym kołnierzem (**), bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową (***) na piersiach, w kapeluszu niemieckim trzy-rożnym *On;* potém generałów i różnych assystentów, całych we złocie i srébrze tłuszcza; nakoniec znowu kilkadziesiąt strzelców konnych gwardyi, i tyluż ułanów, którzy zwyczajnie zamykają kalwakatę.

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny; a to był znak, że cesarz siada na konia. Tłumy skupiać się poczęły. Ledwom mógł zrobić *rum* na przedzie starcowi. Wysypał się orszak z za bramy.... Chwycił on mię za rękę... i trzęsąc się jak osina, rzekł z przyciskiem: — To *On!* Ot co jest! To *On!!!*

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dla czego on tu stoi? Wszyscy zdecydowali, że *musi być tak potrzeba.* Ale gdy Bonaparte go mijał, on postąpił krok na przód i *sprezentował broń.* Cesarz się zatrzymał... co już zupełnie poszło na rękę mojemu *patrowi,* bo prawie oko w oko mógł nań się napatrzyć. Przemówił *on* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma *interes?* Żołnierz podał mu papier jakiś zatknięty na bagnecie — zapewne *suplikę.* Czytał *Bonaparte;* było we środku jeszcze

---

(*) *Guides. N. w.*

(**) Mundur półkownika strzelców konnych gwardyi. Długie jego poły, na końcu wyłogów, ozdobione były dwiema trąbkami, złotem wyszytemi, jako symbolem sławy. *N. w.*

(***) Wielka gwiazda orderu Legii honorowéj. *N. w.*

kilka innych papierów, i te przeglądał; mówił znowu z żołnierzem; nakoniec skinął na jednego ze swoich generałów, ten się podbliżył; wziął odeń krzyż z piersi, a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz:— *Wiwlamperer!*— a to znaczy: *wiwat cesarz!* jak mi ksiądz definitor wytłómaczył; i nauczyłem się téj exklamacyi, bo codzień o uszy obijała się. Ujrzeliśmy tego wąsala z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć jak waryat, całował krzyż swój, a łzy przecięż ocierał, i śmiał się i ściskał zgromadzonych około niego kamratów, i nareszcie kogo napadł.

— No, idźmy nazad, *reverendissime!*— rzekłem. Ale on stał jak osłupiały, aż się przeląkłem.— Widziałem go więc! widziałem — szeptał sobie pod nosem, ani zważając na mnie— widziałem go! Ot co jest! *Nunc dimittis, Domine! nunc dimittis*... — Idźmy— powtórzyłem.— Ha! idźmy — odezwał się nakoniec, opamiętywając się; ale ledwo nogami mógł sunąć, i z półgodziny wlekliśmy się do klasztoru.

— Cóż myślisz? *reverendissime!* — zapytałem, dawszy mu nieco odpocząć i widząc go zadumanego.

— Co ja myślę? bracie mój! co ja myślę?... oh! tego i nie wymówić!!! Przeżyłem lat tyle! patrzałem na tylu ludzi, na tyle rzeczy i spraw ludzkich! w ostatniéj mojéj godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku!!! Ot co jest! Dość więc życia dla świata!...

— Ależ ojcze! prośmy Boga— rzekłem— aby nam życia przedłużył, abyśmy obaczyli przynajmniéj, jak się to wszystko zakończy?

— Jak się zakończy?... jak się zakończy?...— mówił daléj rozmyślając ojciec definitor — rzeczy nadzwyczajne, nadzwyczajnie i kończyć się muszą...

Świat się oczyszcza przez ogień, jak żelazo w hucie.... Ludzkość wre, kipi, topi się, mussuje.... Ot co jest!... Żużle rewolucyjne niedowiarstwa, bezbożności i błędów, spływają na wierzch, w brudnych, czarnych, nieczystych fuzach.... Szumują one, wyrzucają precz i do reszty wyrzucą... Tak przewarzona różnorodna massa myśli i wyobrażeń ludzkich wyklaruje się, zleje się w jeden czysty metal... i spływać będzie w formę starego Chrystusowego krzyża. Ot co jest!

— Niewiele ja z tego zrozumiem, ojcze! — rzekłem — ale cóż to ma wspólnego z Bonapartem?

— O ty głowo do pozłoty! co wspólnego? co wspólnego?... Toż wielki *hutnik*, który warzy tę rudę, mięsza ją, szumuje... wichrami poddyma i podżega płomień.... i chcąc czy nie chcąc, ulepia materyały na krzyżową formę, w której czysty metal ma zastygnąć... Ot co jest! Zresztą *digitus Dei hic est*... a więc wszystko może się zakończyć jawnym dowodem.... że Bóg tylko jest Wszechmocnym i Wszechmogącym... a człowiek choćby najpotężniejszy... Ale w głowie mi się plącze... Ot co jest! Daj mi bracie pokój z pytaniami.... *Fiat voluntas Tua Domine!* — rzekł, podnosząc oczy w górę, i modlić się zaczął. Przerywać mu nie śmiałem, choć ciekawy końca tego proroctwa.

TESTAMENT KS. DEFINITORA.

XXV.

Oh! przyszedł nakoniec bolesny dla mnie moment, gdy się rozstać musiałem na zawsze z kochanym moim i czcigodnym ojcem w zakonie, z którym kil-

kadziesiąt lat wieku mego przeżyłem, i któremu winienem wytrwanie w powołaniu mojém. Mądry człek, a przecież *re et nomine* zakonnik! nie tak, jak niektórzy, Boże im odpuść! lizną tam nieco łaciny i *Teologii*, i już *jubilaty*, już *doktory*, na biédnych braci kwestarzy ani patrzą, choć z ich łaski i tłustą baraninę jedzą, i piją piwko *de puro grano*. Niech w Bogu spoczywa! Ale ja, po jego śmierci, sierota.

Na trzeci dzień po owém naszém oglądaniu cesarza Bonapartego, rzekł staruszek do mnie:— Bracie Michale! codzień słabieję, i bodaj dziś umrę. Ot co jest! Schodź wasze i poproś do mnie ojca spowiednika.

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy, nakoniec łzy mi popłynęły potokiem.

— Ot co jest! biéda mi z tobą!— rzekł on, ocierając także powieki.— Prawda, wyznaję, żal mi cię, bracie Michale! przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot co jest!

Rzuciłem się w otwarte ręce jego, a wnet upadłem na kolana i nogi jego całowałem...

— Błogosławię cię, synu mój!— rzekł on.— Mnie to niegdyś niegodnego sługę swego, obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę zakonnego żywota, który potém razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze Oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cnocie, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem znieś mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu... Ufam w Jego miłosierdziu: On nas połączy... Ot co jest! Idź bracie po spowiednika.

Dzień cały przebywszy na modlitwach i opatrzywszy się w Sakramentach zapasem podróżnym, jak sam powiadał, na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie księdza kustosza, i za jego dozwoleniem rozdysponował swoję ruchomostkę, dając i w tém przykład uległości zakonnéj. Bo choć sam nie raz był prowincyałem, i chudoba jego najwięcéj z podarunków przyjaciół była złożoną, a zatém naj-

mniéj do klasztoru nie należała, wszelako i tą rozrządzać bez woli zakonnéj zwierzchności nie chciał.

— Rób co chcesz, *reverendissime!* — rzekł ks. kustosz. Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak rychło umrzeć.

— Stanie się jak Bóg chce, kochany ks. kustoszu! ot co jest! a tymczasem, za twojém dozwoleniem, niech tak będzie:

— Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję bratu Michałowi. Niech on po mojéj śmierci zdejmie go z moich, a włoży na swoje piersi, a własny niech mi w zamian da do trumny.

— Ależ, *reverendissime*, to krzyż złoty — ozwał się ks. kustosz — a ziarna koronki ze słoniowéj kości. Warto, aby ozdabiał pierś zasłużeńszego w zakonie, równego naprzykład w powadze tobie samemu, ojcze!

— Prawda — odpowiedział starzec — krzyż to złoty, a zawiera w sobie rzecz droższą nad złoto i klejnoty, bo *partykułę* drzewa Krzyża świętego. Ot co jest! Darował mi go razem z koronką ś. p. książę Karol Radziwiłł, ordynat nieświzki, na pamiątkę, żem był jego spowiednikiem lat sześć, za mego gwardyaństwa w Nieświżu.

— Panie kochanku! — rzekł on, wkładając na mnie tę koronkę — daję waszeci ten krzyż z mojego skarbcu na to, abyś został kardynałem: bo to krzyż kardynała Radziwiłła, który zostałby pewnie i papieżem, ale w czasie sejmików tam w Rzymie, jakiś włoch kondemnatę jemu zarzucił.

— Ojcze! — rzekłem — ksiądz kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi, i ze świętości i z pamiątki i z wartości, nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na ołtarzu, jako *votum* za zdrowie twoje, ojcze, i za przedłużenie życia twego.

— Ot co jest! księże kustoszu!... Ot co jest! — rzekł starzec, a ks. kustosz spuścił oczy.

— Zresztą — dodałem — zapomniałeś może ojcze, że i ten krzyż, który noszę, jest darem twoim?

— Nie, nie zapomniałem. Jam włożył na ciebie ten prosty krzyż bernardyński, jam teraz chciał go z tobą zamienić na złoty. Ot co jest! Ale twój projekt jeszcze lepszy. Nie prawdaż ks. kustoszu!

Ksiądz kustosz zarumienił się mocno... co postrzegłszy definitor— *Mea culpa!*— zawołał— *mea culpa!*— zgrzeszyłem! daruj mi, ojcze! daruj konającemu dla miłości Boga! Czyliż mi to czas teraz urągać ze słabości ludzkich, gdy z własnych grzechów mam zdać rachunek? — Chciał starzec całować rękę kustosza; ale skrucha ta jego i pokora tak wzruszyła kustosza, że wyrywając rękę, sam upadł do nóg starca, i— Ojcze świątobliwy!— zawołał rzewnym głosem— mnie błogosław, mnie odpuść i rozgrzesz z winy i zgorszenia, które pożądaniem krzyża tego, dla złota nie dla świętości jego, popełniłem. *Mea culpa! mea maxima culpa!* Naznacz pokutę, naznacz dyscyplinę, a daruj! to i Bóg miłosierny darować raczy.

Popłakali się ojcowie, ja z nimi trzeci; poklęknęliśmy potém i zmówili *Sub Tuum praesidium.*

— Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od księcia Macieja Radziwiłła kasztelana, za assystencyę i mowę przy szlubie jego z Chodkiewiczówną. Zacny to i bogobojny pan. On także poszedł już za księciem Karolem... Oh! wkrótce się z nimi obaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, ks. kustoszu!

Ks. kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj się, *reverendissime!*— oddaję ci go jako depozyt, i w obecności oto brata Michała obowiązuję cię, albo żebyś go przedał, albo zatrzymując dla własnéj wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moję duszę.— Nauczyłem cię, bracie Michale, zażywać tabaki; tobie więc, *bona fide*, należą się moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla

ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacyach, na skład twych raptularzów i dyaryuszów. Szafę z książkami odnieście do biblioteki klasztornéj. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny braciom. Reszta ubogich rupieci jest *secundum regulam nostram* własnością klasztorną. Ot co jest! i po wszystkiém.

ŚMIERĆ KS. DEFINITORA.

XXVI.

Wieczorem zasłabł mocno nieborak; w nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w pierwszéj celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląkłem.

— A cóż to? bracie! rozumiesz, żem upior?— rzekł, widząc moje zdziwienie.— Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecić duszę Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dójdę. Ot co jest!

— Ależ mój ojcze! kościoł zamknięty o téj porze.— Myśliłem, że się zapomniał.

— Prawda; ale po drodze zastukamy do brata zakrystyana, obudzim go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościoł przez chór.

Więc prowadziłem starca przez ciemne kurytarze; ale że dobrze wiadome, a mieszkaliśmy na dole, więc stało się, jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przebudzenia, otworzył nam jednak kościoł.

Zostaliśmy sami jedni; lampa tylko na środku wisząca migała się bladém światełkiem, a cały kościoł był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój złoty z koronką, ucałował go, mnie dał do ucałowania, i złożył na ołtarzu.— Dzięki tobie, bracie!— rzekł potém do mnie — za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego *votum*. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdym w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjąwszy marnościom światowym, skłonił ku służbie swojéj; a toż taż sama chwila północna, chwila po kilkudziesięciu latach!... Módl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moję duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swéj wiekuistéj. Ot co jest.

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza; ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył.... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnéj i modląc się serdecznie, słyszałem tylko westchnienia i łkania....

Tymczasem brat zakrystyan oznajmił o nas ks. kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami tak, żeśmy go nie posłyszeli. Powoli i więcéj ojców zbierać się poczęło, bo wszyscy kochali i wielbili starego swego definitora, i poklękali obok ks. kustosza. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę, i postrzegłem ich w cieniu, jak mary klęczące, które lampa kiedy niekiedy migając oświecała.... Mrówie mię jakieś przebiegło.... Po dość długim czasie, gdym nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie uszkodziło, powstałem, i biorąc go pod ręce, rzekłem:— Wstań, ojcze!...

O Boże! już on nie żył! Przerażony krzyknąłem.

Ks. kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądaliśmy zmarłego. Oczy zawarte... zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uśpiona, a nie zamarła. Bo też i usnął on w Bogu przed jego ołtarzem. Płakałem, oh! płakałem, jak nigdym w życiu nie płakał!!! Położyliśmy trupa na ziemi, zakryliśmy go całunem, i wszyscy znowu poklękli.

Requiem aeternam dona ei Domine! rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali potém w milczeniu i nikli za filarami... ja tylko, klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę, i dogorywająca lampa migała po całunie.

XXVII.

Tylko z nałogu już, mój dyaryusz kontynować zaczynam. Cóż mi po nim? Poszarpany, podarty, poszedł w największéj części na ogień, pod garnuszki francuzkie. Ledwo tylko kilka sexterników najpierwszych, i ten ostatni potrafiłem wymknąć z rąk tych ludojedów. Wprawdzie niéma czego żałować, jednakowoż miło mnie czasami było odczytywać moje własne dzieje. Przez tyle latek zebrało się różnych historyj, różnych ciekawych ewentów, na które *suis oculis* patrzałem; różnych perskrypcyj doktorskich, za które nieraz baranów dostawałem; a dziś tego wszystkiego *pasz!* i nawet kałamarzyk piękny nieboszczyka ks. definitora, *fiat pax* duszy jego, skórką obity, zamykany na wnętrzny zameczek, potrzaskany i rozłupiony, wala się za piecem. Podobno Bóg za to na mnie to spustoszenie dopuścił, żem sercem mojém nadto był przylgnął do téj mojéj pracy, żem często mędrszym się sądził od braci moich, dla tego, że pisałem te raptularze. *Vanitas* to była. Dziękuję więc Bogu i za to zmartwienie, bo ono mię w grzechu poprawia. Odtąd więc choć pisać będę, lecz nie rojąc ztąd żadnéj sobie chluby lub zasługi, i tyle tylko, ile mi czasu zbędzie od klasztornych posług i obowiązków, których, Bogiem a prawdą mówiąc, nieraz się dla raptularzów zaniedbało.

Po śmierci mego benefaktora, jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory: bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Ksiądz kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał mię żadnemi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł on do mnie i rzekł:

— Bracie Michale! grzech jest tak srodze poddawać się żalowi. Jest to sarkać przeciw wyrokom Boskim. Nie mówię ja, abyś zapomniał o swoim ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Módl się za jego duszę. Tak mu najlepiéj odwdzięczysz jego miłość dla ciebie. Ale ponieważ w Wilnie trudnoby ci było uspokoić się, gdy cela twoja własna przypomina ci w każdym momencie twoję stratę, a zatém postanowiłem wyprawić cię ztąd dla twego własnego dobra. W klasztorze naszym Bienickim (*) potrzebują kwestarza. Ks. prowincyał (a właśnie przybył on przed dwóma dniami) naznacza tam ciebie. Oto masz i *obediencię*. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozerwie cię, a doskonałość w tém twoja wesprze tamtejszą niebogatą naszę kongregacyę. Sęk tylko w tém, jak się tam dostaniesz? Dać ci konia klasztornego, to na pewną stratę; bobyś i miasta nie dojechał, a miałbyś już towarzyszów na kałamaszce, a raczéj nie miałbyś i kałamaszki.

— Niéma nad czém i myśleć, *reverendissime!* — odpowiedziałem. — Nieraz, jako i powinienem, wyprawowałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież, za łaską Bożą a dobrodziejstwem poczciwych ludzi, na porządnych brykach dojeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *reverendissime!* Dziś dozwól mi jeszcze pomodlić się na grobie ojca definitora.

(*) Bienica — miasteczko i klasztor księży Bernardynów w powiecie Oszmiańskim.

— Nic nie nagli, *charissime!* Wybieraj sobie dzień najdogodniejszy. Prócz tego, pomówię z ks. prowincyałem, przełożę mu trudność dostania się do Bienicy, bo i piechotą niełatwo tam dójdziesz, gdy po wszystkich drogach wleką się marodery za armią i rabują a odzierają.

— Nie, ojcze!— odpowiedziałem.— Słusznie osądziłeś, że mi Wilno porzucić trzeba, bo tu darmobym chleb klasztorny zjadał a na żadne zatrudnienie zdobyćbym się nie mógł; a w oddaleniu od tego feralnego dla mnie miejsca, lżéj mi będzie na sercu, w wypełnieniu zaś obowiązków moich znajdę może pociechę. A tak jutro rano, przyjąwszy na drogę twoje, *reverendissime*, błogosławieństwo, wyjadę. Maroderów nie lękam się, bo cóż u mnie zrabują? habitu przecież nie zdejmą, bo i ten łatany.

Nazajutrz więc wybrałem się w podróż. Po mszy świętéj dał mi benedykcyę ks. kustosz, który od owego krzyżowego wieczora łaskawszym był na mnie widocznie; dawał mi nawet francuzkiego talara na drogę, ale ja podziękowałem, bo nie byłem bez zapasu, z którego wziąłem tylko jednego dukata, i tego wkopałem głęboko aż na same dno do tabaki; resztę zdałem w *kustodyę*, poczciwego brata zakrystyana, jemu także zostawując w depozycie do spokojniejszych czasów puszkę piękną cynową z tabaką nieboszczyka ks. definitora, i jedną jego tabakierkę *per modum* srébrną; a drugą prostą drewnianą, ale którą jakby ze złota ulaną szacuję, bo i to jego pamiątka, wziąłem z sobą. Oh! czemużem i moich raptularzów nie zostawił? ale nie mogłem jakoś z niemi się rozstać. Spakowałem więc do kałamarzyka, kałamarzyk zawiązałem na plecach, kij w rękę, i w Imie Boże, pomaluczku, *per pedes Apostolorum!* marsz!

WĘDRÓWKA DO BIENICY.

XXVIII.

Cesarz Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, puszczając się za swojém wojskiem które jak powódź popłynęło ku Dźwinie; ale po wszystkich traktach wlekło się żołdactwo, i pomimo srogich zakazów, rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i kilka mil wgłąb' kraju, splądrowane pustkami stoją. Bóg dał tego roku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć na pola zbożami okryte! Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć.

Ledwom wyszedł za miasto, napędziło mnie czterech francuzów. Idą obok mnie. Poglądamy na siebie. Idziem aż pod Niemieżę. Nakoniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myślę sobie, że to narod oświecony, jak powiadają; między cztérma, choć jeden może umie po łacinie? rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio.*

Spójrzeli po sobie, i znowu do mnie po francuzku.

Odpowiadam na los szczęścia: — *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum; Bienitiam proficiscor.*

— B o n, b o n, s e b o n — odezwali się; a potém bez ceremonii, dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiązali mój kałamarzyk, usiedli na ziemi, i pałaszem około zamku majstrować poczęli.

— Stójcie! — krzyknąłem po polsku już — pieniędzy tu niéma — i podałem kluczyk.

— B o n, b o n, s e b o n — poklaskali mię po ramieniu, odemknęli, przebrali papiery, a nic więcéj nie znalazłszy, rzucili skrzynkę na ziemię, i poszli daléj. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znowu kałamarzyk na plecach, i rozumiałem, że już między nami *kwita*.

Ale o kilkanaście kroków znowu mię zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielęcinki, to jest, tłómoki swoje wojenne, i na mnie je gwałtem włożyli Szamotałem się wprawdzie, krzyczałem i po polsku i po łacinie:— *Non possum, senex et debilis sum!*— A oni swoje: — B o n, b o n, s e b o n! M a s z y r k a m r a t, m a s z y r! — I przy téj perswazyi, pokazując mi argument *ad hominem*, to jest, bagnet, skonwinkowali mnie zupełnie, tak, że dźwigając dwie cielęcinki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co mila luzowali na moim grzbiecie swoje tłómoki, aby każdy z nich równą miał ulgę, i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobréj gdzieś Judasze dopadli staruszki. Łyknąłem z biédy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie lał się kroplami; a oni śmieli się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu: — M a s z y r k a m r a t!

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik. Nieraz zatrzymałem się, aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem sobie na kamieniu i oni koło mnie; dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką, zażyją; a jak poczną czchać, to ja krzyczę: — *Vivat!* — a oni w śmiech, i — B o n k a m r a t! — I ja też sobie drwię z nich w duchu.— Oho! mądrzy wy jesteście— myślę — ale zgadnijcież! oto dukat wam pod nosem,

a nie zwąchacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobréj maszerujemy *komitywie*, ale cóż, kiedy cielęcinek nie zdejmują?

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebania, bez okien; kościoł stoi otworem i spustoszony; sklepy nawet otwarte i trumny powywracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów, podobnych moim, a gospodarujących po téj ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach, i kilka kogutów, przelatując ze strzechy na strzechę, piało, jakby urągając rabusiom.

Niedługi jednak był ich tryumf. *Cel*, *pal*, i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś wybrnęło na ulicę, i temu w łeb. Garnków po chatach się znalazło, a zatém postanowiono gotować obiad.

Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tłómoki, więc i ja odpiąłem moje. Ale też oni i skrzynkę moję odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to, abym nie uciekł. — Trudno — pomyśliłem — uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą.

Rozłożono więc ogień w ogródku wiszniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się wrzeszcząc: — Kleba! kleba!

— A zkąd ja wezmę? — krzyknąłem wzajemnie. — *Nie ma kleba!*

— Nie ma kleba! — powtórzyli żałośnie, i pokazali na dwór, do którego iść z niemi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące podobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko do reszty, a za całą zdobycz, wynieśli tylko szczypce złamane i pół talerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał: — Nie ma kleba — Aha, *nie ma kleba!* — odpowiadałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż moja była rozpacz, gdym postrzegł, że kałamarzyk mój rozłupiony, a jeden z tych herodów drze moje raptularze i pod drewka podkłada, aby się lepiéj paliły! Wyrwałem mu ten, który w ręku trzymał, i porwałem skrzynkę, w któréj jeszcze z parę się zostało.

Patrzał mi on w oczy z zadziwieniem i złością, nareście porwał się do mnie z pałaszem, ale moi kamraci podróżni stanęli w mojéj obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szpargały, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni.... a ja moję skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spójrzał on znowu po mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mrucząc, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ściskać, całować, ledwo mię nie udusili; klaskali po ramieniu. — Bon, bon, se bon! Vivat kamrat! — wrzeszczeli. — Ha! — pomyśliłem sobie — ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność; jakże to dziwno, że rabują i palą! jaka dziwna mieszanina złego i dobrego!

Zakaty smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali sup, znaczy się *zupa*, którą zgotowali; mieli jednak w swoich blaszankach ryż i sól; a że jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie nawet za najwyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszém miejscu, i dali srébrną łyżkę z herbem *Kościesza*, widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy po posiłku zabierali się w dalszą podróż, postrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłómoki, a moję pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem,

podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem, że ma ją przywłaszczyć, i już nie chciałem się upominać, aby znowu do batalii nie dać powodu. Poznawszy moję wątpliwość, obrócił się on do kamratów i pererował cóś do nich. Wysłuchawszy, uścisnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięczność chce mi tę ulgę uczynić. A więc także ścisnąłem go za rękę, i nie chciałem na to przyzwolić; ale on nie uważał na moje protestacye, i poniósł kałamarzyk na sobie.

Pod wieczór weszliśmy do Oszmiany, w którój nie można było rabować, bo był komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzom kwatery, a ja przed rozejściem się naszém zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potém w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata, i okazałem każdemu w oczy... Spójrzeli po sobie, pokręcili głowami, i rozśmieli się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupiłem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów. — B o n! b o n k a m r a t! — krzyczeli; a ja, odebrawszy mój kałamarzyk, udałem się do ojców Dominikanów, którzy mię przyjęli *benevole;* a nazajutrz z blizkim sąsiadem od Bienicy, panem Szczepanowiczem pisarzem, bezpiecznie i wygodnie tu zdążyłem.

NIEBOSZCZYK KOCIEŁŁ.

XXIX.

Pan pisarz, wielki *gadativus*, prawił mi w drodze rozmaite historye; ale między niemi rozpowiedział

ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do któréj dążyłem; co, wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w téj rezydencyi?— zapytał on mnie.

— Nie. Pierwszy raz tam będę.

— To nie wiesz zapewne, z jakiéj pamiątki założony tam wasz kościoł.

— Nie wiem, dobrodzieju!

— To ja ci powiem.

— Proszę najuniżeniéj i słucham.

— Oto tak było (*). Dobra te należą oddawna do możnéj i bogatéj w Litwie familii *Kociełłów*. Jeden tedy z ich *antenatów* powracał z jakiéjś podróży do domu, a mieszkał pono w *Mołodecznie*, bo i *Mołodeczno quondam* do Kociełłów należało, i niedawno jeszcze *per exdotationem* przeszło do imienia *Ogińskich*. Przelęknione czegoś tam na drodze konie jego uniosły, wzięły na kieł i leciały jak szalone, cugle pękły, stangret spadł z kozeł, a pan *Kociełł* bez żadnéj *salwy*, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przyszła jemu myśl, od Boga widać natchnięta, uczynić jakie pobożne *votum*. Postanawia więc wymurować kościoł i uczynić fundusz na tém miejscu, gdzieby konie stanęły.

Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kociełł wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumannę* modlitewkę swoję, ponowił *votum*, i we dwa lata na tém samém miejscu słuchał mszy świętéj, gdzie mu Bóg życie zachował.

Mało na tém, mości dobrodzieju! — pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny, i przeżywszy matuzalowe lata, tam się i położył.

(*) Podanie. — *N. w.*

Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całéj postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniędzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami summę, którą on podyktował; i portret ten obok swego łóżka na ścianie zawiesił.

Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć? aż gdy wkrótce pan Kociełł oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła, i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem; że summy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła Bienickiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnéj *konflagracie;* lecz aby bez takiéj tylko ostatecznéj potrzeby dobytemi nie były, sam zatém ich strzedz postanowił, i dla tego w grobie własnym one zakopał, i świętokradzkim lub chciwym rękom nie da.

Otoż tedy przed laty kilkadziesiąt spalił się dach na klasztorze Bienickim; a był natenczas gwardyanem świątobliwy i przykładny kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potém na jego powtórnéj *prymicyi*, ksiądz *Czapkowski*, i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On tedy osądził, że właśnie stał się *casus* naznaczony przez fundatora, i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

A więc po solennych exekwiach za duszę jego, przystąpiono do odwalenia wielkiéj i ciężkiéj plity marmurowéj, pokrywającéj grób pana Kociełła.

Że nie chciano publikacyi téj roboty, więc wzięto się do niéj w nocy, przy lampach, i w zamkniętym kościele, a kilku tylko *patrów* i przy nich kilku zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrówie wszystkim po skórze przechodziło, i robota szła niesporo. Ks. Czapkowski modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłómacząc, że pieniądze te pójdą właśnie podług woli pana Kociełła, i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na drągi... Grób otwarty... Pokropił go i schylił się doń ks. gwardyan chcąc zajrzeć w głąb'...

Wtém lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i rozrysował się na kilka części.... i na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich, i wszystkie lampy pogasły...

Ojcowie i bracia padli na ziemię, jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

— Więc pan Kociełł nie dał pieniędzy?

— A oczewiście nie dał, i miał racyę: bo klasztor, to nie kościół, mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez to *requiescat in pace!*

Otoż jak przyjdziesz do Bienicy, możesz i obaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swojém miejscu; kamień nad grobem porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnéj, którą nazajutrz postrzeżono, i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Jakoż, przybywszy tu, wszystko własnemi oczami obejrzałem.

PRZED KWESTĄ.

XXX.

„I komuż zbiegło kiedy na myśl pytać się kwe-„starza o jego przeszłość i rodzinę? Zapytują ich „tylko, gdzie nocowali przeszłéj nocy? i czy już „po śniadaniu? Po czém nie czekając ani twier-„dzącéj, ani odmównéj odpowiedzi, (bo też na to „zimne pytanie porywa jakaś taka złość człowie-„ka, że nawet po gwardyańskiém śniadaniu go-„tówby był odpowiedzieć, że nie szkodziłaby *jaka* „*taka przekąska*), rozkazują służącemu przynieść wó-„deczki dla *jegomości dobrodzieja*, dają naprędce znak „ekonomowi, aby wybrał tam jakiegokolwiek pół-„żywego barana, i zostawują cię przy stoliku nad „darem Bożym, nie pytając się już o nic więcéj. „Tym świeckim ludziom zdaje się niemal, że „kwestarz bernardyn musiał się urodzić bernardy-„nem. I jak, pytam, po takiéj czułości ze stro-„ny ludzi, zakonnik niéma nabrać wstrętu do świa-„ta, i nie zamiłować swojego konwentu? (*)“ Tak

(*) Of. d. c.

mi się skarżył brat *Placyd*, mój poprzednik, kwestarz w téjże Bienicy, a który, zniechęcony tą *recepcyą* ludzką, nie chciał już więcéj kontynować swéj peregrynacyi, i przyjął kanaparstwo po zmarłym bracie. Dla tego mię i sprowadzono z Wilna.

Niestety! prawdę on powiadał. Sam nie raz bywam tak przyjęty; i tém bardziéj mnie to martwi, że przypominam czasy, gdy wcale inaczéj było; gdy wyprawując mię raz piérwszy na kwestę nieboszczyk ksiądz *Ot co jest*, upewniał mię, „że „jest jakaś powszechna domowa skłonność dla Ber„nardynów; że pobożność, dobroczynność i ludzkość „żyją na Litwie; że kwestarzy z gotowym bara„nem oczekują jak bocianów na wiosnę; i przepo„wiadał, że źle będzie na świecie, gdy cnoty te „wygasać będą; gdy szczérość, prostota i pokora „nie będą już trafiały do serca: bo wtenczas jad „niedowiarstwa i pogardy naszéj świętéj religii „rozszerzy się, jak plaga egipska między naro„dem (*).“

Otoż i zgadł. Patrzał on nawet na to zgorszenie, martwił się, *fulminował* z ambony, i przypominał mi swoje proroctwo. A jednakowoż przed śmiercią nie raz mi powiadał: „Nie bójcie się, kupcie się tylko „około krzyża z gorliwą wiarą i nadzieją. *Et crux „triumphabit super aspidem et basiliscum!* Bo Bóg, nie „opuści sług swoich, i nie poda na poniewierkę „niezbożnym swojéj świętéj nauki!“ Dajże Boże, aby i to drugie proroctwo jego sprawdziło się czém prędzéj.

Oziębłość więc ta dla nas biédnych kwestarzy, na którą tak się zawziął ksiądz Placyd, jest to mała gadzinka, biorąca jad swój z wielkiéj kałuży niedowiarstwa po świecie rozlanéj: bo to mało na tém, że nawpółżywego dadzą barana, że potraktu-

---

(*) Patrz wyżéj, wyjazd na kwestę.

ją wódeczką, od któréj człowiek trzy dni kotłem swędzi, ale jeszcze w domu szlachcica, którego ojciec poczciwie Boga chwalił i ludzi szanował, posłyszysz nie raz wyrazy i zdania, o których ani mu się śniło nawet. Religia, to *fanatyzm;* zakonnicy, to *popi;* artykuły wiary, to *zabobon.* W piekło jegomość nie wierzy, czysca nie lubi, na niebo nie zasługuje, i sam nie wié, gdzie podzieje się po śmierci. Filozofia! filozofia! to u niego grunt, któréj że ja nie znam i znać nie chcę, to rzecz naturalna; ale że i oni nie znają, to tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie raz, a co mówię nie raz? nie sto razy uszy mi więdły, słuchając takich bredni; a zawsze wolałem się odrzec barana, jak potakiwać bluźnierstwu. Opisywałem ja takie wszystkie zdarzenia w moich raptularzach, i jak mi udało się nie raz i nie jednego niedowiarka *skonfundować* po kwestarsku, jak niegdyś owego francuza u starosty; ale to wszystko z dymem poszło pod francuzką zupą w Miednikach.

Gwardyan nasz w Bienicy, *simplex Dei amicus,* był niegdyś professorem *Infimy* w Cytowianach, na co niewiele potrzeba *sapientii.* Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno, i mówił szybko, cienko, jakby lekcye recytując:

— *Salve* bracie! bratuniu! bratunieczku! *salve!* Jedź, jedź, jedź zaraz, kwestuj, zbieraj, proś, bracie! bratuniu! bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli nas Francuzi. Na trakcie żyjemy. Gwałtu! Kiedym był professorem *Infimy* w Cytowianach, zjadałem pirogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostrum quotidianum careo.* Jedź bierz, co dawać będą. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miarka. Ratuj, bracie! bratuniu! bratunieczku! Konie wszystkie pozabierali. Jedź.

— A na czemże pojadę, kiedy wszystkie pozabierali?

— Zostawili jednego swego harharę. Osedniony i chudy, ale pod konno dobrze chodzi. Smaruj go łojem i jedź, bracie! bratuniu! bratunieczku!

— Jest jeszcze jedno *impedimentum grave* — rzekłem.

— *Impedimentum*— przerwał mi staruszek— *est generis neutrius. Gravis, grava, gravum, vel grave,* dobrze zgodziłeś. *Latine scis, bene et valde bene:* bo teraz łaciny nie usłyszysz ani za grosz, *amantissime fratercule!* to jest, bracie! bratunieczku! Kiedym był professorem *Infimy* w Cytowianach, to żaki moje, pilnując *notalingwy,* lepiéj gadali po łacinie, jak dzisiejszy pan jaki marszałek lub podkomorzy. A co do zgodzenia *generis masculini cum foeminini*...

— Ale *reverendissime!* nie o to idzie — przerwałem mu niecierpliwie.— *Impedimentum grave* jest w tém, że jak kwestować, gdy marodery wszędzie się włóczą? Gdybym i dostał baranów, lub jakichkolwiek wiktuałów, to odbiorą pewnie. Daj Boże, abym sam przynajmniéj na sucho uszedł.

— Manowcami, bracie! bratuniu! bratunieczku! lasami, błotami, jedź, dojeżdżaj, gdzie można.... *Prewodyra* schowałem w lesie, zajedziesz po niego. Ratuj! jedź!

Widziałem, że nic nie pocznę z moim głodnym gwardyanem, poszedłem więc przygotować jakkolwiek wyprawę, choć źle bardzo o niéj tuszyłem.

Nazajutrz urządziwszy jak mogąc kałamaszkę, i założywszy owego wielkiego kusego konia, zajechałem przed klasztor.

— Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku!— wołał na mnie z okna poczciwy professor Infimy.

— Właśnie przyszedłem po benedykcyę twoję, *reverendissime,* na drogę.

— *Adde: reverendissime pater!* bracie! bratuniu! bracie! bratuniu! bratunieczku! bo kiedy byłem professorem *Infimy* w Cytowianach, inaczéj mnie nie nazywano. A zresztą *benedykuję, benedykuję;* ale spraw tylko, abyśmy mieli co *benedykować* na stole.

— Przynajmniéj-że daj mi innego woźnicę. Cóż pocznę z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie kwestarza wozić. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy?

— A zkądże wziąść inszego? Ten co był i woził brata Placyda, za młodu traktował żołnierkę. Postrzelany jak sito i pokiereszowany, przywlókł się tu nie wiém zkąd, i ufundował się w klasztorze, jak mówił, przy ołtarzu do śmierci.— Bóg tam z nim — pomyślałem sobie — *restat:* bo prócz tego, od razu pojął się do woskowni i wyśmienicie stoczki ciągał. Ale potém zachciało się mu jeździć po kweście, a nie chciał włożyć habitu; więc na to powiedziałem:— *Nego.* Bo kiedym był professorem *Infimy*....

— Ależ, *reverendissime!* czas nagli.

— To nic, bracie! bratuniu! bratunieczku! Słuchaj tylko. Otoż uparli się oba z bratem Placydem. Ja swoje, oni swoje. Skończyło się na tém, że on *semi*-socyusz, *semi*-woźnica, ofiarował się towarzyszyć kwestarzowi. Rzekłem tedy:— *Concedo.*— I dobrze się powodziło; bo ten *peregrynant* zawołany, prawiąc wszędzie *mirabilia* o swojém życiu, o krajach, gdzie bywał i wojował, o bataliach i szturmach, brał za to barany jak grzyby. My sami słuchamy bywało jego rozziawiwszy gęby. Kiedy byłem *professorem Infimy w Cytowianach,* to jeografię na klassę piérwszą sam umiałem na pamięć; a bywało nigdy nie mogę rozgatunkować, w któréj części świata on bywał i wojował.

Otoż jak tu napłynęło wojsko, jednego dnia poznał on swoich dawnych towarzyszów; naprowadził tu ich do klasztoru. Nie rabowali-to oni wprawdzie, ale objedli i opili nas do szczętu; a nasz *semi-questarius* chwycił w rękę karabin i pomaszerował z niemi szczęśliwie.

Ad felix videndum! bracie! bratuniu! bratunieczku! rzekłem, i po wszystkiemu. Bez niego, ani brat Placyd kwestować chce, ani furmana gdzie dostać. Jednakże to nic nie szkodzi, jedź! Chłopak twój choć mały, ale szprytny. Trzymaj go tylko w *subordynacyi;* bo kiedy byłem *professorem Infimy w Cytowianach,* to to bywało *corona asinorum* na głowę i *flectat,* a wnet żaki *szarfl*... razu jednego....

— *Vale* — rzekłem — *reverendissime! vale! Ad felix videndum* — i siadłem na kałamaszkę.

— Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku! *benedykuję* i oczekuję! ratuj! oczekuję i *benedykuję!*

KWESTA.

XXXI.

Pan Bóg jednostajnie co rok obdarza nas darami swemi, ale tego roku nadzwyczaj nam błogosławi w urodzajach. Jakie piękne zboża! jakie bujne kłosy! jaka obfitość daru Bożego! Ale wojna! wojna!... chociaż teraz przeszła jak wicher, i grzmi gdzieś tam od nas daleko, ale jeżeli powróci broń Boże, połknie wszystko, a może i nas samych. Bądź wola Twoja Panie!

Wyjechawszy z klasztoru, zawróciłem na manowce, bo ta jedna rada kochanego ojca professora *Infimy* w Cytowianach, była dobrą. Już też i wypędzeni strachem i rabunkami mieszkańce powracali do domów i krzątali się około gospodarki.

Nie tak bardzo i ozięble mnie przyjmowano. Wszyscy ze zwyczajnego toru zbici, o niczém nie myślą i nie mówią, jak o tém, na co patrzą; a niespokojnie wyglądają, co będzie? W takiéj niepewności niéma czasu do filozofii. *Kiedy trwoga, to do Boga.* Wprawdzie gdzie przeszedł rabunek, trudno żądać jałmużny; ale jednakże nie jeden gospodarz, widząc na polu i ciesząc się z pięknego żytka lub pszeniczki, a niepewny, czy one szczęśliwie zwiezie do gumna, na tę *intencyę* ofiarował mi assygnatę na jesień i do klasztoru odesłać obiecał; nie jedna mamunia, zaprowadziwszy mię w kątek, z płaczem wetknęła rubelka, na *intencyę*, aby synek szczęśliwie z wojny wrócił; a nikt przecie do świętéj *filozofii* na mszę nie dawał. Przyszło mi jednak spotkać się i z tą zarazą, a to jeszcze na tém samém miejscu, gdzie nigdyś cnoty chrześcijańskie najozdobniéj kwitnęły — jako o tém niżéj.

Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnowi, i kilka baranów wlekło się za prewodyrem, gdym zdaleka dostrzegł dwór wielki, a we wsi dowiedziałem się nazwiska pana. Nazwisko to przypomniałem wnet: dwór to był bowiem starosty, ów, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne państwo pozmierało: że syn ich, to miłe wtenczas paniątko, sukcedował po rodzicach, i jest we dworze. A więc choć pora była spóźniona i ciemno już, w Imię Boże zawróciłem do dworu.

Coś mi się w duszy smutno zrobiło, gdym wjeżdżał na dziedziniec.... czy to przypomnienie lat młodszych i lepszych? czy poczciwych ludzi, których tu poznałem, a niepewny byłem, że żyją jeszcze?... Oj czas, czas! Dobrze mówił nieboszczyk mój ks. definitor: *Tempus edax rerum!* a w przysłowiach wojewodzińskich stoi: *Contra vim mortis non est medicamentum in hortis*— przeciw srogiéj libitynie *nie masz rady w medycynie!* Zawinie się ona bodaj wkrótce i koło mnie.

Tak dumając, kazałem chłopcowi poszukać stajni, i sam szedłem, gdzie się świeciło, a świeciło się tylko z okien jednego pałacowego skrzydła.

W sieniach ani żywego ducha. Daléj przeszedłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju, i znalazłem siedzących za stołem kilku panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, hołdujących królowi egipskiemu i razem Bachusowi: bo przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— A to co za pop?— razem wymówili.

Nie było ani z jednéj, ani z drugiéj strony odpowiedzi.

Znowu powtórzyłem:— *Laudetur Jesus Christus!*

I znowu zamiast chrześcijańskiego responsu— Zkąd cię tu licho przyniosło?

— A — pomyśliłem sobie — pięknie trafiłem!

— Jestem ubogi kwestarz — rzekłem nakoniec.— Rozumiałem, że trafiłem do chrześcijańskiego dworu; ale, jak widzę, wpadłem do jakiegoś *Pandemonium*, bo i na chrześcijańskie pozdrowienie nie odbieram zwyczajnéj odpowiedzi.

— Zresztą, na wieki wieków — odezwał się jeden z nich.— Kto cię tu wpuścił?

— Nikt nie wpuszczał, i nikt nie bronił wejścia; a niegdyś wejście do tego pańskiego pałacu nie było bronioném dla poczciwych ludzi.

— No, no, popie, nie gniewaj się. Albożeś tu był kiedy?

— Byłem, i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem zacnego, wspaniałego a bogobojnego pana tutejszego, starostę... Niech w chwale Boskiéj świeci jego dusza. Rozumiałem, że znajdę teraz podobnego ojcu syna, z którego natenczas cieszyłem się: bo w maluczkiéj dziecinie już pańskie i chrześcijańskie okazywały się cnoty; ale widać, że go tu niéma; a zatém na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!*

— Stój! księże!— rzekł powstając od stołu i rzucając karty mężczyzna w mundurze gęsto srébrem szytym.— Jam jest syn starosty.... i gospodarz tego domu....

— Tak, tak — dodał jakiś podpiły sampan — to nasz półkownik, hrabia... Czołem, popie! bo cię skropię!

— Mógłbyś to i uczynić, dobrodzieju!— odpowiedziałem— bo trzymasz kielich pełny, a sam jużeś się tęgo, jak widzę zakropił.

— Brawo!— rzekł inny.— Masz za swoje! To po kwestarsku. Skropże go za to, to jest, oddaj mu swoję szklankę.

Odsunąłem podawaną szklankę, a w milczeniu patrzałem na starościca. On także na mnie.

— Znałeś mię dziéckiem powiadasz?

— Znałem, znałem cię, gdyś miał obok siebie anioła i diabła, to jest, księdza kapelana i francuza. Oh! któryż zwyciężył?

Odwrócił się starościc, przechadzał się po pokoju, przecierał czoło... to patrzał na mnie, to się odwracał; odsunął także podawany mu kielich...

— Tak— rzekł potém— tak, miałem przy sobie jakiegoś fanatyka.... a może był i poczciwy człowiek. Umarł....

— Przecięż za sprawą tego fanatyka — rzekłem znowu— serce twe młodziuchne skłaniało się ku dobremu. Ofiarowałeś mi natenczas dukata, który ja z płaczem i błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz....

— A teraz rozumiesz-że mię być nieludzkim? Masz oto pięć takichże samych dukatów — rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

— Dobrodzieju!— rzekłem— gdybyś mi i całe złoto, które widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle u mnie znaczyło, ile tamten dukat. Rozumiesz mię, panie, dla czego?

Starościc znowu przeszedł kilka razy salę zadumany. Goście nań poglądali i na mnie z ukosa.

Nakoniec, jakby gwałt sobie czyniąc, odwrócił się do mnie.— Kaprysisz się, księże! — rzekł.— Co było, to było... przeszło... a dukaty zawsze jednostajne...

Wtém wszedł lokaj i zawołał:— Wieczerza!

— Proszę— rzekł starościc— do kompanii i ciebie, księże! Przypomnimy się lepiéj przy półmisku i szklance.

Gdyśmy usiedli do stołu, (a było to w téjże saméj sali, gdzie przed dwódziestą z górą laty obiadowałem), przypomniały mi się wszystkie osoby, z któremi wówczas zasiadałem; stanęły mi w oczach... i oczy zaszły mi łzami. Nie jadłem: bo i prócz tego, był to piątek, a mięso na stole. Milczałem; podobno nawet na kilka kwestyj nie dałem responsu; a tymczasem cała wrzaskliwa drużyna gładko zajadała, a jeszcze gładziéj piła.

Nakoniec odezwał się ten sam jegomość, który mię chciał skropić:— Cóż milczysz? popku! Zarwę

cię z teologii. Powiedz mi: gdzie w człowieku dusza siedzi?

Obudziłem się jak ze snu.— A wspomożże mię, Panie!— pomyśliłem — skonfundować tego chlystka.

— U żołnierza — odpowiedziałem — który nie broń, ale szklankę ma w ręku, dusza siedzi w piętach.

Przygryźli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy i spójrzeli po sobie, a *homo quaestionis* krzyknął:

— Słuchaj popie! ostróżnie z żartami, bo ci własną duszę wycisnę.

Pomiarkowałem, że tu za kwestę guza tylko dostać mogę, więc wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

— Dokąd? księże! — rzekł starościc, czy pułkownik, jak go nazywano. — Nie uciekaj, bo dowiedziesz, że u ciebie dusza w piętach. Przebaczam ci żart, bo nie wiesz dla czego jeszcze tu jesteśmy. Gdy czas przyjdzie, powinności naszych do munduru przywiązanych nie zaniedbamy. Zresztą nie lękaj się: w moim domu nikt cię nie skrzywdzi. A ty — dodał, obracając się do pytającego się sampana — siedź i pij. Nie umiesz teologii, i dla tego cię zjeździł, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o to, gdzie dusza siedzi, ale czy jest dusza? na tém grunt.

— Dowiedź mi, kwestarzu, że jest dusza, to ci dziesięć baranów dać każę! albo lepiéj dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całéj ekonomii nie ma.

— A co? zabrakło ci konceptów?

— Dobrodzieju!— rzekłem do starościca—dziś nam wszystkim nie do dysput, a tém bardziéj w takiéj ważnéj materyj. Jutro odpowiem na kwestyę pańską, a dziś wszystkim dobrodziejom życzyłbym porzucić służbę bachusa, bo to bożek pogański, a pójść zaraz spać, abyście z duszami przynajmniéj wstali.

— No, to do jutra nasz zakład — rzekł starościc.

I nie mogłem inaczéj zrobić, jak odłożyć, a namyślić odpowiedź: bo piérwszą nastręczyło mi przysło-

wie zwyczajne, że u tchórza dusza w piętach; ale na drugą, zarwany tak *insperate*, zdobyć się nie mogłem. Wyszedłszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światełko w oficynie niegdyś marszałkowskiéj, tam się więc zawróciłem.

STARY MARSZAŁEK DWORU I STARY REZYDENT.

XXXII.

— *Ave Maria gratia*... — posłyszałem jeden głos, wchodząc do izby, i drugi odpowiadający: — *Sancta Maria Mater Dei*...

— A! pomyślałem sobie — tu przecież trafię po myśli. Może to i pan marszałek dawny trzepie różaniec.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedziało dwóch razem staruszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowéj kapotce; przy jednym stała trzcina ze srébrną gałką, przy drugim leżała klapka na muchy.

— Może dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego — rzekłem — za socyusza do koronki, i trzeciego starca do kompanii?

— *Cum apertis manibus* — odezwał się staruszek biały. — Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.

— Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach; i zdaje mi się — mówiłem, wpatrując się w witającego mię jegomościa — że oglądam, a oglądam z pociechą prawdziwą, marszałka dworu zeszłego starosty?

— Tak, tak, *quondam* — odpowiedział, pokręcając siwego wąsa.— Radbym wiedzieć, kiedy to było?
Tymczasem tabaczkowy staruszek wpatrywał się we mnie. Poznaję, przypominam— odezwał się on.— *Anno millesimo septingentesimo*.... był tu brat kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk starosta co rok wyglądał, który budowniczego Kwetkę i francuza skonfundował gracko...
— Ten sam— przerwałem— ten sam— i obaj starce rzucili się mi na szyję, i obaj całowali i ściskali najkordyalniéj.
— Więc dobrodziéj jesteś ów pan chorąży, rezydent na dworze starosty?
— Rezydent i teraz z łaski jego, bo zapewnił on mnie aż do śmierci *victum et amictum* w swym testamencie, jako i wszystkim, którzy się jego pańskiéj klamki trzymali. Daj mu Boże niebo!
— Widziałem i Jaśnie wielmożnego starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go półkownikiem nazywają, i hrabią nawet. Widać, że niedawno nim został, bo zeszły starosta tak się nie *magnifikował*.
Obaj starce kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł marszałek:— W pałacu *Sodoma* i *Gomora*.
— Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale zkądże to przyszło, że syn tak zacnego i bogobojnego ojca, jak uważam, wcale inny?
— Oh! długoby gadać jegomości o naszych nieszczęściach i dniach opłakanych. Siadaj, *charissime!* Dość ci pokrótce powiedzieć, że po śmierci obojga naszych państwa, która nastąpiła niespodzianie w lat kilka po twojéj tu bytności, bo starosta we trzy miesiące poszedł za swoją żoną *ad patres*, opiekunowie, bodaj z piekła nie wyszli, wywieźli panicza i panienkę na edukacyę do Warszawy. Poczciwi my a życzliwi słudzy ich, błogosławiliśmy ich z płaczem, i oczekiwaliśmy potém powrótu paniąt naszych, jak wybawienia z niewoli babilońskiéj; aż tu nam po dłu-

giém oczekiwaniu powiadają, że starościanka poszła za mąż, a pan starościc pojechał na wojaż do Paryża. Powrócił aż po latach pięciu. Pożal się Boże! wyjechał od nas miłém, pobożném, śliczném panięciem, a przyjechał... Ale *non licet mihi* mówić źle o synie mojego pana i benefaktora... Już to on, widać, pod taką *konstellacyą* urodził się.

— A u wasana wszystko *konstellacye*, same *aspekta* niebieskie i *horoskopy* w głowie — przerwał chorąży, i zwrócił do innego objektu ciekawe dla mnie opowiadanie marszałka o starościcu.

— A jużci też pewniejsze moje *aspekta* — odpowiedział z gniewem marszałek — niż waspana *Apokalipsy*. Teraźniejszy kometa nawet nic nie znaczy u waspana? Przecież jak tylko się pokazał, wnet przepowiedziałem, że będzie wojna; a jak wsiadł na wozek niebieski, czy nie mówiłem, że przywiezie biédę na cały świat? To jeszcze będzie wielkie szczęście, kiedy nas ogonem nie muśnie, bo wtenczas zapadniem. A tymczasem czy nie prawda? czy niéma wojny i biedy?

— Tak; ale waspan mówiłeś, że taki sam kometa świecił, gdy Jan III szedł na Turka pod Wiedeń, i pokazywałeś go namalowanego w Janinie; to prorokowałeś, że i teraz Turcy tu przyjdą...

— Nie prawda. Mówiłem tylko, że i Turki będą w robocie. A czy nie są? Proszę tylko spójrzeć na kometę, a najbardziéj na jego ogon: w którą stronę...

— Gdy pan marszałek zwrócił się do okna, pan chorąży, pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie i zcicha mi powiadał: — Ma... ma...

— Marszałek wpatrywał się w kometę, a rezydent rzekł do mnie: — Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłómaczę, że wszystko, co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w *Apokalipsie*.

— Winszuję — przerwał śmiejąc się marszałek.

— Wolno śmiać się — mówił także obrażony chorąży — wolno śmiać się; ale czy nie mówiłem waspanu

dawniéj, że *Appolion*, anioł przepaści, *exterminans*, jest to *Napoleon*. Różnica o literę nic nie znaczy.

— A przecież — przerwał marszałek — *litera nocet, litera docet.*

— I uważ jegomość — mówił daléj rezydent, nie zważając na przekąsy kolegi — jak tu wszystko kwadruje się:

— Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo już to pewnie otworzył). „*I oto okazał się koń biały, a* „*ten, co na nim siedział, miał łuk* (łuk czy pałasz, „wszystko jedno, byle broń), *i dano mu koronę, i wy-* „*szedł zwyciężając, aby zwyciężył* (*).“ Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ.

— Prawda — rzekłem — sam go na białym koniu widziałem; a ma go, jak mi powiadano, aż z Egiptu.

— O to, to, to, to — rzekł żwawo uradowany staruszek, tupając aż nogami — o to, to, to, widzisz waspan, z Egiptu z pod Babilonii, „*i dano mu* „*koronę, i wyszedł zwyciężając.*“ Jak nie wstyd nie wierzyć?

— A w drugiém miejscu znowu co pisze?

„*I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały* (znowu „koń biały, widzisz waspan), *a siedzący na nim sądzi* „*i walczy, a oczy jego jako płomień ogniowy.*“ Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeraźliwe.

— Prawda — odezwałem się — sam to widziałem także i doświadczyłem: czarne, a świecą jak karbunkuły.

— O to, to, to, to, to. A mójże ty dobrodzieju! O to, to, to, masz waspan żywego świadka.

Marszałek kiwnął głową.

(*) *Apocalipsis*, Rozdział VI.

— Nie wierzy, dalibóg nie wierzy! niechże cię bestya o siedmiu głowach połknie!

— Daléj tak stoi: *„A na głowie jego wiele koron, a „obleczony był szatą krwią zmoczoną.“* Chybaż waspana jaka gwiazda oślepiła! To już jak łopatą w głowę. Na dobitkę jakież to wojsko tego *Apoliona.* Oto szarańcza: *„a podobieństwo szarańczy, koniom zgotowanym „na wojnę, a twarze ich jako twarze człowiecze, a miały „pancerze, jako pancerze żelazne, a ogony podobne niedźwiad- „kom.“* Albo znowu: *„I takżem widział konie, a siedzący na nich mieli pancerze ogniste!“* Cóż to mospanie i wątpić? Francuzów jak szarańczy; chmurami idą i niszczą wszystko; a sami widzieliśmy, jak onegdaj przyjeżdżał do naszego pana *ad praesens* półkownika, zbrojny rycerz w pancerzu ognistym, i z włosistym ogonem na głowie....

— I pewnie z twarzą człowieczą — przerwał znowu marszałek. W tém tylko sęk, że, jakeś wasan wczora czytał, téj szarańczy zakazano, aby nie psowała trawy, ani wszelkiéj zieloności; a wasana szarańcza żyto kosi.

— No to cóż? no to cóż? — odpowiedział zakłopotany nieco chorąży — kosi, ale wszystko odrasta, i trawa i żyto. Sądźże sam księże kwestarzu, czy to nie widocznie? czy to nie jak na dłoni? Kometa! kometa! I cóż ten kometa? Przyszedł swoją drogą i pójdzie swoją drogą. Niéma z nim biedy. Ale co będzie, kiedy druga pieczęć otworzy się? i trzecia, aż do siódméj? kiedy *Gog* i *Magog* (*) nadejdą...

— Nie bredź! nie bredź! — przerwał z gniewem marszałek. — To mi głowa do tłómaczenia tych *hyperbolów* i tajemnic. Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna, a on mnie

(*) *Ibidem Apocalipsis.*

tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoję gwiazdę, w którą wierzy; i w *Apokalipsie* nawet czytasz wasan, że będą znaki na niebie.

— O to, to, to, to, zaraz waspanu o tém się sprawię — rzekł, biegąc staruszek do alkierzyka po Biblię.

A tymczasem marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potém kręcił nim na czole i mówił z cicha: — Ma.... ma.... tu.... ma!...

— Obu wam biédnym klepki nie dostaje — pomyśliłem.

Otoż to ci dwaj rzeźwi niegdyś, strojni i przystojni dworacy, fantazyą piękną i animuszem dodający lustru i powagi pańskiemu dworowi, a mogący iść o *prym* na każdym innym, teraz pokurczeni, podupadli, niedołężni, niepodobni do siebie, dysputują o skończeniu świata, a nie myślą, że sami wnet się skończą. Oj starość! starość!

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblią; ale ja rzekłem: — Dobrodzieje, wiécie co? oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokończmy tajemnic Koronki świętéj. Ja pomogę, i pochwalim Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety i wszystkie bestye i smoki.

Spójrzeli oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblię na stole. Oba ucałowali krzyżyki wiszące przy koronkach, i oba usiedli cichuteńko przy stoliku, jak dzieci zgromione w swawoli.

— Na któréjże tajemnicy przestaliśmy? panie chorąży! — zapytał marszałek.

— Na ósmém *Ave Maria*, tajemnicy trzeciéj. Na pana marszałka koléj.

— *Ave Maria gratia plena*... — rozpoczął zatém nabożnie marszałek — *Sancta Marja Mater Dei*... odpowiedzieliśmy, i dokończyliśmy koronki, po któréj

posłałem się na tapczaniku, i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się układł, spójrzał przez okno na kometę, a rezydent Biblię pod głowę podłożył.

SNY.

XXXIII.

Obudziłem się. Moi gospodarze wstali raniéj i oba siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę; i rozmawiali sobie pocichu, wrzekomo aby mnie nie rozbudzić.

— Imaginuj sobie wasan — mówił marszałek — śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił. Zniżył się jakoś, ogon po ziemi wlekł. Głowa rychtyk jak w *Janinie* (*) wymalowana. *Horet animus!* na sam ten widok pot zimny na mnie wystąpił! Kiedy to huknie: — Za-pa-dasz! za-pa-dasz! Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się... aż patrzę — zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierzchu, cały zaś *corpus* pod łóżkiem: bo płótno pękło do reszty, i ja z piernatem zapadłem. No proszę uniżenie, powiedz waspan, zkąd kometa wiedział, że u mnie łóżko dziurawe?

— *Extraordynaryjna* rzecz! panie Sebastyanie! *extraordynaryjna* rzecz! — odpowiedział rezydent; a tém bardziéj, że i mój sen także dziwny i straszny. Imaginuj sobie wasan, śni mi się, że wychodzi

(*) *Janina* — opisanie wyprawy Jana III pod Wiedeń, gdzie jest i rysunek komety, który natenczas na niebie świecił. Księgę tę piękną czytałem w klasztorze wileńskim. *Nota Autora.*

z morza *bestya* ogromna, o siedmiu głowach, a na każdéj głowie po dwadzieścia cztéry rogi, i w każdéj paszczy po dwadzieścia cztéry trąby. Jakże zatrąbi ze wszystkich trąb, aż ziemia zatrzęsła się!... Gwałt! Zatknąłem uszy — nic nie pomaga!... Dreszcz mnie przeszedł, ocknąłem się. Aż to ksiądz kwestarz, ta *bestya*, chrapie na całą izbę. No proszę uniżenie, pytam waspana, jakim to sposobem z kwestarza zrobiła się *bestya?*

— Sen mara — rzekłem powstając — a dzień dobry dobrodziejom.

Niewspominając o snach, nieco zawstydzeni, oddali mi pozdrowienie, i — na co wola? — zapytali — na piwko? czy na kawę?

— *Et haec facienda*, *et illa non omittenda* — odpowiedziałem — można jedno drugiém zapić.

— Wyśmienicie! Obu nam zrobisz łaskę. Bo widzisz jegomość — mówił rezydent — obadwaj w rannym posiłku żywimy się *de propriis.* Niéma kawiarni wspólnéj, jak dawniéj; więc pan Sebastyan, większéj odemnie *substancyi*, kupuje sobie kawkę, a ja *cerevisiam* popijam.

Po śniadaniu takowém podwójném, wyszliśmy na przechadzkę po dworze.

O Boże! jakaż to ruina i pustki! jaka różnica od tego, co dawniéj było!

— Musiała i tu być szarańcza francuzka — rzekłem.

— Nie. My sami tak pięknie wszystko to urządzili, a zaczęli zacni jaśnie wielmożni opiekunowie. Poszły świdrem i dostatki i fortunki ojcowskie, a synek bogatego pana będzie mógł wkrótce powiedzieć:

Chodziłem niegdyś strojno, a teraz obdarty.
Trzy rzeczy mnie zgubiły: Venus, wino, karty (*).

(*) Dawne wierszyki z przestrogą młodym mawiane. *N. w.*

— Oh! niech go Bóg od ostatniéj ruiny zachowa, bobym tego nie przeżył!

— I ja także — dodał rezydent, a oba z łez oczy otarli.

— Teraz — mówił daléj marszałek — do towarzystwa Wenery, Bachusa i Faraona, przybył Mars. Nie wiém, czy on nam pomoże? chyba że panicz nasz miał go w swoim *horoskopie*: bo jeżeli rodził się pod tym *planetą*, a w *Zodyaku* miał *Lwa*...

— A dajże wasan temu pokój! — przerwał niecierpliwie chorąży — dajże wasan temu pokój! Nie może być inaczéj, jak jest. Czy tam nie pisze, że gdy „*smok wielki rydzy*, *pozrze dziécko niewiasty* (*), „*natenczas upadną wszyscy mocarze*, *i bogacze tego świata.*“ Więc i upadają bogacze, a między niemi i starościc. Bo mogę dowieść jak na dłoni, że *smok rydzy* znaczy....

— A niech cię kaduk porwie i z twoim *smokiem rydzym!* — wrzasnął zniecierpliwiony marszałek.

— Niech ciebie porwie z twemi *horoskopami* — wrzasnął wzajemnie rezydent — bo to, prawdę mówiąc, *magią* pachnie.

— Dajcie pokój dobrodzieje temu wszystkiemu — rzekłem. — Ot woléj powiedzcie mi i pokażcie czyli dawna kaplica piękna stoi jeszcze? i czy nie zrujnowana tak, jako i wszystko, co tu widzę?

— O nie, chwała Bogu, nie! — odpowiedział marszałek — obaj my z kochanym chorążym jesteśmy zakrystyanami téj świątyni Pańskiéj, i z ostatniego ważym na jéj utrzymanie. Co niedziela, moich parę kuców posyłam po księdza, i mamy mszę świętą, do któréj kolejką jeden z nas służy. Ludek prosty i kilku starych sług, którzy nam dotrzymują w tém życiu kroku, gromadzi się natenczas około nas, i

---

(*) *Ibidem Apocalipsis.*

razem chwalimy Boga, a modlim się za dusze naszych panów i dobrodziejów.

— Tak, tak — dodał kolega — póki żyjem z kochanym marszałkiem, nie dam upaść temu Domowi Bożemu.

— Jaka przykładna jedność około chwały Bożéj — rzekłem — a w innych materyach...

— Cóż robić? — przerwał marszałek — Jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy.... a drudzy — mówił, patrzając z ukosa na rezydenta — a drudzy, *Boże odpuść!!!*

— O to to to to to — przerwał znowu rezydent — jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy — rzucając także z ukosa okiem na marszałka — a drudzy.... *Jezu mój Panie!!!*

Obejrzeliśmy kościołek, pomodliliśmy się; a tymczasem wstał półkownik i wyszedł na ganek z fajką na sążniowym cybuchu, i z bursztynem, którego gęba objąć nie mogła; a za nim kilku wczorajszych adherentów.

— Dzień-dobry! — zawołał on, postrzegłszy mnie. — A chodź-no tu, księże kwestarzu!

Podszedłem do ganku, oddałem pokłon, i postrzegłem, że starościc blady, smutny, jakby niewyspany, czy chory. Jakaś mię troskliwość o niego przejęła. Stanął mi on na pamięć w maluczkiéj dziecinie. Pożałowałem go. Dla czegoż biédny został wcześnie sierotą? Słowem, sam nie wiém dla czego zapytałem; — Czy nie chory JW. pan?

— Dla czego?

— Bo cóś mi się bladym i zmienionym wydajesz, dobrodzieju.

— W rzeczy saméj — rzekł on — jestem słabym. — Nie spałem, a raczéj sen mię bardziéj udręczył,

niżby wzmocnił. Może wino, może twoje zjawienie się tutaj, było tego przyczyną, a może to oboje razem. Ledwom zamrużył oczy, wnet jakieś marzenia napastować mię zaczęły. Widziałem potém siebie w jakiéjś przepaści. Węże koło mnie, straszydła jakieś, mary.... Zrywałem się, odcykałem i znowu zasypiałem. Płynąłem potém po jakiémś morzu, łodź pękła — potonąłem, ale się nie utopiłem. Żyłem na dnie morza jak w krysztale, widziałem daleko i széroko... Tysiące, krocie, miliony postaci rozmaitych, białych, szarych, przezroczystych, mętnych, ogarnęły mię, snuły się koło mnie, jawiły się tłumami jak pokusy i nikły w głębinach. Z niemi i ja unosiłem się miotany na falach; pogrążałem się i wybijałem na wierzch; chwytałem się rąk podawanych mi jakby dla ratunku, ale te ręce były z piany. Cały świat, cały Paryż, wszyscy i wszystko, co gdziekolwiek i kiedykolwiek widziałem, zalewało mię, dusiło jak topielca, i niknąc znowu z odbiegającemi wałami, na chwilę wolnie oddychać mi dozwalało.... Ocknąłem się nakoniec; a chociaż przez sen byłem w wodzie, na jawie jednak (i jakaż to jawa?) głowa mi pałała, a piersi jakbyś kamieniem przycisnął. Oczu otworzyć nie mogłem; i lubo ocucić się zupełnie, wstać i otrząść się z tego dręczącego marzenia chciałem, naprożno jednak. Znowu marzyć zacząłem. Jakiś kościół ogromny a ciemny. Ja w nim sam jeden... a jednak słyszałem około siebie jakieś szepty głuche, mrówiem mię przejmujące.... Dzwony potém się odezwały, kościół się blado oświecał... mogłem rozpoznawać co się działo.... organ zabrzmiał *Dies irae* czy *De profundis*, tak mi się przynajmniéj natenczas wydawało, i przy każdéj kolumnie kościelnéj ujrzałem białe marmurowe posągi, a przy dwóch mnie najbliższych, poznałem ojca i matkę moję. Chciałem biedz ku nim, ale, jak przykuty, ruszyć się z miejsca nie mogłem; ręce

tylko ku nim wyciągałem. Przy innych kolumnach stały także posągi; między niemi byłeś i ty, kwestarzu, jak *Pastor bonus*, trzymając baranka na ramionach; był i dawny mój nauczyciel ks. Joachim. Oczy wszystkich, a szczególniéj rodziców moich, ogniem pałały... Okropny był stan mój!... Nakoniec w takiém martwém otrętwieniu zdawało mi się, że sam stygnę i na środku kościoła kamienieję.... Pod dzień spokojniéj zasnąłem.

— Dziwny sen, panie! — rzekłem, sam nad nim rozmyślając — dziwny sen!... Któż wié, czy nie nauka?

Starościc stał zadumany.

— A nauka — odezwał się wczorajszy kropiący jegomość — nauka, że mieszać trunków nie należy. Szampańskie szumi, a węgierskie rzuca. Pan zaś wczora po odejściu kwestarza, piłeś jedno i drugie, jak gdybyś gwałtem rozum i pamięć utopić pragnął. Dla tego we śnie utopiłeś się w morzu szumiącém, a węgrzyn rzucał cię na falach. Cha! cha! cha! czy źle sny tłómaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.

— A więc może dobrodziéj i mój sen dzisiejszy wytłómaczysz, bo także dziwny.

— Jakto? i ty także śniłeś? — odezwał się starościc?

— Tak — rzekłem — a nawet sen mój ma niejakąś *konjunkcyę* z pańskim.

— Mów — odezwali się wszyscy. — Słuchamy!

— Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem? nie wiém; i nie będę opisywał ichmościom wszystkiego, com tam widział: bo sami z czasem tam dostaniecie się i zlustrujecie wszystko należycie.

— A zkąd ta pewność, popie — przerwał tłómacz snów — że my tam będziemy?

— *Qualis vita, et mors ita.* Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że przeglądając

kotły, w których smażą się potępieńcy w smole, jak pampuszki w oleju, posłyszałem: — Bracie Michale! ratuj mnie! — Obejrzę się, kto tu mój znajomy? aż postrzegam mojego kochanego starostę, ojca pańskiego. Siedzi po szyję w smole; a francuz, dyrektor niegdyś pański, który w piekle funkcyę pieczurnika spełnia, poddmucha ogień, szumuje żelazną stągwią warzącą się smołę, jak kuchcik garnki na kuchni, i urąga się JW. staroście. — Ach dobrodzieju! — rzekłem — *ex inferno nulla redemptio!* Cóż ja tu dopomogę? Ale za jakież grzechy tak cnotliwy pan poszedłeś na potępienie?

— Za syna mojego tak pokutuję — odpowiedział mi żałośliwie. — On mię tu wsadził, za to najbardziéj, że zaniechawszy rad i przestrog poczciwych ludzi i kapłanów, dałem mu w młodych jego latach za *preceptora* tego wcielonego szatana, który mię teraz dręczy, a który zepsuł jego serce i założył w niém fundamenta złego. A oto obok siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem umierając dziecko moje, a którzy zawiedli moje zaufanie, z fortunki mojéj korzystali, a syna mego zaniedbując, dozwolili mu napawać się trucizną dzisiejszéj na świecie panującéj bezbożności. Oj, takich opiekunów jest tu moc nieprzeliczona, i codzień przybywają. Cokolwiek więc on teraz zbroi albo zbluźni, spada to wszystko na moję i na ich głowy; a tak zamiast kropel ochłody, któreby mnie z jego cnót spływały, dolewa on mnie codzień po garncu gorącéj smoły....

— Łżesz! księże! — przerwał mi półkownik, rzucając fajkę — kłamiesz niedorzecznie! Ojciec mój tak poczciwy człowiek, że pewnie w niebie.

— Czy tak? w niebie? A więc miał duszę!... *Sequitur*, dobrodzieju!....

— Żeś wygrał zakład — przerwał uspakajając się starościc i uśmiechając się. — Chętnie ci zapłacę przegranę.

— Brawo kwestarz!— zawołali towarzysze— brawo!

— Ale to mało na tém, dobrodzieje! Także kto ma duszę, a duszę dobrą i poczciwą, ten obdarzy kwestarza; a kto jéj nie ma, niech nic nie daje, bo od bydląt nie biorę.

Spójrzeli po sobie wszyscy, rozśmieli się, i każdy do kieski. Starościc dukatów dziesięć, a ci ichmość po kilka złożyli, i tak od razu zebrała się sumka, z którą bez dalszéj kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym żegnał starościca, rzekł on mi: — Bracie kwestarzu! nie zapomnę twéj tu bytności... z wielu przyczyn i względów.... Jeżeli mnie kule oszczędzą, (bo nie myśl, ażebym moję wojskowość tu przy kielichu odbywał), powróć kiedyś do mnie. Wszystko się jeszcze odmienić i... poprawić może.... Bóg nam natenczas inne sny.... pomyślniejsze zapewne zesłać raczy....

Podniosłem oczy i ręce w niebiosa. On się odwrócił i śpiesznie odszedł.

Pożegnałem potém poczciwych, a po części zdziecinniałych moich staruszków. Marszałek dał mi z dawnych swoich zapasów flaszkę wybornéj gorzałki, a rezydent ze swéj partykularnéj spiżarni, szczupaka wędzonego na zakąski, i ruszyłem, zawracając się ku domowi.

ŁOSTAJE. (*)

XXXIV.

Zakopałem znowu moje złotko i ruble w tabace głęboko, nauczony niedawną *experiencyą*, że nosy maroderów na tabakę se bon! ale kruszcu pod nią zwietrzyć nie mogą; i włokłem się, zbliżając się codzień do Bienicy. Baranów zebrało się kilkanaście, i miałem nadzieję dostawić ich w całości księdzu *professorowi Infimy*.

Jużem się pod *Krewo* podbierał, i wyjechałem w lesne i pagórkowate okolice, między któremi i samo *Krewo* sytuowane, gdy postrzegłem po wzgórkach i dolinach narzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektóremi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie, mniejsze od pańskich, większe od okolicznéj szlachty, z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wieżyczką cienką. Zdziwiłem się jednak, że i kapliczka i wieżyczka bez krzyża.

(*) Nazwisko okolicy kraju w powiecie Oszmiańskim, zamieszkanéj przez Tatarów.

— Już blizko Bienica,— rzekł Jaś wiozący mnie— tylko półtory mili. To *Łostaje*.

— A cóż to za *Łostaje*?

— Tu na *Łostai* mieszkają *Tatary*. Oto dworek pana rotmistrza *Ułana*, tamten pana porucznika *Baranowskiego*, tamten przy meczecie, to ich *Mołny*, a ten przy naszéj drodze, to największego ich Murzy, majora *Amurata Bielaka*. My tu często bywało z tatulą na robocie rymarskiéj bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha!— pomyśliłem sobie— więc niéma po co do muzułmanów zajeżdżać. Mijaj— rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy więc dworek pana *Amurata*, gdy on sam powracając z pola spotkał nas przed swojemi wrotami, i — stój! — zawołał.

— Niech będzie... upadam do nóg! — zacząłem z nałogu, dokończyłem postrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam uniżenie!— odpowiedział uśmiechając się.— A dla czegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? boś pewnie z Bienicy.

— Spieszę — rzekłem — do klasztoru.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że muzułman zamknie ci wrota, albo powié; *fora ze dwora!* A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzim się o wiarę, a na tym żyjmy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojéj *Witołdówki*, a obaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

Hora canonica zbliżała się, wzmógł się apetyt, a jak na licho, lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to tam u nich i młoda źrzebięcinka uchodzi podobno; ale jednak nie bardzo temu wierząc, i szczéremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota.

Sam pan Amurat, lat z górą pięćdziesiąt mieć mogący, łysy jest, ale wąs ma zawiesisty, i nie po dworsku zakręcony i gumowany, a suty, siwy i obwisły, że mu aż gębę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za széroka, wydaje jego *progeniturę*. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

— Hej *Ajeszko!*— zawołał wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jubce tarletanowéj młoda *et quidem* jak na tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, postrzegłszy mnie.

— Oto moja jedynaczka— rzekł pan major.— Nie lękaj się, córko! Mamy widzisz gościa, więc drugą kopę kołdunów wsyp do rądla. A tymczasem napijem się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu! ale o wódeczce w Alkoranie *cyt!* A zatém my winu dajem *kwit*, a *wódeczkę* i *luleczkę* ciągniem sobie po troszeczkę. Proszę na tę stronę do mojéj izby, bo tam po waszemu *klauzura*, a po naszemu *harem*.

— Jakto? — zapytałem — więc jegomość utrzymujesz seraj?

— Oho! przeląkłeś się! A gdybym i utrzymywał, co waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokój się? my doświadczyliśmy, że z jedną kobiétą często trudno dójść ładu, a cóż dopiero gdyby ich mieć tuzin! Tam stancya mojéj córki i nic więcéj; a jam wdowiec.

Weszliśmy więc do izby pana *Amurata*. Piérwsza obszerna; stół dębowy na środku, zédle naokoło. Druga maleńka, tam łóżko i na ścianie wojenny rynsztunek pana majora. Między tym zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co? kwestarzu! dziwisz się broni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, *Kara Mirzy*, który długo wojując z Litwą, nako-

niec gdy w bitwie jednéj dowodził przeciw księciu Witołdowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swéj ordy w niewolę. Poosadzał ich miłościwy ten książe a waleczny rycerz, w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a *Kara Mirza*, nasz przodek, dostał tu na *Łostai* ziemię. I książę nazwał go *Bielakiem* naprzeciw imienia *Kara*, co znaczy w naszym języku *Czarny*. (*) Służył mu potém *Bielak* w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno to już było, panie bracie, bo przed laty cztérysta, a może i więcéj, plemie tatarskie rozmnożyło się na Litwie, i zawsze poczciwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku, dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i łuk ten jego. Z głowy na głowę, dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi, ani łuku żaden Bielak za miliony nie odda; a choć który zholeje, to składamy z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wpuścić cudzego *intruza* między nas. Gospodarstwo u nas nie wielkie; często na *Bejram* ostatnia idzie pod nóż krowa; ale za to do *korda* każdy gracz; do trzeciego tatarowi nie gadaj; każdy od młodości prochu powąchał, a tchórza i piecucha z tureckim abszytem wypędzilibyśmy z *Łostaj;* i żadna tatarka nie poszłaby do jego *haremu*, to się rozumié, nie wzięłaby go za męża.

Przy tym rozhoworze, pan major dostał flaszkę z policy, i — do wasana — rzekł, nalewając sobie spory kieliszek; a wychyliwszy do dna i ocierając wąsy, rzekł: — *Tacto pectore* upewniam cię, że wyśmienita!

— *Tacto pectore!* a to co? — rzekłem zdziwiony — skąd ta łacina?

— Z ust szlacheckich, mospanie! bo chociaż w szkole nie bywałem, rózgi nie widziałem, ale przysłowiów poczciwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy

(*) Podanie.

się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy położywszy rękę na sercu powiedział tatar litewski: *tacto pectore!* to jakby na głowę *Mahometa* przysiągł. Nie chlubiąc się, krew ich i we mnie płynie. Jestem synem jenerała Bielaka, którego znała cała Litwa... Dźgnij zatém bracie kwestarzu! bo przez ścianę słyszę, że wrą kołduny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna *Ajesza* z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła runtową misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiedliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego, rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kołduny! Odjeść się i odchwalić się ich nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła, i popiliśmy dla *konkokcyi* wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu pó swojemu; pan major jakby tego nie widział: potém i jemu samemu; a po takim bankiecie, nie długo czekając, poszliśmy oba spać do odryny, i już słońce dobrze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na piérwszą znajomość.

— A więc tu na Łostai nie widzieliście maroderów francuzkich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! jakto? tak blizko traktu żyjemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witołdówce dawnych znajomych, bo poznałem się z Francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest, trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście; codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie.

Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu! w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków, z czém kto miał: z fuzyą, z siekierą, choćby z dobrym kijem. Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielęcinkami. Gdy weszli w ulicę, postrzegli nas na dziedzińcu — zastanowili się. Patrzaliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali; a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę co widzisz wygrodzoną ulicę, i pominą moję zasadzkę w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i kupno ruszyli ku nam.

— Wzajemnie zakomenderowałem: — *Dubeltówki z ramienia!* — i maszerowałem ku nim.

— *Russ?* — zawołali oni, podnosząc karabiny.

— *Tartar!* — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisiały u nas na temlakach na rękach.

— Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i *hojże* ku nim! Razem gwiznąłem przeraźliwie, i rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów, albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: — *Pardon!* albo *caput!* — a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula mu byłaby w sercu.... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się, i batalia wygrana. Zabraliśmy cały oboz i broń, i samych rycerzy dostawiłem do *Oszmiany*. Rabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potém jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięzko wyszliśmy. W jednym z nich, moją damascenką uciąłem dwa bagnety, jakby świeczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie, i dla waści księżulu, bo ci barana dać mogę.

Jakoż i dał.

— A pokaż-no, dobrodzieju — rzekłem wróciwszy do izby, gdy nam panna *Ajesza* kawę podała — ową *damascenkę*, którą bagnety jak świeczki rozcinasz.

— Zkądże ta Bernardynowi *sympatia* do pałasza?

— Aj, bo go niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

Oto go masz — rzekł, zdejmując z kołka i obnażając z pochwy. — To moja sukcessya po ojcu generale Bielaku. Wart być obok łuku *Kara Mirzy*, bo był w ręku nieodrodnego odeń potomka.

— Prawda — rzekłem — klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdyment nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział *Amurat* — takie pałasze nosim przy boku, i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzałem mu w oczy, które się nagle zapłomieniły, i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to *klinga!* Szlachecka mowa i głowa — to *furdyment!*

Wtém *Mołna* zaryczał na meczecie; pan *Amurat* szedł na modlitwę; i pożegnaliśmy się *ad felix videndum!*

ELŻUTKA.

XXXV.

Szło pod zachód słońca, gdym się wybrał od tego zacnego muzułmana. — Półtory mili przebędę łatwo — myśliłem sobie — jedna tylko ciężka będzie rappa, to

jest, kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam se bon kamrat! to jedna chwila, całéj kwesty, a szczególniéj baranów, pozbawić mię może. Co do złotka — myślałem — zjedzą djabła.

Powstając więc coraz na kałamaszcze, rozpatrywałem się pilnie na wszystkie strony, jak żóraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopułkę kościoła Bienickiego. Chwałaż Bogu! Podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę... aż tu z niéj jak wysypie się kilkunastu kamratów— bądźcież zdrowe barany!!!

Jakoż wnet w moich oczach, prewodyr i kilka przy nim legło na placu pod bagnetami tych rycerzy. Poczciwy baranisko! przyzwyczaiłem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go *Jonasz*. Zabeczał biédny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następcom pięknie ułożonych prewodyrów, i częstokroć to tylko jedni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali, i jedni, których żałowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i mnie do pustéj stodoły, a tam nastąpiła rewizya kałamaszki, a potém i mnie samego.

— *Latrones estis!*— krzyczałem; ale ci, zapalczywsi od pierwszych, tuzali mnie bez ceremonii. Pozbyłem kapelusza, paska, nawet i botów.— Dobrze mi tak— pomyśliłem— a czemu podług reguły, nie noszę trepków?

Inni łupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

— Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas niejaki, rozśmiał się, i klapiąc po ramieniu, zawołał:— A kamrat! Vilna Osmana — słowem, pokazywał, że mnie zna.

— Ha! pomyśliłem znowu — ponieważ to jeden z moich dawnych przyjaciół, więc mnie przecię zaproteguje.— Uścisnąłem go z affektem, i on mnie.

Potém prawił im widać historyę naszéj wędrówki i popasu w *Miednikach*. Słuchali, uśmiechali się, ruszali ramionami. Nakoniec jakby przypomniał rzecz ważną zacny *narrator*, odwrócił się nagle do mnie i krzyknął: — Kamrat! tobak!

Zmieszałem się. Poznał francuzisko mój kłopot; szust rękę do mojéj kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował wszystkich i mnie samego, a potém *Herod* postawił swój kaszkiet na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki, i kilka rubelków wysypało się.... *Obstupuerunt* łotry, a ja z biédną miną stałem jak *delinkwent*.

Wnet łapczywie rzucili się na złoto; ale wynalazca téj *minery* przystąpił do sprawiedliwego podziału: sobie wziął za piekne odkrycie dwa czérwone złote, a każdemu dał po jednym: gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie pytając się na migach, wiele rubli za dukat należy. Po takiéj dzielance, która spokojnie i przystojnie odbyła się, zebrał szkrupulatnie tabakę do tabakierki i mnie oddał.— Bon! bon! se bon kamrat!

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacya skończyła, i jeszcze nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego obłowu, gdy tentent koni dał się słyszeć na dworze i — stój! — zawołał głos mocny. Wybiegli Francuzi i ja z nimi. Kilkadziesiąt koni ułanów i oficer na ich czele zatrzymało się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francuzku. Cóś mu odpowiedzieli. A on do swoich: — To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans— marodery i rabusie, otoczyć ich!

W mgnieniu oka rozkaz ten spełniony. Już nawet nie mogli wrócić do stodoły, gdzie gdyby broni dopadli, pewnieby wydali batalię, miarkując po ich złości, dąsaniach się i przekleństwach.

— A co tu między maroderami robisz? księże Bernardynie, czy rabujesz razem z niemi?

— Owszem, dobrodzieju! jestem zrabowany przez nich. Ubogi kwestarz z klasztoru Bienickiego, który oto postrzegasz dobrodziéj przed sobą. Jeździłem po świecie, aby cóś zebrać na ogłodzony nasz konwent; jakoż Pan Bóg pobłogosławił, i z kilkanaście baranów, a najbardziéj kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mię ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goły i bosy, bo mi i bóty zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.

— Krzyknął jak lew rozjuszony na Francuzów oficer, że aż ja zadrżałem; a gdy ci krnąbrnie cóś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew, i kiedy nie zacznie okładać płazem bez różnicy którego napadł, jak huknie na ułanów, a ci w toż samo.... Widzą rabusie, że kuso koło nich.— *Pardon! pardon!*— zaczęli wołać i składali oficerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie?— zapytał on, oddając mi garść złota.

— Zapewne wszystkie — odpowiedziałem nie licząc — bo Bóg tam z niemi nareszcie.

— Nie wszystkie— rzekł on— bo oto masz jeszcze jednego — dając mi własnego czerwieńca *cum effigie Bonapartego.*

— *Deus te benedicat!* młodzieńcze!— zawołałem.— I tę twoję własną ofertę, i zebraną od ludzi dobroczynnych, już teraz mam z twojéj łaski. Modlić się gorąco będziemy do Boga za twoję fortunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas.

— Mam też w *marszrucie* — odpowiedział — nocleg zapisany w Bienicy, więc ochotnie twe zaproszenie przyjmuję, i ruszajmy,— Chłopcy! kilku z kǫni! po-

składać porznięte barany na furgony. Odwieziemy je do klasztoru, a ojcowie i dla nas nie pożałują jednego na wieczerzę.

— Z całego serca, i na wieczerzę i na drogę. Ale ja mam i moję kałamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje; więc teraz powracając do mojéj własności, dowiozę na niéj pobite moje barany do klasztoru, nie obciążając pańskich bagażów.

— I owszem— rzekł oficer.— A teraz zabrać broń maroderów, ich wziąć we środek; a jeżeliby który się upierał, płazem! choć nie szkodziłoby i rębem; tylko że ja mojéj *Elżutki* nie chcę poniewierać na szyjach tych podłych rabusiów, niegodnych imienia żołnierzy.— I schował szablę do pochew.

Elżutka! cóś mi przebiegło po głowie jak błyskawica. *Elżutka!* Spójrzałem na tę szablę — osada staroświecka.... zdaje mi się znajoma. Spójrzałem na samego oficera — twarz młoda, przystojna, ale także jakbym go gdzieś widział, albo podobnego jemu.

Tymczasem Francuzi mrucząc wkładali swoje cielęcinki, a ułani przypędzali ich grzecznie płazami.

— Dla czego się we mnie tak wpatrujesz? księże kwestarzu! — zapytał oficer.

— Daruj— rzekłem nieśmiało i drżącym od jakiegoś nieznanego mi dotąd wzruszenia głosem — daruj, zacny wojowniku, że się zapytam: czyli to twoję szablę nazywasz *Elżutką?* i jeżeli tak, od kogo ją masz?

— Tak— rzekł— to moja żonka *Elżutka,* a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci; strzeże pilnie mego zdrowia, życia i nieraz mi już to oboje uratowała. A zaręczył mię z nią ojciec mój; bratu memu starszemu dał za przyjaciela i *sekundanta Harasima,* mnie za towarzyszkę *Elżutkę.*

— To więc ty jesteś — mówiłem, patrząc nań łzą zabiegłém a niepewném jeszcze okiem — to więc ty jesteś Władyś *Swieboda,* syn *Stanisława!!!*

— Zkąd mię znasz? księże! co to znaczy?— I zsiadł z konia.

— Na ręku cię mojém nosiłem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca twojego za jego życia, modlę się codzień za jego duszę po śmierci. Tę szablę jam mu odesłał na pamiątkę, sam wdziewając ubogą zakonną sukienkę....

— A więc ty jesteś *Michał Ławrynowicz!* — zawołał on.— Tak! przypominam cię jak przez sen!... Tyś towarzysz młodości ojca naszego.... o którym tylekroć nam rozpowiadał, którego kochał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze... a oddając mi nawet tę szablę i wyprawując na świat z błogosławieństwem rodzicielskiém i łzami, jeszcze cię wspomniał!... A więc to ty jesteś?

— Ja! — rzekłem — ja sam!...

Młodzieniec rzucił się w moje objęcie.

Koniec Rękopismu Kwestarza.

PRZYPISY DO ROZDZIAŁU XV.

O WOŁODKOWICZU.

Przypisy do Rozdziału XV. str. 129 i t. d. o Wołodkowiczu.

Dekret Trybunału Kadencyi Ruskiéj w Mińsku na Michała Wołodkowicza, z rękopisu współczesnego.

Z Protokułu. Dnia 12 februaryi 1760 JW. Jpan Michał Wołodkowicz sędzia i podskarbi trybunału Gł. W. X. L. *convellendo* prawo statutowe W. X. L. *et correcturam jurium, quam strictissime auctoritatem et securitatem subseliorum, a praecipue supremi subselii* Trybunału Gł. W. X. L. ubezpieczające, *illicito ausu* na dniu pierwszym februaryi *anni praesentis,* w czasie agitujących się sądów, *ad occlusum conclave* na sądach poobiednich wszedłszy i tam wszystkich na namowie zostających znalazłszy, najprzód stoły w Izbie sądowéj rąbać, *denique* świéce w lichtarzach stojące ważył się, *insuper* jeszcze, krzyż na stole marszałkowskim rąbać *intendebat.* W czasie któréj *tranzakcyi* gdy JWWpanowie sędziowie trybunału perswadować zaczęli, aby *honestatem* zachował, tedy JWpan Wołodkowicz *vexando* wszyst-

kich sędziów *laesivis verbis*, perswadującego JW. Dłuskiego deputata Lidzkiego szablą w rękę zaciął, a przez to *publicam tranquilitatem violavit.* Za czém *Judicium*, *per eandem inconvenientiam* tegoż JWpana Wołodkowicza od *funkcyi* deputackiéj i od podskarbstwa Trybunału Gł. W. X. L. odsądza, a oraz *ne ulteriora scelera multiplicentur*, *perveniendo publicae* tak JWW. sędziów trybunału, jako też wszystkich *sub securitate judiciorum* znajdujących się *tranquillitati*, *denique inhaerendo* prawu statutowemu W. X. L. Art. 9go z Rozdziału 1go i Art. 10 z Rozdziału tegoż 1go korrekturze *jurium* i dalszym prawom *de violatoribus* opisującym tegoż JP. Wołodkowicza *in poenam colli decidendo*, ażeby tenże JW. Wołodkowicz przez żołnierzy trybunałowi assystujących *in spatio tridui* był rozstrzelanym, dekretuje. A *tantisper* niżeli exekucya *praesentis decreti succedet*, ażeby *quam strictissime* był opatrzony, JP. rotmistrzowi trybunalskiemu *praecommittit.*

Notacya w tymże rękopisie. Roku 1760 12 februaryi. Za laski JW. JP. Michała Sapiehy krajczego i marszałka trybunału W. X. L. a vicemarszałkowstwa JW. Morykoniego deputata wiłkomirskiego, za uderzenie w zawartém kole JP. vicemarszałka i cięcie JP. Józefa Dłuskiego deputata lidzkiego; WJP. Michała Wołodkowicza deputata mińskiego i podskarbiego trybunału W. X. L. w kilka dni po uczynionéj akcyi będącego na sądach przez tegoż deputata lidzkiego do sądu wniesiono: najprzód dekret z przydaniem warty temuż JP. Wołodkowiczowi, który wraz został wzięty od warty trybunalskiéj, potém w kilka godzin dekret *poenam colli*, aby był rozstrzelanym *in spatio tridui:* jakoż wziętego z wieczora przed szóstą

godziną, w kordygardzie z północy o godzinie w pół do trzeciéj tegoż dnia przez żołnierzy został rozstrzelanym, wieku swojego mając lat 24 lub 25, zostawiwszy brata rodzonego JP. Józefa Wołodkowicza wojskowicza mińskiego. Ta akcya niepraktykowana w W. X. L. stała się w Mińsku.

LISTY W TEJŻE MATERYI, Z INNEGO ÓWCZESNEGO RĘKOPISU.

Kopia listu JWpana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do JO. księcia wojewody wileńskiego hetmana W. X. L. z Bychowa.

Namiestnicza Jego królewskiéj mości władza, w nim pański honor jakową świeżą doznał obelgę, prowincya nasza zadziwić się musi, kiedy ta ważna magistratura, przed którą najwyższych familij i domów drżać musiały imiona, zuchwały *ausus* JP. Wołodkowicza kollegi naszego zgwałcił i znieważył. Partykularniejsze dawniéj zwady i nieuszanowania Izby sądowéj przez tegoż jegomości czynione łagodnie umarzałem, i skombinowania *dabantur* sposoby. Ale sędziów na namowie siedzących zbrojną ręką nachodzić, deputatów porąbać, nie jest to partykularnéj osoby, ale Jego królewskiéj mości *despect*, *crimen status* i honoru mego *contempt:* Co wszystko iż exemplarną wyciąga karę do Waszéj książęcéj mości, jako *ad custodem legum* prześwietny ucieka się trybunał, wraz ze mną prosząc, gdybyś W. X. Mość wynalazł środek i sposoby satysfakcyi trybunałowi, kiedyś na rekwizycyą J. K. Mości wartę trybunalską nie wzmocnił. W czém oczekując W. X. Mści rezolucyi, z najgłębszém uszanowaniem pisze się.
Dnia 10 februaryi 1760.

Kopia listu JO. księcia hetmana W. X. Lit. do JW. vicemarszałka trybunału Gł. W. X. L. dnia 12 februaryi 1760 r. z Nieświża.

Z wielkiém nieukontentowaniem odbieram od Wpana wiadomość niegodziwéj akcyi Jpana Wołodkowicza, a z umartwieniem czytam wyrażenie sprawiedliwego żalu jego, z zaszłego i najwyższych tych sądów, i samego Wpana pokrzywdzenia, które jako *meretur* sąd i karę, tak *quid juris est*, *et justitia potest*, czynić przynależy. Ja się w to mięszać nie będę, ani ochraniać zechcę jako przyjaciela mego JP. Wołodkowicza: bo każdego natenczas mam i wzajemną serca przychylnością *prosequor*, kiedy się zachowuje *in orbita* wszelkich *moderacyj* i chwalebnych postępków; każdego zaś sądzę być nieprzyjacielem moim, kiedy *temerarie* waży się gwałcić prawa i grzeszyć przeciwko słuszności, ani się może natenczas pomocy i ochrony mojéj spodziewać. W téj rzetelności sentymentów zostawam *corde tenerrimo* etc.

Kopia tegoż listu JWpana marszałka trybunału do JW. Mniszcha marszałka nadwornego koronnego, dnia 10 februaryi 1760 r. z Bychowa.

Zważając rozpoczętego trybunału w Wilnie *progressa*, i dziejących się pod trybunałem *violencyj* i *excessów*, z ubliżeniem namiestniczéj Jego Królewskiéj Mości władzy, która dla małéj i szczupłéj warty, powagi nie miała, a obawiając się jeszcze gorszéj *sekwencyi* na kadencyi ruskiéj, z *przezornéj myśli* upraszałem Jego Królewskiéj Mości pana miłościwego, gdyby wartę naszę trybunalską wzmocnić kazał, i do JO. księcia jegomości wojewody wileńskiego, hetmana W. litewskiego, zalecając

straż powagi sądowéj, pisał. Co gdy się stało, ci, którzy dalsze *excessa* dopełniać byli w zamiarze, *reprezentowali* JO. księciu hetmanowi, iż moje takowego ordynansu u najłaskawszego pana uproszenie na to tylko zmierzało, żeby podać w *inwidyę* władzę hetmańską, a przykrość uczynić przyjaciołom. Daremniem *explikował* się z tego i przytaczał, że w Koronie gwardya assystuje trybunałom; coraz zawikłańsze wynajdowano *explikacye*, a tak wola pańska skutku nie wzięła, i trybunał *dolende* wzmocnienia nie otrzymał warty.

Porywczy do gwałtów Jmść pan Wołodkowicz deputat miński, gdy na ustępie byli kolledzy jego, on zagrzawszy głowę, naszedł sądową izbę z dobytym pałaszem, sędziego lidzkiego *Dłuskiego* porąbał, a vice-marszałkowi *Morykoniemu* zelżywemi dostało się słowy.

Takowa niegodziwa obelga, pod żadnym nieznana słońcem, kary wziąść nie może, kiedy trybunał nie ma siły zuchwałego skarać człowieka, z przybraną tyranią na większe odważającego się *excessa*. Więc do Jego Królewskiéj Mości, jako *ad fontem suum*, ucieka się trybunał, prosząc, aby Jego Królewska Mość wynalazł sposób *brachio suo* otrzymania satysfakcyi z tak niebezpiecznego *kontemptu*, co jeśli pójdzie *inpune*, pewnie i strony sędziów znieważać zaczną, z poniżeniem tak poważnéj magistratury, którą dotąd *ob tremorem* obserwować najwyższéj dystynkcyi ludzie musieli. Odezwałem się w téj mierze do JO. księcia hetmana, i kopią aktu mego przyłączam. Będąc z dystyngwowaną *obserwancyą* etc.

Kopia listu JWpana podkanclerzego W. księstwa litewskiego do JWpana Mniszcha marszałka nadwornego koronnego z Bychowa ejusdem pisanego.

Świątnica sprawiedliwości, najwyższa Jego Królewskiéj Mości namiestnicza władza trybunału głównego W. X. L., który najmocniejszym w ojczyznie ludziom straszny, dla najzuchwalszych ogromny, *et saeculis* poważany, jakowy gwałt teraz ucierpiał, i w wielkiém dotąd jest niebezpieczeństwie, donosi JWpan marszałek tegoż trybunału, i szuka u Jego Królewskiéj Mości, jako najwyższéj głowy swojéj, zdania i rady. *Quo facto opus* zna każdy z nas (*) i wie, że takiego trybunału *oppressora* sądzić i karać należałoby. Ale szczupłe trybunału siły, *excessanta* zuchwałość i hajdamactwo, przy nim zgraja mięszająca się, czynić sprawiedliwości nie dozwala. Nie trzeba eksplikować JWpanu dobrodziejowi, jako w tém *laeditur* powaga Jego Królewskiéj Mości, jaka dla przyszłych trybunałów *konsekwencya*, jaka dla postronnych narodów ustawa pogorszająca rządów naszych, i jako *rigorose* to zgromić należy: bo wysokie sentymenta i *amor boni publici* zaszczepiony w JWpanu ma to w umyśle i oczach co sumienność każe, a praw utrzymanie utorowało drogę. Jednak, bym się nie zdał porywczym, zdałoby mi się, gdyby Jego Królewska Mość listem swoim do księcia jegomości hetmana ordynował, zalecając, ażeby wraz wartę trybunalską stem ludzi wzmocnił, a marszałka trybunału zobowiązał, żeby *irremissibiliter* JP. Wołodkowicza sądził *ad instantiam Instigatoris*. Lecz że *event* może być nieprzewidziany, więc Jego Królewska Mość mógłby

(*) Może to być domówka do Radziwiłłów.

listem swoim *intimować* instygatora W. X. L., jako w sprawie *laesi Regalis brachii,* i aby tę sprawę *ad ultimum juris gradum* tak w tym, jako i w przyszłych następujących trybunałach przeprowadził. Takowe wzięcie się za honor trybunału Jego Królewskiéj Mości uczyni impressyą w narodzie poszanowania trybunałów, powściągnie od podobnych złych akcyj *pro futuro,* zagęszczone hajdamactwa powstrzyma, i *tranquillitatem* przyniesie ojczyznie naszéj.

Kopia listu JWpana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do Jmćpana Morykoniego vicemarszałka tegoż trybunału.

Niesłychanéj odwagi *akcya* JP. Wołodkowicza jako jest kryminalnéj *importancyi*, bo *laedit* powagę Jego Królewskiéj Mości, znosi *Supremi Judicii* bezpieczeństwo, a przeto jest *crimen status.* Więc odezwałem się do Jego Królewskiéj Mości, jako do najwyższéj Trybunału głowy Pańskiéj, *exquirendo sentimenta.* I nim nastąpi w tym punkcie rezolucya, i nim sam zjadę do Mińska, w całym tym interesie wstrzymać się proszę i nic *cunctanter* nie czynić w téj sprawie, póki udysponowania się *modus non datur:* bo nie partykularnéj osobie stała się krzywda, ale honoru mego uszczerbek. Nie wątpię tedy, że W. pan całego trybunału piastując honor i powagę, *frivole* nie uczynisz kroku, któryby *vili passione* trybunału, a laski dyshonor przyniosł. O co W. pana *obtestando,* z wielką piszę się estymacyą etc.

— To, czegom się w opowiadaniach dziada mojego, naocznego świadka śmierci Wołodkowicza, nasłuchał, to, co się z powyższych aktów i listów wypisanych z ówczesnych pamiętników domowych, wyświéca, zgodném jest zupełnie z opowiadaniem Bielewicza.

Wypadek ten, jakkolwiek tyczący się losu jednéj tylko osoby, obojętnym jednak nie jest w dziejach kraju tego z ostatnich jego czasów, i za historyczny pod pewnym względem uważanym być może.

Ileż tu bowiem razem objawia się okoliczności i rysów charakterystycznych ludzi i wieku tamtego?

Sapieha niepewny, czyli w powszechnym nieładzie i ścieraniu się możnowładnych partyj dopiastuje spokojnie laskę swoję trybunalską, którą naprzekor Radziwiłłom potrafił osięgnąć; „*przezornéj myśli,*“ a może i z przekornéj myśli, uprasza króla o rozkaz hetmanowi Radziwiłłowi powiększenia warty trybunalskiéj.

Rozkaz ten dany od króla, ale go hetman nie spełnia. Bo jakżeby miał powiększać sam powagę współmagnata pragnącego zrównać mu w potędze, otaczając go świetną wojskową assystencyą, poniewoli odeń wymuszoną?

Niéma tu względu na niebezpieczeństwo najwyższéj w kraju magistratury i publiczne, bo też może nie było i bojaźni, by ono prawdziwie zakłóconém być mogło. Duma tylko, arystokracka zarozumiałość i chęć upokorzenia *Sapiehy* a przysporzenia mu kłopotu w sprawowaniu urzędu, powoduje Radziwiłła do nieposłuszeństwa królowi, a tém samém do podniesienia w oczach gminu potężnéj swéj władzy hetmańskiéj, którą tak troskliwie piastuje i chroni, że się lęka poddać „*w in-*

widyę powszechną," spełniając ordynans królewski. Przyczyna ta wszakże zręcznie wybraną i stosowną jest do panujących natenczas w narodzie wyobrażeń, i łamać się z nią Sapieha bez wydania na szwank swéj popularności nie mógłby.

Zatém rozpoczyna się kadencya ruska trybunału w Mińsku. W kole sędziów jest kreatura Radziwiłłowska: Michał Wołodkowicz wybrany deputatem z Mińska, zuchwały, w swawoli, gwałtach, pijatykach i hajdamactwach trawiący swe lata młode, sam dawnego i możnego w Litwie rodu, a związkami pokrewieństwa z takiemiż połączony, ale oddany całkiem domowi *Radziwiłłowskiemu*, gotowy na wszelkie skinienia książąt, zaufany w ich protekcyi, a zatém niepomyślny dla Sapiehy kolega.

Sapieha znowu, zapewne z *przezornéj myśli* zareassumowawszy trybunał, jedzie do domu. Zastępuje go w prezydencyi *Morykoni* vice-marszałek a deputat wiłkomirski. Nazwisko i cudzoziemski ród jego, lubo dawno w kraju zabyły, podnieca pychę rozhukanego śmiałka, niemogącego scierpieć, że siedzi niżéj od cudzoziemca, a co gorsza, że ten rozumem, znajomością prawa i roztropną stałością dostojnego i mądrego urzędnika przeważnie wpływa na zdanie kolegów i utrzymuje powagę trybunału, a upokarza Wołodkowicza napominkiem, przestrogą i samém nawet pobłażaniem jego swawoli.

W takim stanie rzeczy i rozdrażnienia, zdarza się sprawa jakiegoś koligata Wołodkowiczowskiego, w któréj wyrok, mimo próśb i gróźb jego, nie padł mu po myśli. Dotknięty do żywego, a podżegany w zawziętości i pijatyce przez dobraną hajdamaków drużynę, nachodzi on trybunał.... spełnia się szkaradny *exces!*

Wielkie i powszechne było wzruszenie umysłów,

wzbudzone niesłychanym dotąd takim wypadkiem. Występek główny i nadzwyczajny wymagał rychłéj i surowéj kary, bo targnął się na spokojność i bezpieczeństwo urzędu, piastującego własność i losy wszystkich, a co najgorsza, przykładem ośmielić mógł bezprawia i gwałty w kraju, w którym prawa codzień w swéj sile i powadze słabły.

Lecz z drugiéj strony, sama nadzwyczajność występku trudném czyniła zastosowanie kary, zwłaszcza nad człowiekiem, którego szérokie związki familijne, stosunki popularne, nakoniec protekcya domu Radziwiłłowskiego osłaniały. Targnąć się więc na to wszystko niełatwo było, a zatém i trudny środek pogodzenia tych wszystkich względów z prawem i sprawiedliwością.

Na taką próbę wydana *przezorna myśl* marszałka trybunału, nie mogła na rychłą i stanowczą zdobyć się determinacyę. *Sapieha* nie wie co począć? Zna, że obecność jego w takim razie konieczną jest na trybunale, lecz zna także, że przybywszy do Mińska, wnet cóś postanowić i działać potrzeba będzie. Nie jedzie więc, ale się wybiéra; zapowiada swą bytność Morykoniemu; zastrzega, aby on żadnego w téj sprawie *frivole* nie czynił kroku, nim sam nie zjedzie do Mińska i *nie wyexkwiruje* sentymentu Jego królewskiéj mości, do którego, jako *ad fontem* swéj sądowniczéj władzy, uczynił odezwę. Z kolei, wymówne napisawszy listy do *Mniszcha* marszałka nadwornego koronnego, do hetmana *Radziwilla*, któremu przy zręczności odmówkę warty wymawiając, winą *excessu* dotyka, umyślił *tandem* spocząć sobie po tak ciężkiéj listowania pracy i oczekiwać w Bychowie rezolucyów. A nuż zkądkolwiek nie przyjdzie sposób wywikłania się z téj biédy tak, aby i *kontempt* honoru jego, i prawo, i osobiste podległe okolicznościom czasu względy, zaspokojonemi być mogły.

Stary hetman Michał książę Radziwiłł dokonywał natenczas w Nieświżu wieku i niewojennego swego hetmaństwa.

Wieść wypadku w Mińsku, o mil kilkanaście od Nieświża odległego, wnet go doszła. Bo i stronnicy Wołodkowicza przylecieli doń szukać wsparcia i ratunku, i Morykoni napisał list, pragnąc wiedzieć myśli i zamiary księcia. Cnotliwy ten *pan*, jakkolwiek w powszechném otrętwieniu kraju nie był zdolnym do wzbudzenia w nim żywotnego ducha, słynął jednak ze sprawiedliwości i spokojnych cnot domowych, a nie nadużył nigdy na przemoc lub ucisk współbraci potężnéj przewagi, jaką mu, najpiérwsze w kraju hetmana wielkiego i wojewody wileńskiego dostojeństwa, oraz niezmierne bogactwa jednały; owszem, gromił często i surowo własnego syna *Karola*, natenczas miecznika litewskiego, nieunoszonéj młodości zapędy. I jeżeli, jako głowa najmożniejszego w Litwie rodu, wpływał na wewnętrzny obrót stronnictw i możnowładczych uporów, nie cierpiał jednak wyuzdanéj swawoli, ani ją kiedykolwiek ochraniał lub bronił. Występek więc *Wołodkowicza*, odezwy *Sapiehy* i *Morykoniego*, ucieczka nawet adherentów *excessanta* po jego opiekę, wszystko dało poznać hetmanowi, że powszechność i potomność imie Radziwiłła do wspomnienia Wołodkowicza przyłączy.

Zatrwożyła księcia ta myśl nienawistna. Prawe przekonanie, że w obu swoich urzędach jest stróżem bezpieczeństwa publicznego, wsparło to piérwsze wrażenie. Wyrzeka się więc wszelkich z winowajcą stosunków i odmawia stanowczo błaganego ratunku.

Nie wiémy czyli? i co? odpisał *Sapiezie; Morykoniemu* zaś odpowiada, że się mięszać w tę sprawę wcale nie będzie, i że *quod juris est et justitia posset,* czynić przynależy.

Uderzeni jak piorunem stronnicy Wołodkowicza tém postanowieniem ojca, pobiegli szukać skuteczniejszego wsparcia u syna, złączonego z ich *pryncypałem* osobistą skłonnością. Ale, na nieszczęście ich i Wołodkowicza, książę miecznik był natenczas aż w Białéj, hrabstwie o mil kilkadziesiąt od Nieświża odległém.

Trzecie i główne miejsce sceny tego dramatu, był Mińsk. Tam po ujęciu i osadzeniu *Wołodkowicza*, nie łatwém było położenie trybunału, a szczególniéj prezydującego w nim *Morykoniego*. Nazwisko jego cudzoziemskie źle brzmiało w uszach szlachty *komparującéj* one z Wołodkowiczami, dawną i popularną między niemi rodziną.— *Włoch prześladuje szlachcica!* wołano zewsząd; nie pamięta na „*Neminem captivabimus, nisi jure victum!*"— Warta trybunalska ze trzydziestu ludzi i dwóch oficerów złożona, ani liczna, ani mężna, z trudnościąby ustrzegła więźnia i ochroniła sam trybunał, gdyby zburzony gmin od przegróżek przeszedł do czynu. Ale strzegła go mocniejsza od siły zbrojnéj tarcza, bo siła wiekami utwierdzonéj w narodzie czci, i świętéj że tak powiém *adoracyi*, dla trybunałów, przed któremi, jak pisze *Sapieha*, najwyższéj dystynkcyi ludzie drżeć musieli. Bo też i najwyższéj dystynkcyi ludzie składali go pospolicie; a jeżeli czasami stronnictwa i emulacye możnych, kierując wyborem deputatów, pokalały poważne to sądownicze grono, rzadko się to jednak przydarzało, i zawsze w niém znaleźli się mężowie prawi, sumienni i mądrzy, którzy réj wodzili w kole, tak, że nieraz się zdarzało, iż gdy przyszło do sekretnego *turnum*, w wątpliwych i interesowanych namowach, zwykle przez którégokolwiek z bezstronnych sędziów wzywanego, a przez marszałka

zaprzeczyć się niemogącego, Radziwiłłowski, Sapieżyński lub Czartoryskich deputat sam jeden przy swojém zostawał się *votum*. Oprócz tego, najzapaleńszym rębaczom i codziennym towarzyszom hajdamactw Wołodkowicza opadały ręce i opuszczał zapał, gdy przypomnieli na porąbany przezeń krucyfix; już wtenczas uznawali go winnym sądu i kary, lecz duchowne mu tylko *poenitentiae*, nie zaś kapitalny przeznaczając dekret.

Morykoni zdolnym był przewodniczyć trybunałowi i kierować zdaniem kolegów w téj trudnéj okoliczności. Mądry i stały w postanowieniach, świadomy praw krajowych i stosunków tamtoczesnych obywatelskich, osądził on w swém sumieniu i w surowéj lecz koniecznéj sprawiedliwości występek i los Wołodkowicza; lecz niżeli stanowczym wyrokiem mógł sam go rozstrzygnąć, musiał wprzód wezwać *Sapiehy*, któremu obowiązek i przyzwoitość nakazywały nie opuszczać nigdy, a bardziéj w takiém zdarzeniu, trybunału; zbadać też determinacyę Radziwiłła: gdyż jeżeliby on chciał bronić Wołodkowicza; stając natenczas otwarcie i upornie naprzeciw hetmanowi, można byłoby do większego zgorszenia dać powód, i nie obronić się jednak słabą trybunalską komendą naprzeciw hetmańskiemu żołnierzowi.

Dnia 1 lutego 1760 roku stała się *akcya*, i ujęty Wołodkowicz, osadzony został i strzeżony w kordygardzie warty trybunalskiéj. *Morykoni* wnet posłał do *Bychowa*, odległego mil więcéj trzydziestu od Mińska, do *Sapiehy*, i zapewne nie długo zwlekając, i do *Nieświża*. Nie mamy w rękopisie naszym tych listów jego; że były pisane, z odpowiedzi hetmana i marszałka widno.

Czas oczekiwania na te odpowiedzi najtrudniejszym był dla Morykoniego i trybunału, bo czas niepewności i próby. *Morykoni* z jednostajną spo-

kojnością oblicza przewodniczył nieprzerywającym się sądom; a lubo w namowach mniéj o toczących się processach niżeli o rzeczy Wołodkowiczowskiéj, wszystkich zajmującéj, rozprawiano, jednak po namowie nikt z tłumu, czepiającego się zwykle trybunałów, nie mógł przeniknąć ani zbadać myśli marszałka i deputatów.

Przyjaciele Wołodkowicza spodziewali się co chwila Radziwiłła, nie hetmana, ale syna jego księcia Karola, którego Wołodkowicz był pulubieńcem; wierzyli więc, i słusznie, że nie da mu zginąć, i czy to zgodnie z wolą ojca, czy to i mimo woli jego, przybędzie oswobodzić więźnia.

Miał *Morykoni* swoje przesłuchy; wiedział, że książe Karol aż w *Białéj*, liczył więc niecierpliwie dni i układał plany na przypadek przyśpieszonego przybycia księcia, a zatém zagrozić się mogącéj spokojności publicznéj; błagał tylko trwożliwszych kolegów, aby dotrwali przystojnie do końca i najmniéj się nie wydawali ze swą bojaźnią lub wątpliwością. Nakoniec, prawie w jednéj godzinie, zeszły się odpowiedzi *Radziwiłła* i *Sapiehy*, to jest, 12 lutego. List piérwszego uwalniał trybunał od wszelkiéj niespokojności ze strony hetmana, i owszem ośmielał do wymierzenia kary na przestępcę; drugi majaczył, odkrywał niepewność zdania, puszczanie się na zwłokę, a zatém w przyszłości bezkarność dla Wołodkowicza, którejby on nie długo nawet oczekiwał. bo coraz gęściéj krążyła wieść, że książe Karol ze swojém myślistwem, które rzeczywiście za siłę zbrojną uważać można było, tuż, tuż się zbliża.

Gdy więc tu już było prawdziwe *periculum in mora, Morykoni,* po odczytaniu tych listów w kole, odkrywa otwarcie swoje zdanie, wzywa Boga na świadectwo, że żadnéj osobistéj do *Wołodkowicza* niéma na sercu urazy, że mu *Morykoni* przebacza...

lecz że go sędzia potępia! wystawia niebezpieczne i gorszące skutki dla kraju, gdyby czyn tak zuchwały i występny poszedł bezkarnie, nakoniec odwołuje się do przysięgi sędziów, i konkluduje wyrokiem, że *Wołodkowicz* winien śmierci!— Jakież jest wasze zdanie? sędziowie! zapytał. Mamże otworzyć *turnum?*

— Nie potrzeba zawołali wszyscy. *Poena colli!* Pisać wniesienie i dekret.

Porąbany przez Wołodkowicza lidzki deputat *Dłuski*, daje natychmiast wniesienie— los winowajcy rozstrzygnięty.

W kilka godzin Morykoni odbiera nagle wiadomość, że książe miecznik przybywa; przyśpiesza więc exekucyę dekretu, a oszczędzając Radziwiłłowi gorszącego czynu, a sobie i swoim niebezpieczeństwa, zaraz po exekucyi limituje na dwa tygodnie trybunał, i rozjeżdżają się wszyscy.

Dziad mój, towarzysz natenczas usarski znaku Buławy Wielkiéj W. Ks. Litewskiego, a przebywający ciągle przy boku i dworze hetmana (*), posłany był przezeń zaraz po ujęciu Wołodkowicza do Mińska dla uważania obrótów rzeczy i wypadków, i donaszania wszystkiego do Nieświża, z zaleceniem jednak najściśléjszéj tajemnicy o swo-

(*) Michał Borejko Chodźko, w roku 1760 *towarzysz* usarski znaku Buławy wielkiéj W. Ks. Lit.; potém w roku 1777 *deputat* z powiatu oszmiańskiego na trybunał główny W. Ks. Lit. na kadencyę ruską do *Grodna;* w roku 1785 *deputat* na trybunał na kadencyę litewską do *Wilna;* nakoniec po rozdziale powiatu oszmiańskiego, *wojski* zawilejski.

jéj missyi i niewdawania się najmniéj w żadne kroki, któreby tę missyę odkryć mogły.

Opowiadanie jego szczegółowe o tym i o wielu innych wypadkach dworu Radziwiłła hetmana, a po jego zgonie księcia Karola (panie kochanku) przy którym także lat kilka przebywał, wyryło się dokładnie w mojéj dziecinnéj i młodzieńczéj pamięci; w pamiętniku zaś jego domowym znalazł się dekret, listy i noty powyżéj wydrukowane, które on, znajdując się ówcześnie i umyślnie *in loco delicti,* miał łatwą zręczność zebrać.

A tak rys ten wypadku tego nadzwyczajnego, mniemam być prawdziwym. Sprzecznym on jest z opowiadaniem tejże saméj okoliczności w *Pamiętnikach starego szlachcica,* niedawno w Wilnie wydrukowanych, naprzód głównie w tém, że dekret śmierci *Wołodkowicza* ogłasza być sądów kapturowych, a zatém w ciągu bezkrólewia po śmierci Augusta III, gdy wątpliwości niéma, że go trybunał 1760 za życia jeszcze tego króla osądził, z kolei we wszystkich okolicznościach towarzyszących akcyi, wyrokowi i exekucyi wyroku na *Wołodkowiczu.* Błąd ten autora wysokich literackich zalet ztąd zapewne poszedł, że wieść pomięszała i dotąd mięsza, swawole i los dwóch Wołodkowiczów współczesnych sobie: Michała, rozstrzelanego w 1760, i Ignacego, brojącego po kraju właśnie w czasie bezkrólewia, okrytego i manifestami współ-braci i wyrokiem sądów tamtoczesnych kapturowych i konfederackich, którym jednak nie stało się zadosyć, i które potém list żelazny pokonał.

Ośmdziesiąt cztéry lata upłynęło po tym wypadku, wspomnienie Wołodkowicza trwa do dziś dnia po Litwie, lecz codzień się już, wraz z innemi podaniami, zaciera i niknie. Gmin pospolity, szczególniéj drobnéj szlachty, gromadząc swawole

obu Wołodkowiczów pod jedną osobą, i z przesadą one rozpowiadając, śmierć jego niesłusznem męczeństwem osądził i pamięć politowania swego nad nim pieśnią pozgonną uwiecznił....... Rozmyślny zaś badacz przeszłości kraju tego, widzi tu dowód, że w ówczasowém rozstrojeniu sprężyn rządu i wewnętrznego porządku, zepsucie jednak nie tak daleko zaszło, aby wyniszczyło zupełnie wzgląd na dobro publiczne. Bo i w możnowładnych głowach, jakim był hetman Radziwiłł, wzgląd osobisty ustępował bez namysłu i niknął jak mara przed interesem powszechnym i przed bojaźnią pogwałcenia praw i spokojności krajowéj, a w szlacheckim zastępie, nie wyplenił mężów cnoty i energii pełnych, bezwzględnie i śmiało postępujących na drodze obowiązków swoich, a godnych jak *Morykoni* zaufania ziomków i urzędów wysokiego dostojeństwa, na których dobro i bezpieczeństwo ogólne polegało.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

SPIS ROZDZIAŁÓW.